CZY KAMPANIA NABIERZE TEMPA?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
11 (589) 2024
11–17 marca 2024
CENA: 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

TAK BIJE TUSK

PAŁĄ I KŁAMSTWEM W ROLNIKÓW

ZA BRUTALNĄ PACYFIKACJĄ POKOJOWEGO PROTESTU KRYJE SIĘ CYNICZNY, PRZERAŻAJĄCY PLAN

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

polsat box plus

TV + Światłowód

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.

Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smarDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus internet stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** smartDOM jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl Oferta ważna na dzień 6.03.2024 r.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Szybko poszło. Władza już pałuje

Już w nocy przed demonstracją rolników, a akurat wracałem wtedy późno do Warszawy, wszystkie potencjalne ulice wjazdowe, nawet hen, daleko od miasta, były obstawione przez policję. Cel – zatrzymanie pojazdów rolniczych. Takiej mobilizacji nie widziano od lat. A precyzyjniej od Marszów Niepodległości, w latach 2012–2014 brutalnie atakowanych bezpośrednio i prowokacjami.

Potem wszystko poszło według ćwiczonego w tamtym okresie scenariusza. Prowokowanie zamieszek i atakowanie demonstrantów. Jeśli prowokacje się nie udawały, też atakowano. Do akcji weszli policjanci z bronią gładkolufową, niewidziani na tego typu wydarzeniach od 2015 r. Każda kolejna godzina przynosiła coraz bardziej przerażające detale: psikanie gazem w oczy spokojnych ludzi, napaść na człowieka, który po prostu trzymał biało-czerwoną flagę, policjanci rzucający kamieniami w demonstrantów. To esbeckie metody. Słusznie padają więc pytania, czy nie po to właśnie obecna władza wyciągnęła z różnych politycznych strychów tylu doradców z przeszłością w aparacie PRL?

Zwraca uwagę użycie na szeroką skalę gazów rozpraszających tłum, bo pamiętamy, że gdy raz ktoś rzucił taką plotkę w czasie jednej z demonstracji za rządów Prawa i Sprawiedliwości, media wyły o „moralnym końcu władzy".

Dziś milczą wobec oczywistego łamania prawa. Rusza za to obrzydliwa machina propagandowa. Rolników władza nazywa „przestępcami" i „demonstrantami", szczuje na nich przez propagandowe media, lekceważy ich postulaty i reprezentację. Stosując kłamstwa i manipulacje, próbuje się przerzucić odpowiedzialność za morderczy dla gospodarki Zielony Ład, wysmażony przez Lewicę i Europejską Partię Ludową Tuska na rząd obozu propolskiego, który twardo zwalczał te szaleństwa. To poprzedni gabinet miał odwagę przeciwstawić się Brukseli, wprowadzając zakaz importu części produktów żywnościowych z Ukrainy, budując wokół tej sprawy regionalny sojusz państw.

Widzimy próbę wyraźnego przesunięcia ważnej granicy w naszym życiu publicznym, próbę odebrania Polakom możliwości pokojowego i bezpiecznego wyrażania swoich poglądów na ulicy przez legalne demonstracje. To istota ubiegłotygodniowych wydarzeń.

Po ośmiu latach szaleństw opozycji w czasach PiS, zawsze jednak ochranianych przez policję (nawet gdy w sposób oczywisty łamano prawo), szok obserwującej to opinii publicznej jest uzasadniony.

Od dekad nikt nie miał w Polsce większej władzy od Tuska. Ma nie tylko tę polityczną, lecz także niemal pełnię medialnej, akademickiej, sądowniczej, biznesowej plus bezwarunkowe wsparcie mocarstw zewnętrznych, widzących w nim wygodnego namiestnika.

A jednak zapragnął jeszcze władzy, którą daje policyjna pałka. Najwyraźniej dąży do władzy absolutnej i zastraszenie Polaków jest kluczowe dla realizacji tego dążenia.

Nie powinniśmy też się temu specjalnie dziwić. Jeżeli celem jest zabranie nam suwerenności i niepodległości, a taki sens mają niemieckie projekty centralizacji Europy, jeśli musi zatrzymać nasz rozwój, a to pochłania jego całą energię od przejęcia władzy, to najpierw musi nas w pełni spętać.

Takie jest znaczenie słyszanych dziś uderzeń policyjnych pałek i strzałów oraz smrodu policyjnych gazów, rozpylanych przeciw pokojowo i legalnie demonstrującym rolnikom.

Można też postawić tezę, że władza uznała, iż powszechnie popierany przez Polaków protest rolników musi zostać upolityczniony, musi zostać wpisany w partyjną wojnę. Dlatego potrzebna była awantura, która miała za cel ustawić polityków Prawa i Sprawiedliwości w roli obrońców rzekomych „wichrzycieli", a obóz władzy zaprezentować jako siłę zatroskaną o porządek. Czy plan się udał? W mediach przychylnych władzy, a to dziś ponad 90 proc. przekazu, oczywiście tak. Jednak skala przemocy była tak duża, tak mocno poszło to w Polskę, że moment spałowania i zagazowania protestu rolników możemy uznać za symboliczny koniec miesiąca miodowego nowej władzy.

Michał Karnowski

Reklama | 37/0124/F

eprasa.pl 14f4aa6b19

SIECI spis treści

27 Dlaczego Kaczyński zmienił plany
Jan Rokita

42 Planeta grubasów
Aleksandra Rybińska

44 Rewolucja, która wywołuje strach Europy
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **UŚMIECHNIĘTE PAŁY**
Krzysztof Feusette

9 **OKRĄGŁY STÓŁ RZĄDU POTRZEBNY NATYCHMIAST**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **KU POKRZEPIENIU…**
Jan Pietrzak

12 **MUNDUR ZNÓW DEPTANY**
Samuel Pereira

13 **O POTWORACH I ICH WŁADZY**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA ANDRZEJA ROSIEWICZA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **NIEZBĘDNE NATO**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **POGROMCY ULIC**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **TUSK NA PEŁNYM GAZIE**
Marek Pyza

KRAJ

24 **CZAS NAPOLEONÓW**
Konrad Kołodziejski

27 **DLACZEGO KACZYŃSKI ZMIENIŁ PLANY**
Jan Rokita

30 **Z PROF. ANDRZEJEM PRZYŁĘBSKIM**
rozmawia Goran Andrijanić

32 **DZIWNE WYBORY**
Stanisław Janecki

34 **Z MARKIEM BALTEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

38 **ANONIMOWY TEKST TAJEMNICZEGO KARDYNAŁA**
Grzegorz Górny

40 **KRÓL JEST TYLKO JEDEN**
Dariusz Matuszak

42 **PLANETA GRUBASÓW**
Aleksandra Rybińska

44 **REWOLUCJA, KTÓRA WYWOŁUJE STRACH EUROPY**
Marek Budzisz

HISTORIA

47 **SAMOTNA MISJA KUKLIŃSKIEGO**
Lidia Dudkiewicz

OPINIE

50 **Z MARCINEM ZARZECKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

54 **UNIA PROGRAMUJE ZNISZCZENIE GOSPODARSTW RODZINNYCH**
Bernard Margueritte

58 **BEHAWIORALNA WOJNA O CZŁOWIEKA**
Maciej Walaszczyk

60 **JAK ORWELL WYLECZYŁ SIĘ Z KOMUNIZMU W HISZPANII**
Małgorzata Wołczyk

SIECI KULTURY

63 **CZAS PRZESILEŃ**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **CIERNIE I KOLCE**
Robert Tekieli

67 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

68 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

72 **BĘDZIEMY BIEDNI, ALE ZA TO Z CZYSTYM POWIETRZEM**
Agnieszka Łakoma

PODRÓŻE

76 **MOJE SZLAKI: DARIUSZ WIETESKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

77 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

78 **WOBEC WĄTPLIWOŚCI**
Wojciech Reszczyński

79 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

80 **CHŁOPI 2024**
Aleksander Nalaskowski

81 **PRZY FRANCISZKAŃSKIEJ SIENI**
Leszek Długosz

82 **SPECJALIŚCI OD PSYCHOFIKOŁKÓW**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 38/0224/F

eprasa.pl 14f4aa6b19

Narodowy Bank Polski informuje:

Dzięki dobrej polityce pieniężnej NBP inflacja szybko się obniża, zgodnie z prognozą NBP.

Roczna dynamika cen konsumpcyjnych w okresie luty 2023 r. – marzec 2024 r.

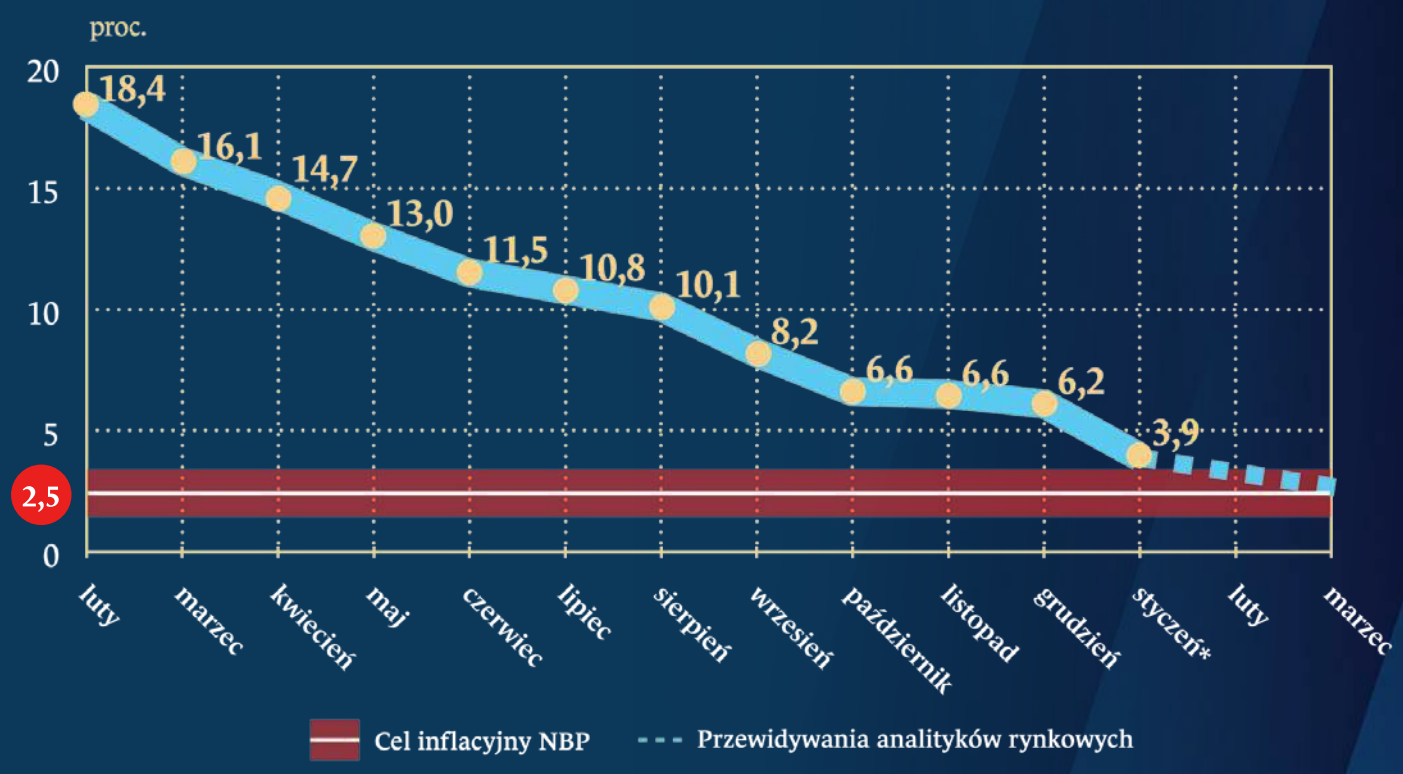

Źródło: dane GUS. | *wstępne dane GUS za styczeń 2024 r.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

W styczniu inflacja wyniosła 3,9% r/r i jest już bardzo blisko celu inflacyjnego NBP, który wynosi 2,5% +/-1 pkt proc.

nbp.pl

eprasa.pl 14f4aa6b19

Sygnalista nadaje

Szermująca rzekomym umiłowaniem kultury i miłością do ludzi kultury gazeta ***Adama Michnika*** triumfalnie donosi o kolejnych sukcesach rządu Donalda Tuska: „Sienkiewicz zatrzymuje muzeum". I dalej: „Ministerstwo Kultury zaleciło Muzeum Narodowemu, by zaniechało budowy nowego skrzydła". Tytuł typowy – można odnieść wrażenie, że to muzeum gdzieś zmierzało, chciało zrobić coś złego. A ono tylko chciało być zbudowane, a konkretnie chciał je zbudować były minister prof. Piotr Gliński. Dziennik cieszy się też, że nie powstanie siedziba Polskiej Opery Królewskiej na obrzeżach Łazienek Królewskich. Powód? Podobno są to inwestycje „na miarę potrzeb, których obecnie nie przewidujemy". Czytając wprost: wszystko jest już w Berlinie.

W tej samej gazecie czytamy lamenty na temat stanu zdrowia młodzieży. „W latach 80. dziecko poproszone o zawiśnięcie na drążku wisiało, aż zgłodniało, dziś nie wytrzyma ani sekundy. Ale zamiast biadolić, zróbmy z tym coś przemyślanego". Tu pełna zgoda – może zacznijmy od pogonienia ideologii gender, postawienia na sport i harcerstwo?

Nie będzie łatwo, bo wyczytaliśmy w prasie narzekania, że sztuczna inteligencja „jest pełna uprzedzeń i utrwala stereotypy płciowe". Tak uznali badacze z Akademii L. Koźmińskiego. Za tym stwierdzeniem powinny pójść czyny: powołać komisję, upokorzyć, wyrzucić z hukiem z pracy tę wsteczną sztuczną inteligencję. Ona też musi w końcu pojąć ducha czasów.

Specyficzna „nowoczesność" na całego zawitała również do neoTVP. Jej widzowie mogli obejrzeć debatę na temat m.in. aborcji, pigułki dzień po oraz tzw. edukacji seksualnej. W rozmowie brała udział prof. Monika Płatek, która wyznała, że rozmawia ze swoimi 4-letnimi wnuczkami o... masturbacji. „Ja jestem babcią. Jestem babcią i moje wychowanie 4-latek polega na tym, żeby im wytłumaczyć, że mogą to robić, kiedy są same w pokoju, bo to jest sprawa prywatna, ale nie powinny tego robić na plaży, w miejscach publicznych, bo może to innych krępować" – twierdzi znana feministka. Nasuwa się jeden komentarz: to są złodzieje wszelkiej normalności, także złodzieje niewinnego dzieciństwa.

Towarzyszy temu niesamowita pycha wwiezionych do telewizyjnego studia przez policyjne suki redaktorów. Marek Czyż w jednym z wywiadów zwrócił się do polityków PiS: „Przyjdziecie do nas, na pewno. My to wiemy, wy to wiecie". Tygodnik „Sieci" poprosił prezesa Prawa i Sprawiedliwości o komentarz do tej wypowiedzi. „Mogę powiedzieć tak: przyjdziemy. Przyjdziemy na pewno – tu pełna zgoda. Na razie skupiamy się na tym, by powstało coś, co byłoby odtworzeniem prawdziwej telewizji publicznej" – odparł ***Jarosław Kaczyński***.

Wspomniany Marek Czyż w jednym z wywiadów rozpoczął opowieść o własnym cierpieniu: „Niespe-

eprasa.pl 14f4aa6b19

cjalnie przejmuję się ludźmi, którzy składają dłoń w pistolet i strzelają do mnie na przejściu dla pieszych". Może takie sceny są, może nie – zdecydowanie ich nie pochwalamy. Ale faktem jest to, że ekipa, w której zasiada pan Czyż, nie przejmuje się niczym, zwalnia ludzi w sposób brutalny, chwilami wręcz okrutny, cenzuruje nawet archiwa i robi telewizję uznawaną powszechnie za paździerzową.

Legalnym prezesem TVP pozostaje w świetle prawa Michał Adamczyk. Nieuznawane nawet przez obecne sądy neowładze TVP próbują więc zmusić go do zaniechania obrony praworządności. Poinformowały, że „złożyły do Sądu Okręgowego w Warszawie pozew o zapłatę kwoty 1 mln 300 tys. zł przeciwko Michałowi Adamczykowi, Samuelowi Pereirze oraz Marcinowi Tulickiemu" za rzekomą „okupację studiów telewizyjnych przy pl. Powstańców". Do tekstu i absurdalnych oskarżeń odniósł się Samuel Pereira. Zdaniem legalnego wicedyrektora TAI mamy do czynienia z „prostacką próbą odwrócenia kota ogonem". Jak przypomniał, jest to o tyle żenujące, że „wszyscy wiedzą, kto na polityczne zlecenie wyłączył sygnał TVP Info, TVP3, TVP World i portalu tvp.info. Kto zablokował wejściówki ludziom pracującym w siedzibie TAI". Oczywiście, że wiedzą. Ale przecież nie o prawdę tu chodzi, lecz o władzę.

Ten diabelski mechanizm cynicznych kłamstw wciąga kolejnych polityków. Lawinę komentarzy wywołały szczere słowa ***Anny Marii Żukowskiej*** o tym, dlaczego uwolnienie cen energii nastąpi w lipcu br. „Zanim Polki i Polacy się zorientują, ile tak naprawdę urosło, to minie pół roku" – oznajmiła rezolutnie Żukowska na antenie Polsat News. Dopytywana potem przez prasę unikała komentarza, odsyłając do Ministerstwa Klimatu. Nie dziwimy się, wszak znowu „taki mamy klimat".

Przykład idzie z góry. ***Donald Tusk*** na kuriozalnej konferencji prasowej, pełnej insynuacji i niesprawdzalnych sugestii, oskarżył byłego prezesa ORLENU Daniela Obajtka, że ten „wynajął detektywa, który śledził polityków ówczesnej opozycji". Koszt tej operacji miał wynieść 1 mln zł. Sensacja przetrwała kilka godzin. Daniel Obajtek obalił ją jednym wpisem w internecie. „Kategorycznie zaprzeczam doniesieniom, żebym wynajmował jakiegokolwiek detektywa do śledzenia jakichkolwiek posłów. To kłamstwo". Jak dodał, premier Tusk podał „kwotę za ochronę, którą przyznała mi Rada Nadzorcza koncernu w czasie, gdy realizowaliśmy strategiczne procesy połączenia, co było standardową praktyką, stosowaną również wcześniej". Tusk nie podjął polemiki – osiągnął już swój cel, puścił tę historyjkę w świat.

Nie dał też medialnie rady ***Grzegorz Schetyna***, który najpierw stwierdził, że „protesty [rolników] są nie tylko w Polsce, ale w całej UE", a „zmiany ekologiczne generalnie co do istoty mają sens, ale tempo ich wprowadzania jest za szybkie i nie ma działań osłonowych i ja myślę, że to będzie na stole w KE, znalezienie środka, który nie będzie uderzał w rolników". Prowadząca rozmowę dziennikarka Radia ZET Beata Lubecka zadała Schetynie pytania od słuchaczy. Jedno z nich dotyczyło kryzysu klimatycznego: „Jakie badania i analizy pan czytał, na podstawie których twierdzi pan, że mamy kryzys klimatyczny. Proszę o konkrety, tytuły, linki". Schetyna najpierw zamilkł, a potem zareagował w charakterystyczny dla siebie sposób, czyli prezentując swój słynny uśmiech. „Ale ja nie mówię o kryzysie klimatycznym. Mówią o tym eksperci..." – odparł wreszcie.

W Polsce często się zapomina, że także media prywatne, korzystające z dobra rzadkiego, jakim jest koncesja, są zobowiązane do przestrzegania zasad obiektywizmu i rzetelności. Dlatego dobrze, że przewodniczący Krajowej Rady i Radiofonii Telewizji Maciej Świrski zdecydował o nałożeniu na TVN kary pieniężnej w wysokości 550 tys. zł za program pt. „Bielmo. Franciszkańska 3", na który skargi złożyło rekordowo dużo widzów. Świrski wezwał też nadawcę do zaniechania łamania prawa. Podkreślił, że w toku postępowania wykazano „nierzetelność, użycie technik manipulacji, ahistoryzm". W naszej ocenie, jak na skalę świadomego i zakłamanego uderzenia w największy narodowy i religijny autorytet, jest to umiarkowana kara. Boli jednak całkowity brak autorefleksji autorów tego paszkwilu.

W Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych władza odwróciła się do tych bohaterów tyłem i tyłkiem. Lewica postanowiła złożyć skandaliczny projekt nowelizacji ustawy o IPN, a jej poseł Tomasz Trela rzucił, że „to żaden patriotyzm siedzieć w lesie, zamiast odbudowywać ojczyznę z powojennych zniszczeń". Zapomniał, że po ustanowieniu w Polsce bolszewickiego reżimu wielu polskich patriotów miało tylko jeden wybór: siedzieć w ubeckich katowniach lub w lesie. Z kolei „Wyborcza" postanowiła zająć się... seksem wyklętych. „Czy wśród leśnych zdarzały się homoseksualne romanse?" – zadumali się redaktorzy. Na szczęście większość Polaków jeszcze nie oszalała i godnie oddaliśmy hołd tym, którzy szli „tropem wilczym".

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl 14f4aa6b19

Uśmiechnięte pały

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Rąsia, buzi, goździk. Witam serdecznie na tajnym posiedzeniu koalicji 13 grudnia, tfu, 15 października, o którym nie może wiedzieć nawet TVN. Meldunki, proszę bardzo.
Kierwiński: To może ja. Pokonaliśmy rolników.
Tusk: To znaczy?
Kierwiński: No, tak jak pan premier kazał, poszło na ostro. Nawet za flagę żeśmy chłopaka na glebę rzucili. Na szczęście był ratownik, bo byśmy mieli za chwilę Rolnik Lives Matter.
Tusk: A co robił?
Kierwiński: No, ratował człowieka, bo sześciu zomowców, pardon, naszych się na niego rzuciło.
Tusk: A za co?
Kierwiński: No, stał ma ulicy. Na środku!
Tusk: I co?
Kierwiński: I machał w stronę policjantów.
Tusk: A czym?
Kierwiński: No, flagą. Biało-czerwoną. Wyrwali, zdeptali i po sprawie.
Tusk: Żyje?
Kierwiński: W jakim sensie? Ona na kiju była. To nie wiem. Mogę się dowiedzieć?
Tusk: A chłopak?
Kierwiński: Raczej tak. W końcu kamieniem w łeb nie dostał.
Tusk: A mógł?
Kierwiński: No, mógł. Jak nasi, to znaczy ZOMO, to znaczy nasi zaczęli rzucać brukiem, który wcześniej chyba służby miejskie przygotowały, to się zrobiło niebezpiecznie. Ten bruk był dla rolników przygotowany, że jak oni nim w naszych, to nasi w nich gazem. Ale jak się zadyma zaczęła na całego, to się krew polała.
Tusk: Nagrywał ktoś?
Kierwiński: Niestety tak. Wolne smartfony, psia ich mać. Najwyżej powiemy, że to był morderca czy coś.
Tusk: Kto? Ten zomol, który chłopaka pałował? Przecież ich było sześciu.
Kierwiński: To już nie wiem, jak my się wytłumaczymy. Zwłaszcza że poseł Mentzen też gazem dostał.
Tusk: A jeszcze jakieś dobre wiadomości?
Hołownia: My wychodzimy z koalicji.
Kosiniak-Kamysz: Tak jest, my też.
Tusk: Jeśli?
Hołownia: Jeśli nie ustalimy, co powiedzieć ludziom, którzy pytają, co z obniżeniem składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Tu i teraz. Inaczej wychodzimy, prawda, Władek?
Tusk: Władek?
Kosiniak-Kamysz: Ale o co chodzi?
Tusk: Wychodzicie?
Kosiniak-Kamysz: Ale gdzie?
Hołownia: Władziu?
Kosiniak-Kamysz: Daj mi spokój, ja teraz telefon zaufania dla żołnierzy rozkręcam. Ja nie chcę nic wiedzieć. To nie mógł być rolnik.
Kierwiński: Który? Ten, co dusił?!
Tusk: Marcin, ty jesteś zbyt spięty...
Kierwiński: Łatwo panu premierowi mówić. Prowokatorów mi nagrali.
Tusk: Kogo?
Kierwiński: Nie pamięta pan, jak Wojtunik Bieńkowskiej opowiadał, że Sienkiewicz swoich wysłał, żeby budkę podpalili pod ruską ambasadą?
Tusk: Poczekaj, powoli. W Budzie Ruskiej to Bronek mieszka, jak nie poluje. Budkę obaliłem jednym ruchem. To o co chodzi?
Kierwiński: No, o to, że pomyślałem sobie...
Tusk: A oglądałeś Robin Hooda?
Kierwiński: Którego? W rajtuzach?
Tusk: Normalnego. Serial taki.
Kierwiński: I co?
Tusk: I tam szeryf pytał niejakiego Ginsberga: „Myślałeś? A kto ci pozwolił?!".
Kierwiński: O, przepraszam. Były wyraźne polecenia premiera, na szczęście nie na piśmie, bo bym nie zniósł psychicznie myśli, gdyby pan premier miał za brutalność policji odpowiadać choćby politycznie...
Tusk: Widzisz? I dlatego ufam ci bardziej niż przysłowiowej żonie Cezara. To co robimy?
Kierwiński: Możemy mocniej pałować. I granaty zamiast bruku.
Tusk: Zwariowałeś? Brukseli nie widziałeś? Myślisz, że jak wyślesz zomoli na ciągniki, to cię nie wywiozą na taczkach?
Kierwiński: Jedna by wystarczyła. Ja się odchudzam.
Tusk: A ja jestem brunetem. Wiesz, jak ludzie na policjantów mówią od wczoraj? „Kierwasyny"! Więc na razie na ulice nie wypuszczaj tych prowokatorów.
Kierwiński: A co z deptaniem?
Tusk: To znaczy?
Kierwiński: No, bo jeden z tych zomowców, to znaczy, naszych, flagę podeptał. Łaził po niej tam i z powrotem, jak po szmacie jakiejś. A żaden baran nie podszedł i nie podniósł.
Tusk: Napiszesz, że byli niewidomi. Rolnicy im oczy wypalili. Swoją drogą, straszna historia. A jakby tak europejską podeptali? Przecież ja bym nie mógł Ursuli w oczy spojrzeć...

eprasa.pl 14f4aa6b19

Okrągły stół rządu potrzebny natychmiast

W sprawie Zielonego Ładu partie tworzące rządową koalicję mówią co innego

Jednym z postulatów protestujących rolników jest odejście od zapisów europejskiego Zielonego Ładu. Jednak po kolejnej odsłonie rolniczego sprzeciwu sami zainteresowani mogą czuć się mocno zdezorientowani. Nie tylko dlatego, że policja obeszła się z protestującymi bardzo brutalnie, czego chyba się nie spodziewali, lecz także z tego powodu, że w sprawie Zielonego Ładu partie tworzące rządową koalicję mówią co innego.

Jeszcze przed nasileniem się protestów podczas wizyty w Brukseli Czesław Siekierski, minister rolnictwa z PSL, ostro skrytykował zapisy Zielonego Ładu. Jego zdaniem Komisja Europejska narzuciła na ten sektor „nieracjonalne i kosztowne wymogi", a zmiany mające przeciwdziałać kryzysowi klimatycznemu „doprowadziły do bankructwa wielu gospodarstw". Z ministrem zgadza się poseł PSL Marek Sawicki, który już po ostatniej demonstracji rolników w Warszawie mówił w programie „Gość 19.30": „Zielony Ład jest pustą ideologią wrzuconą przez Janusza Wojciechowskiego, który powoływał się, że jest to program Prawa i Sprawiedliwości, który on w Komisji Europejskiej wcielił w życie, a dzisiaj cała rolnicza Europa protestuje przeciw Zielonemu Ładowi. Więc jeśli wtedy pan komisarz był w stanie przekonać Komisję Europejską, że jego koncepcja jest słuszna, a dziś widzi gniew rolników w całej Europie, to niech się z tego czym prędzej wycofa. Oczekuję także od premiera Tuska, że wytłumaczy Ursuli von der Leyen, zresztą pan premier o tym publicznie mówił, że z tego Zielonego Ładu trzeba się wycofać".

Co na to Donald Tusk? „Postulaty »Precz z Zielonym Ładem« i »Zablokować Ukrainę« są dla mnie nie do zaakceptowania" – powiedział premier na konferencji przed wylotem do Rumunii. Dodał też, że negocjuje zmiany, które mają pozwolić „odetchnąć z ulgą" polskim rolnikom. „Chcę rozmawiać o tym, jak zmieniać zapisy Zielonego Ładu skutecznie, by polski rolnik nie czuł się poszkodowany" – tłumaczył.

Jednocześnie wielkimi zwolennikami Zielonego Ładu są politycy lewicy. Anna Maria Żukowska, szefowa parlamentarnego klubu Nowej Lewicy twierdzi, że Zielony Ład to rozwiązanie w interesie rolników i powinni go popierać. „Rolników chciałabym mocno przekonywać do tego, że Zielony Ład jest konieczny właśnie po to, żeby im pomóc. Dlatego, że to rolnicy ponoszą największe straty związane z kryzysem klimatycznym: susze, powodzie, różnego rodzaju inne nagłe zjawiska meteorologiczne. Problem w tym, że oni tego nie przyjmują do wiadomości, że to się będzie powtarzało, ponawiało, będzie tego coraz więcej" – mówiła polityk na antenie Radia ZET.

Sam ze sobą nie zgadza się zaś wiceminister rolnictwa Michał Kołodziejczak, lider Agrounii, który startował z list Koalicji Obywatelskiej. W programie „Rzecz o polityce" mówił: „Mówimy rolnikom jasno, że jeżeli wyrzucimy Zielony Ład, to cała Polska może się pożegnać z funduszami europejskimi, jeżeli chodzi o polskie rolnictwo, bo po prostu ich nie będzie. Musimy zrozumieć, że ekologia na ludzką miarę, na miarę naszych kieszeni to jest coś możliwego do zrobienia" – tłumaczył. Ale już w Radiu ZET przekonywał, że postulaty rolników będą załatwione.

Wywołany wcześniej komisarz UE ds. rolnictwa zapowiedział, że Zielony Ład trafi do kosza, ale rzecznik Komisji Europejskiej stwierdził, że to jego prywatne stanowisko.

W rządzie nie ma także zgody co do oceny działania policji. „Nie zgodzę się i nie będę popierał brutalności policji wobec protestujących. Brutalność, rzucanie ludzi na ziemię, obezwładnianie w sposób, jak to widziałem, ludzie, którzy nie stawiali oporu, nadużywanie gazu łzawiącego – to złe świadectwo dla policji" – powiedział na antenie Radia ZET wiceminister rolnictwa Michał Kołodziejczak. Zapowiedział też, że będzie się domagał wyjaśnień w tej sprawie od ministra Kierwińskiego. Ten zaś uważa, że ze wstępnych analiz wynika, że „operacja policyjna była przeprowadzona w sposób rzeczowy, merytoryczny", a premier Tusk stwierdził, że „policja w czasie manifestacji rolników zachowywała się niezwykle powściągliwie".

Wygląda więc na to, że to najpierw przedstawiciele rządu powinni usiąść do okrągłego stołu, by wypracować wspólne stanowisko, a dopiero później rozmawiać z rolnikami, bo inaczej nikt się z nikim nie dogada.

Dorota Łosiewicz

Niemcy

Schwytana po latach

Kreuzberg, skolonizowana przez skrajną lewicę, anarchistów i subkulturową bohemę dzielnica Berlina okazała się kryjówką, w której azyl znalazła poszukiwana od ponad 30 lat Daniela Klette, lewacka terrorystka związana z Frakcją Czerwonej Armii (RAF).

Poszukiwana mieszkała bloku przy Sebastianstraße 82. Dosłownie obok w 1981 r. powstały zdjęcia do kultowego horroru Andrzeja Żuławskiego „Opętanie". Z jej mieszkania wyniesiono m.in. broń przeciwpancerną, a także pistolety maszynowe, amunicję i materiały wybuchowe. Jak donoszą media, mająca dziś 65 lat Klette była opisywana przez sąsiadów jako osoba przyjazna i dość małomówna. Uczniom z sąsiedztwa bezpłatnie udzielała korepetycji z matematyki i języka niemieckiego, a także pomagała obywatelom Turcji w pisaniu pism urzędowych. W brazylijskim ośrodku kultury ćwiczyła capoeirę, będącą skrzyżowaniem tańca i sztuki walki. Istnieją dowody, że jako członek zespołu tancerzy i posiadając fałszywy włoski paszport, podróżowała do Brazylii.

Choć policja tego nie potwierdza, to właśnie fotografie z pobytu w tym kraju miały być tropem, który doprowadził w końcu do jej identyfikacji i aresztowania. Pomóc miał w tym jeden z dziennikarzy śledczych grupy Bellingcat. Używając opartego na sztucznej inteligencji narzędzia PimEyes pomagającego rozpoznawać twarze, porównał on znajdujące się w sieci zdjęcia entuzjastki capoeiry z listem gończym z lat 90. Co ciekawe, niemiecka policja nie może oficjalnie używać tego rodzaju narzędzi ze względu na surowe przepisy dotyczące ochrony prywatności.

Klette była jednym z ostatnich członków siatki terrorystycznej RAF wciąż pozostających poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości. Policja podejrzewa, że w Berlinie wciąż ukrywają się jej dwaj współpracownicy: Ernst-Volker Staub i Burkhard Garweg. Wszyscy należeli do tzw. trzeciej generacji RAF, terroryzującej Niemcy w latach 80. Grupa rozpadła się w 1998 r., ale całej trójce udało się zakonspirować. Jest podejrzana o udział w co najmniej 10 akcjach zbrojnych, w tym atakach terrorystycznych na ambasadę USA w Bonn w 1991 r., zamachu bombowym na więzienie w Weiterstadt w 1993 r., a także napadach rabunkowych na banki i supermarkety. Ostatni miał miejsce w 2016 r. w Cremlingen, gdzie zdaniem mediów udało się im ukraść 400 tys. euro w gotówce.

Maciej Walaszczyk

Afrykańska ekspansja

Fot. mirom82/Shutterstock.com

Turcja podpisała z Somalią 10-letni pakt o współpracy wojskowej i gospodarczej. Przewiduje on zwiększenie tureckiej obecności w tym strategicznie położonym afrykańskim państwie oraz zakłada pomoc w szkoleniu i wyposażeniu somalijskiej marynarki wojennej. Chodzi o to, aby była ona w stanie chronić długie, liczące przeszło 3,3 tys. km wybrzeże kraju.

Wzmocnieniem obecności wojskowej w Somalii z pewnością jest zainteresowany turecki sektor zbrojeniowy, jednak podpisany układ ma znacznie bardziej istotne, strategiczne znaczenie. Od 2017 r. Turcy utrzymują w Mogadiszu bazę wojskową. Jest to największa turecka baza poza granicami kraju i stanowi dla Ankary ważny punkt wypadowy na cały kontynent.

Ta aktywność jest dla Turcji ważnym atutem w jej relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. Redukcja obecności Francji w Afryce spowodowała bowiem konieczność znalezienia przez Amerykanów nowego partnera na tym kontynencie, który byłby gotów zaangażować się ekonomicznie i militarnie w walkę z organizacjami islamistycznymi oraz z wpływami rywali geostrategicznych, takich jak Chiny czy Rosja. To prowadzi do zbliżenia między Ankarą a Waszyngtonem, czego potwierdzeniem jest podróż do Stanów Zjednoczonych Ibrahima Kalina, kierującego tureckimi służbami specjalnymi.

Podpisany w Ankarze pakt wojskowy ma również znaczenie dla regionalnego układu sił. W styczniu Etiopia podpisała z Somalilandem – nieuznawanym państwem, które w 1991 r. odłączyło się od Somalii – porozumienie, które ma dać Addis Abebie dostęp do Morza Czerwonego. Niektórzy eksperci są nawet zdania, że umowa ta jest wstępem do aneksji Somalilandu przez Etiopię. Pakt wojskowy Turcji z Somalią jest odpowiedzią na to posunięcie i oznacza ukształtowanie się w rogu Afryki dwóch rywalizujących ze sobą bloków polityczno-wojskowych. W skład jednego wchodzi Turcja, Egipt, Arabia Saudyjska, Somalia oraz Erytrea, drugi tworzą Etiopia, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Somaliland. Zaostrzająca się rywalizacja między tymi obozami oznaczać będzie dalszy wzrost napięcia w tym niespokojnym regionie.

Marek Budzisz

eprasa.pl 14f4aa6b19

Mongolia

Znikający russkij mir

„Granice Rosji nigdzie się nie kończą" – brzmi propagandowe hasło reżimu Putina. Jednak w rzeczywistości wojna na Ukrainie często prowadzi do przeciwnych skutków i wyraźnie zakreśla te granice. Na przykład w Mongolii. Tamtejszy parlament znowelizował ustawę o edukacji i wprowadził obowiązkową naukę języka angielskiego, degradując tym samym język rosyjski do roli przedmiotu fakultatywnego.

Jeszcze w latach 90. ub.w. 67 proc. dorosłej ludności Mongolii potrafiło sprawnie posługiwać się językiem rosyjskim. Potem jego nauka była jednak ograniczana – dziś są to zaledwie dwie godziny lekcji tygodniowo w klasach 7–9. Jednocześnie stopniowo likwidowano szkoły z wykładowym językiem rosyjskim, głównie z powodu małego zainteresowania uczniów. W tej chwili w stolicy kraju Ułan Bator istnieją cztery takie szkoły, a ich przyszłość jest niepewna.

Znacząco spadło także zainteresowanie studiami w Rosji. O ile przed wybuchem wojny na Ukrainie na takie studia co roku decydowało się 30–40 osób, o tyle po 2022 r. liczba ta skurczyła się do zaledwie dwóch. Chodzi nie tylko o to, że znajomość angielskiego daje młodzieży szersze perspektywy, lecz także o strach przed bliższymi związkami z agresywnym sąsiadem. Spadek liczby mongolskich studentów w Rosji tłumaczy się obawami przed ich przymusowym wcieleniem do rosyjskiej armii i wysłaniem na front. Konsekwencją agresywnej polityki Moskwy jest więc wyraźny zanik zainteresowania mongolskiej młodzieży językiem i kulturą Rosji oraz, co się z tym wiąże, spadek atrakcyjności Rosji jako miejsca, w którym robi się karierę. W przypadku Mongolii, przez dziesiątki lat znajdującej się pod faktycznym sowieckim protektoratem, to bardzo znacząca zmiana cywilizacyjna.

Przypadek mongolski nakłada się na szersze zjawisko spadku znaczenia języka rosyjskiego na świecie. Bo choć ciągle znajduje się on w pierwszej dziesiątce najpopularniejszych języków, to jego pozycja od wielu lat spada. Jeszcze przed dekadą był szóstym pod względem popularności językiem na świecie, lecz w 2023 r. znalazł się na dziewiątym miejscu. Zdaniem niektórych rosyjskich socjologów ten spadek będzie się nasilał. Wskazują na to statystyki: w 1990 r. rosyjskim posługiwało się 321 mln ludzi na świecie, w 2023 r. ich liczba zmalała do 255 mln, a już za dwa lata – według prognoz – wyniesie 215 mln.

Przyczyn upatruje się w kryzysie demograficznym w Rosji, pogłębionym dodatkowo wojną na Ukrainie. Wojna wpłynęła też negatywnie na wizerunek tego państwa, czego rezultatem jest zanik zainteresowania kulturą rosyjską. Jak widać, długofalowe skutki moskiewskiej agresji mają bardzo zróżnicowany charakter.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock x3

Malediwy

Raj na ziemi?

Przeciętnemu mieszkańcowi Zachodu Malediwy kojarzą się z turystycznym rajem. Niewielu przybyszów z zagranicy zdaje sobie sprawę, że przyjeżdżają do jednego z najbardziej nietolerancyjnych religijnie krajów świata.

Konstytucja tego państwa wymaga, by wszyscy jego obywatele byli muzułmanami. Oficjalnie nie ma więc Malediwczyków wyznających inne religie. Jeśli któryś z nich porzuci islam, automatycznie traci obywatelstwo i wszystkie świadczenia państwowe, a na dodatek czeka go społeczny ostracyzm. Jedyni chrześcijanie na archipelagu to kilkuset obcokrajowców, którzy nie mogą jednak praktykować swojego kultu, ponieważ nie ma tam żadnych świątyń (Malediwy to jeden z trzech krajów świata, gdzie nie istnieje żaden kościół katolicki). Wyznawcy Chrystusa mogą się gromadzić jedynie w prywatnych domach, zachowując przy tym zasady konspiracji. W przeciwnym razie grozi im oskarżenie o prozelityzm – spotkało to pewnego nauczyciela z Indii, który został deportowany, ponieważ przegrał na szkolny komputer kilka pieśni maryjnych, a na dodatek odkryto u niego w domu Biblię i różaniec, co jest nielegalne.

Do radykalizacji wyznawców islamu doszło po 2004 r., gdy kraj dotknęło olbrzymie tsunami. Wówczas marokańscy imamowie, którzy przybyli na wyspy w ramach misji pomocowej, zinterpretowali kataklizm jako karę bożą za niedostateczne przestrzeganie przepisów religijnych. Część obywateli Malediwów zasiliła później szeregi ISIS, biorąc udział w walkach na terenie Syrii. Wielu z nich rekrutowano z młodzieżowych gangów, które nękają każdego, kto ich zdaniem nie jest wystarczająco dobrym muzułmaninem.

Malediwy mają też najwyższy na świecie wskaźnik rozwodów: 9 na 10. Przeciętna mieszkanka kraju w wieku lat 30 ma już za sobą trzy rozwody. Wynika to z faktu, że jedyną możliwością legalnego współżycia seksualnego jest małżeństwo. Tamtejsi mężczyźni żenią się więc po to, aby móc uprawiać seks, szybko się jednak nudzą żonami i zamieniają je na nowe. Czy to naprawdę raj?

Grzegorz Górny

eprasa.pl 14f4aa6b19

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ku pokrzepieniu...

Jan Pietrzak

W huku petard, obłokach gazu, wyciu wuwuzeli, wrzaskach prowokatorów, w zamęcie zadymy dla ocalenia zdrowia psychicznego dobrze jest przywołać stare żarty...

Kiedy osławione oddziały ZOMO zostały rozwiązane, rzucono hasło: „Obywatelu, w razie potrzeby weź pałkę i sam się pobij!".

W jaki sposób komuniści rozstali się z tamtym ustrojem? – Porzucili Marksa, zostawili sobie kapitał.

Tatusiu, co by było, gdyby nie było Polski Ludowej? – Wszystko.

Na skutek zamętu pojęciowego ludzie nie odróżniają prawicy od lewicy. To proste. Prawica sypie kurom ziarno, a lewica kradnie jajka.

Mikołajczyk to ciekawa postać historyczna. Jedyny premier, który sam uciekł.

Prawo Archimedesa w socjalizmie: ciało zanurzone w gównie traci na odwadze.

W stanie wojennym patrol zaczepia kobietę z walizką. – Co pani niesie? – Meble. Zaglądają, a w środku granaty. – To są meble? – Jaki pokój, takie meble.

W Sejmie przy udziale jednego posła odbyła się debata nad istotą parlamentaryzmu w dobie transformacji. Poseł podziękował nieobecnym kolegom za możliwość ustanowienia rekordu absencji.

Prywatyzacja po 1989 r. Nasz rząd sprzedaje nam nasze fabryki za nasze pieniądze. Nikt nie wie, w którym banku jest kasa...

Wprowadźcie socjalizm na Saharę, po tygodniu piachu zabraknie.

Podsłuchane w barze: Tusk jest jak wódka, obiecuje przyjemność, kończy się kacem.

Spóźniony poseł wpada do Sejmu i słyszy: 100 lat, 100 lat... Pyta – czyje to imieniny? To nie imieniny. Uchwalają nowy wiek emerytalny!

Dyrektor ośrodka badania opinii skarży się lekarzowi. – Nie mogę nocami spać. – Niech pan liczy barany. – Barany to ja liczę za dnia.

Mundur znów deptany

Samuel Pereira

Bez większego echa przeszła przez Polskę informacja o nagrodzie Orły 2024 za najlepszy film dla „Zielonej granicy" Agnieszki Holland. Abstrahując od niskiej jakości tej produkcji, głośno o niej było jeszcze przed premierą, a to z powodu przesłania politycznego, które sprowadziło się do szczucia na polskich strażników granicznych w czasie, gdy chronili polskich granic. W okresie największego w ostatnich latach napięcia na Wschodzie, w trakcie białorusko-rosyjskiej operacji wymierzonej w nasz kraj, znana artystka – wierna i usłużna wobec ekipy politycznej w czasie PRL i III RP – pełnymi garściami zaczerpnęła z fejków i antypolskiej propagandy, zamieniając je w film fabularny. Słusznie wywołało to oburzenie ludzi kochających Polskę o nastawieniu patriotycznym. Nie zgadzając się z nagonką na Straż Graniczną, protestowali. Wywołało to ogromne poruszenie w Polsce, a hasło „Murem za polskim mundurem" odżyło.

Co symptomatyczne, środowisko polityczne, które do grudnia 2023 r. było w opozycji i chętnie pluło na polski mundur, nazywało żołnierzy „śmieciami" albo broniło celebrytki, która wyzywała ich od „kur...", teraz, gdy jest u władzy, dalej ten mundur znieważa. Najpierw świeżo upieczony minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński, syn Andrzeja Kierwińskiego, oficera ludowego Wojska Polskiego (w służbie wojskowej od 1970 r., a od 1979 r. w Sekretariacie Komitetu Obrony Kraju – komórki kluczowej w systemie militarnym PRL), wysłał policję do osłaniania bezprawnych działań kolegi z partii, ministra Bartłomieja Sienkiewicza, w TVP, Polskim Radiu i PAP. Stało się to tydzień po zaprzysiężeniu rządu Donalda Tuska i było wyraźnym sygnałem, że od teraz policja będzie zbrojnym ramieniem bezprawia nowej władzy.

Kolejny raz rząd użył policji jako pałki wobec rolników 6 marca br. Funkcjonariusze z długą bronią w ręku, gazem i w towarzystwie policyjnych polewaczek ruszyli na ludzi, którzy śmieli sprzeciwić się polityce rolnej „uśmiechniętej" koalicji, bili i rzucali w nich kamieniami. Kilka lat budowania dobrego imienia służb mundurowych zostało utopionych w błocie nienawiści pomarańczowych, żółtych, zielonych i czerwonych do rolników.

eprasa.pl 14f4aa6b19

BRONISŁAW WILDSTEIN

O potworach i ich władzy

Nagrodę Polskiej Akademii Filmowej za miniony rok dostała „Zielona granica" Agnieszki Holland, a ona sama została uhonorowana za całokształt swojej twórczości. O filmie tym pisałem już, zaznaczając, że nie wypowiadam się na temat jego artystycznych walorów. Nie oglądałem go, gdyż nie chcę finansować złej sprawy. Nie oznacza to, że dzieło Holland musi być kiepskie – to zdolna reżyser, ale im lepszy obraz poświęcony złej sprawie, tym gorzej. Emblematycznymi tego przykładami jest sztuka sowiecka czy nazistowska. W tym wypadku chodzi o wsparcie moskiewskiej prowokacji, której sukces oznaczałby destabilizację naszego kraju i blokował pomoc Ukrainie. To, że artyści uczestniczyli w tej operacji z innych powodów niewiele zmienia.

O tym, że „Zielona granica" nie jest traktowana głównie jako dzieło artystyczne mówią sami zainteresowani. Prezes Akademii Filmowej, Dariusz Jabłoński, rozwodząc się nad twórczością Holland, ogłosił: „najbardziej cenić ją będziemy za to, że w trudnych czasach w Polsce reżyserka tak uzdolniona i utytułowana wezwała swoich współpracowników, wzięła kamerę i pobiegła robić film w lasach i na bagnach o granicy polsko-białoruskiej. To jest przykład takiego dokonania artystycznego, które powinno świecić nam na zawsze".

A więc chodzi o bieganie po lasach i bagnach „w trudnych czasach". Potwierdziła to Holland, deklarując: „Wszyscy jesteśmy dumni, że zrobiliśmy film z potrzeby serca, gniewu, rozpaczy, ale też z nadziei, że możemy tym filmem coś zmienić. Więc cieszę się, żeście również wy – Akademio – przyznali nam za ten film nagrodę".

Cieszmy się więc, ale zaraz... Czy zapora została zlikwidowana, a granica otwarta, jak domagali się ci, którzy wymyślali rządowi PiS od zbrodniarzy, a psami i mordercami nazwali Straż Graniczną? Jedyną deklaracją nowego rządu, którego przedstawiciele będąc w opozycji, organizowali tę kampanię nienawiści, było ogłoszenie, że „granica została uszczelniona". Okazuje się więc, że zbrodnią PiS był brak zdecydowania w blokowaniu nielegalnych przejść. Czy o to chodziło twórcom i zwolennikom „Zielonej granicy"?

Jeśli nie, to dlaczego rozdanie Orłów nie przekształciło się w wielką manifestację przeciw rządzącym, tak jak swego czasu gala Nike, na której ogłoszono, że wobec zła, które dzieje się na granicy, literatura musi zamilknąć i przyznanie nagród w tej dziedzinie stać się powinno antypisowską demonstracją? Owszem, Orły były antypisowską manifestacją, ale przecież dziś rządzi kto inny.

Holland oświadczyła: „Tymczasem na tej granicy, którąśmy opowiadali, wciąż dzieją się rzeczy, które dziać się nie powinny. Wiem: geopolityka, wielkie sprawy, bezpieczeństwo granic – ale wiem też, że w momencie, kiedy Straż Graniczna dalej torturuje ludzi i okazuje im pogardę, to nie ma zwycięstwa demokracji i człowieczeństwa". Powiedziała to, dostała brawa, ale dużo więcej miejsca poświęciła kwestii tantiem, których nie otrzymują twórcy filmowi. A na sali, jak ogłosił to Jabłoński, był sam kwiat obecnie rządzących: przywitał on marszałek Senatu Małgorzatę Kidawę-Błońską, deklarując, że „Polska Akademia Filmowa jest z nią"; potem wicemarszałków, senatorów i kolejnych polityków rządzącej koalicji za każdym razem witanych gromkimi oklaskami. „W tym roku jest państwa wyjątkowo dużo. Właściwie ocieramy się o większość konstytucyjną, kochani. Brawo!" – unosił się ze sceny Jabłoński.

A gdzie dzieci z Usnarza? A „tortury" na granicy?!

Dwa miesiące temu na łamach „Wyborczej" ukazał się artykuł socjolog i aktywistki granicznej Małgorzaty Tomczak. „Po dwóch latach pisania o migracji i kryzysie na granicy nie mam wątpliwości, że wytwarzamy fałszywą wiedzę" – brzmi jego pierwsze zdanie. Autorka pisze wprost, że rzeczywistość pokazana w „Zielonej granicy" ma niewiele wspólnego z prawdą. Czy twórcy filmu, który miał być odpowiedzią na konkretne wydarzenia, odnieśli się do tej udokumentowanej relacji i to ze swojej strony?

Skądże.

Orła dla serialu otrzymał „1670". Krytycy jednogłośnie biją brawo. Rozumiem, że historię Polski trzeba przedstawić jako dzieje kretynów, ale czy musi to być aż tak głupie, toporne i nudne? Czy marka Netflixa wystarczy?

„Żyjemy dzisiaj w świecie, w którym zaczynają rządzić potwory" – ogłosiła Holland. Nie, nie zaczynają, już od dłuższego czasu coraz mocniej czujemy ich brutalny nacisk. Ostatnio wygrały wybory w Polsce. Władając w innych niż polityka dziedzinach, podporządkowały ją sobie. Opanowały zbiorową wyobraźnię i intelekt, dzierżąc instytucje, które sprawują nad nimi pieczę, takie jak kultura masowa, internet czy uniwersytety. Potrafią się ze sobą pokłócić o łupy i dywidendy, ale zawsze dogadają się, gdy ktoś zagraża ich pozycji. Zarażają nas strachem i nienawiścią, aby pod karnawałową maską znieczulać piosenką o wolności, sztuce czy demokracji. Przyznają sobie nagrody i tytuły. Mamy je wielbić i adorować. I posłusznie dawać się pożerać.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 14f4aa6b19

Walizka Andrzeja Rosiewicza

piosenkarza estradowego, gitarzysty, tancerza, satyryka, kompozytora i choreografa

Moja podróż w rytmie cza-czy trwa ponad 70 lat i nie zamierzam jej przerywać. Śpiewając ze wspaniałymi artystami, byłem na kilku kontynentach – wystąpiłem w 24 krajach. Ale nie od samego początku to były wielkie sceny, bo zaczynałem skromnie – w małych klubach i restauracjach, gdzie wzmacniacz dowoziłem... rowerem. Ponieważ z wykształcenia jestem magistrem inżynierem melioracji, zdarzył mi się epizod na budowie. Miałem to szczęście, że jako obywatel Polski Ludowej mogłem podróżować na Zachód, co było marzeniem prawie każdego, kto mieszkał w demoludach. Czterokrotnie zostałem laureatem Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, m.in. za piosenkę „Samba Wanna Blues", zaśpiewaną z Asocjacją Hagaw w 1970 r.

Otrzymałem też I nagrodę w konkursie Premiery za piosenkę „Najwięcej witaminy" w 1980 r. Po drodze było jeszcze kilka nagród. Wielkim szczęściem od losu było spotkanie Jerzego Gruzy, reżysera wspaniałych sztuk, kabaretów, rewii i seriali, zresztą do jego „Czterdziestolatka" nagrałem tytułową piosenkę „40 lat minęło". W 1979 r. Jurek zaprosił mnie do Sopotu, gdzie według jego koncepcji wykonałem lot nad całą publicznością, po czym wylądowałem na scenie. W Berlinie Wschodnim i Zachodnim też miałem „przyjemność" koncertować z Asocjacją Hagaw jako support przed Cześkiem Niemenem. Nie mogąc się go doczekać, publiczność niemiłosiernie nas wygwizdała... po obu stronach granicy.

MUCHY

Wiele lat temu wpadłem na pomysł, że fajnie byłoby występować z dużą muchą. Po drodze miałem wiele much, trochę pogubiłem, a kilka otrzymywałem też od moich wielbicielek. Jedną z nich wręczyłem w prezencie Michaiłowi Gorbaczowowi po koncercie na Wawelu w 1988 r.

KAPELUSZE I CYLINDRY

Zakładam je po to, by podkreślać elegancki poziom artystyczny moich występów.

eprasa.pl 14f4aa6b19

PŁYTY CD

Nie próżnowałem też w branży CD. Z powodu mojego zamiłowania do stepowania wydałem „Od inżyniera do Fred Astera". Po tyłu latach nagrywania musiały się pojawić „Złote przeboje Andrzeja Rosiewicza" w tej wersji. Z kolei owocem troski o mój kraj były „Pieśni i piosenki patriotyczne" oraz „Płyta Biało-Czerwona". Powstała też seria trzech płyt: „Gdy się naród obudzi" (stale aktualny apel do Polaków), „Bando, bando" i „Po bandzie". Ponieważ „banda" wróciła, muszę nagrać kolejny odcinek...

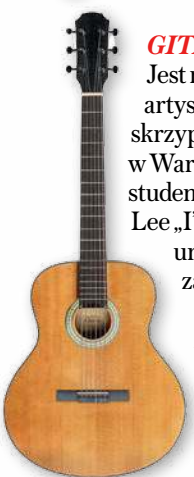

GITARA

Jest mi bardzo bliska od dziecka, a w moim artystycznym życiu studenckim grała pierwsze skrzypce. W klubie Medyka przy ul. Oczki w Warszawie organizowano tzw. kiermasze piosenki studenckiej, gdzie zaśpiewałem cover piosenki Brendy Lee „I'm sorry" z moimi słowami „Nie chciałem cię urazić". Mimo dużej konkurencji, zająłem pierwsze miejsce.

BIOGRAFICZNA KSIĄŻKA

Oryginalnie tytuł miał brzmieć „Od niewoli do swawoli". Nie wiem, co pili w drukarni, ale cały nakład poszedł z tytułem „Od niewoli do niewoli", co niestety, patrząc na aktualną sytuację polityczną, było prorocze. Moje świadectwo 70-letniego życia artystycznego w formie wywiadu rzeki cierpliwie spisał Michał Krajski.

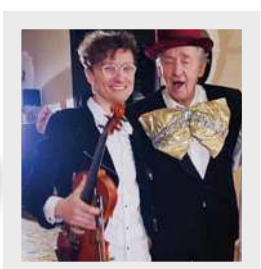

SENTYMENTALNA PODRÓŻ

Tak mogę powiedzieć o nagraniu piosenki „Czy czuje pani cza-czę" w nowej aranżacji razem z młodym i zdolnym skrzypkiem (oraz kompozytorem i piosenkarzem) Marcinem Skabą. Dodatkowo wystąpił lekarski chór oraz balet lekarek seniorek, który można zobaczyć w teledysku. Pieczę nad całym projektem sprawowała menedżerka Sylwia Gołecka i Fundacja Medici Cantares.

WYBRANE PŁYTY ANALOGOWE

„Songs of The Cossacks. Andrzej and his Friends" – to moja pierwsza płyta długogrająca nagrana w Londynie w 1969 r. „Asocjacja Hagaw & Andrzej Rosiewicz" z lat 70. Owoc współpracy z Grzegorzem Brudką i innymi fajnymi muzykami. Przez osiem lat odnosiliśmy razem sukcesy na różnych festiwalach. „UFO/Żniwo" – dwupłytowy album wydany w 1980 r. Znalazły się na nim przeboje, takie jak „Czy czuje pani cza-czę" oraz „Zakochany bałwan". Naprawdę „Dobrym interesem" było pojawienie się na rynku w 1981 r. płyty pod tym tytułem, gdzie królowali „Chłopcy radarowcy" oraz „Najwięcej witaminy". Z kolei krążek „Andrzej Rosiewicz", wydany przez Arston w 1987 r., zawiera kultową piosenkę „Wieje wiosna od wschodu" czyli Michaił, Michaił...

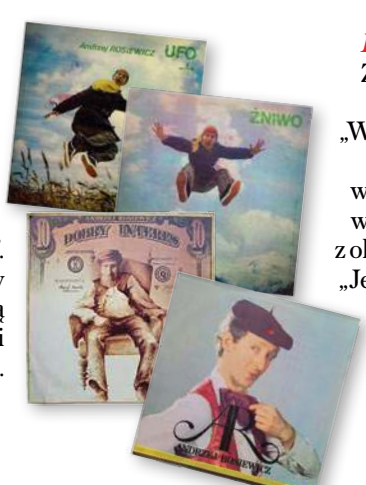

ODZNACZENIA

Moje artystyczne emploi kilkakrotnie zostało docenione. W 1979 r. otrzymałem Srebrny Krzyż Zasługi, a w 2000 r. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W 2015 r. zostałem odznaczony przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

RUCH NAPRAWY POLSKI

Znam piękną piosenkę Alberta Harrisa ze słowami w refrenie „Warszawo, kochana Warszawo". Ponieważ jestem rodowitym warszawiakiem, będę startować w wyborach do Rady Warszawy z okręgu żoliborskiego po hasłem „Jestem ładny, chcę być radnym".

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

Fot. Michał Korsun, Sylwia Gołecka, materiały prasowe prezydent.pl, Shutterstock

eprasa.pl 14f4aa6b19

OGNIEM NA WPROST

Siergiej Kotow puścił bąble

Andrzej Rafał Potocki

Tydzień temu pisałem tu o Mychajle Tkaczu, zwanym omyłkowo dziennikarzem, który został zatrzymany przez polską policję ponoć przy białoruskiej granicy podczas robienia zdjęć do materiału dotyczącego tranzytu towarów z Rosji i Białorusi. Okazało się, że rzeczony koleś został zatrzymany, ale nie na granicy, jak twierdził, tylko już w głębi Polski (80 km od Białorusi), w Łukowie, na zachód od Białej Podlaskiej. To tam filmował urządzenia kolejowe oraz wagony ze zbożem jadące ze Wschodu. Nie wiadomo, jakie to transporty filmował, ale przyjmijmy, że jechały one z kierunku mińskiego. Okazuje się, że UE w ciągu trzech lat sprowadziła z Rosji nieco mniej niż 3,5 mln t zbóż i blisko 5 mln t roślin oleistych. Z tego do Polski trafiło trochę ponad 600 tys. t zbóż i 60 tys. t roślin oleistych. Łącznie w tym czasie do UE wjechało trochę ponad 8 mln t rosyjskich produktów rolnych. Rzeczywiście porażająca ilość. Tymczasem tylko w ub.r. do Polski trafiło 4,5 mln t ukraińskiego zboża. Podobne dane podają także sami Ukraińcy. Widać, że mamy do czynienia ze spadkiem importu z Rosji i Białorusi. Kłamstwem i manipulacją niegodną dziennikarza jest też pominięcie zachodnich odbiorców towarów z Rosji. Ukraińscy czytelnicy mają dobrze mówić o Niemcach i Francuzach, ale pluć na Polaków. Panie Tkacz, to nieprawda, że w Moskwie rozdają samochody. Nie samochody, tylko rowery, nie w Moskwie, a w Petersburgu i nie rozdają, tylko kradną.

Ukraina skutecznie pozbawiła Rosję inicjatywy na Morzu Czarnym, zmuszając Flotę Czarnomorską do przyjęcia postawy defensywnej i wycofania się do wschodniej części tego akwenu. Kacap boi się o swoją flotę już we własnych portach, nie mówiąc o wypływaniu i zapuszczaniu się na zachodnią część Morza Czarnego. Dzięki temu, co ciekawe, Ukraina zwiększyła eksport swoich towarów drogą morską do poziomu sprzed wojny – przekazał niedawno brytyjski resort obrony. W codziennej aktualizacji wywiadowczej napisano, że na początku konfliktu na Ukrainie rosyjska Flota Czarnomorska zachowywała zdolność poruszania się po całym Morzu Czarnym. Jednak zmieniło się to w efekcie ukraińskich sukcesów w użyciu asymetrycznych środków walki, takich jak różnego rodzaju pociski kierowane i łodzie bezzałogowe. Od czasu upadku Czarnomorskiej Inicjatywy Zbożowej strona ukraińska zdominowała zachodnią część Morza Czarnego. To zaowocowało zwiększeniem eksportu jednostronnym korytarzem humanitarnym, w efekcie czego dziś jest on wyższy niż w czasie obowiązywania Inicjatywy Zbożowej i wrócił do poziomów sprzed wojny (sic!). Pytanie do wiceministra gospodarki i handlu Ukrainy pana Kaczki, który tak chętnie krytykuje naszych rolników: po co ta cała draka o sprzedaż zboża do Polski?

Działający na Krymie ruch partyzancki ATESZ może się pochwalić kolejnym sukcesem. W nocy z 2 na 3 marca w tymczasowo okupowanej przez Federację Moskiewską Teodozji został zniszczony ruski ropociąg. Sami Moskale podali, że ropną magistralę zaatakowało 38 dronów. Kanał na Telegramie o nazwie „Wiatr z Krymu" poinformował, że wybuchy były słyszalne w okolicach ropociągu, a następnie wyjechały tam wozy strażackie i karetki pogotowia. Most Krymski został zamknięty dla ruchu pojazdów. Jak już jesteśmy na Krymie, to następnego dnia po trafieniu w ropociąg ukraińskie bezzałogowce uszkodziły rosyjski okręt patrolowy Siergiej Kotow. Andrij Jusow, rzecznik ukraińskiego wywiadu wojskowego, informuje, że „na lądzie w pobliżu miejsca dzisiejszego ataku na okręt było przynajmniej 10 karetek pogotowia. Odbywała się ewakuacja". Wcześniej ten okręt był już uszkodzony przez siły ukraińskie, jednak wyremontowano go i powrócił na morze. Jusow dodał również, że wspomniany okręt wcześniej uczestniczył w ataku na Wyspę Węży: „Siergiej Kotow dołączył do krążownika Moskwa" – mówi rzecznik. Statek doznał uszkodzeń rufy, prawej i lewej burty. Następnego dnia okazało się, że jednostka „puściła bąble" i zniknęła pod powierzchnią morza. Wartość zatopionego okrętu to ok. 65 mln dol. No, to wznosimy kolejny toast: „Za Flotę Czarnomorską – do dna!".

Ale nie samymi sukcesami wojna żyje. Według amerykańskiej stacji CNN ukraińskie wojska nieprawidłowo zaplanowały odwrót z Awdijiwki, zdobytej przez siły rosyjskie 17 lutego. Utrata kontroli nad kilkoma wsiami na zachód od miasta świadczy o tym, że Ukraińcy nie byli w stanie powstrzymać dalszego natarcia Rosjan, co nie jest dobrą prognozą na kolejne tygodnie – oceniła stacja. Zwrócono też uwagę, że głównodowodzący SZU gen. Ołeksandr Syrski publicznie skrytykował i odwołał dowódców winnych błędów „bezpośrednio zagrażających życiu i zdrowiu" żołnierzy. Na wojnie, jak to na wojnie. Wszystko jest w rękach Boga – mawiał nasz marszałek Józef Piłsudski.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 14f4aa6b19

Niezbędne NATO

Marta Kaczyńska-Zielińska

Sojusz Północnoatlantycki, do którego Polska przystąpiła 25 lat temu, to pierwsza organizacja wojskowa stworzona w czasie pokoju poza półkulą zachodnią, do której dołączyły Stany Zjednoczone. Oznaczało to odejście od izolacjonistycznej polityki USA sprzed 1941 r., gdy odrzucenie przez Kongres koncepcji zaangażowania w bezpieczeństwo Europy prezydenta Woodrowa Wilsona otworzyło Hitlerowi drogę do rozpętania II wojny światowej.

Po zakończeniu wojny Stany Zjednoczone zaczęły prezentować nową linię wobec Europy. Prezydent Harry Truman i jego doradcy dostrzegli potrzebę zapewnienia zbiorowego bezpieczeństwa przed ekspansjonistycznym Związkiem Sowieckim. Sowiecka blokada Berlina Zachodniego i sponsorowany przez Moskwę zamach stanu w Czechosłowacji zwiększyły obawy dotyczące wtrącania się ZSRS w sprawy Grecji i Turcji. Amerykańscy urzędnicy obawiali się także, że państwa Europy Zachodniej mogą znaleźć się w sytuacji zagrożenia ich niepodległości. Truman w swoim przemówieniu do Senatu, wzywając do ratyfikacji traktatu NATO, mówił: „Narody podpisujące ten traktat mają wspólne dziedzictwo demokracji, wolności jednostki i praworządności. Amerykańscy członkowie społeczności północnoatlantyckiej wywodzą się bezpośrednio od członków europejskich w tradycji i umiłowaniu wolności. [...] Umiłowanie wolności i chęć jej obrony pozostają rdzeniem zaangażowania NATO".

Pierwotnie Sojusz został zoptymalizowany pod kątem długotrwałej, dwubiegunowej zimnej wojny i miał stosunkowo prostą misję: powstrzymać Sowietów. Łącząc europejskie demokracje, NATO zmniejszyło ryzyko brutalnych konfliktów, które dominowały na kontynencie do końca II wojny światowej. Zapewniło silną przeciwwagę Rosji i komunizmu, pomagając pokonać tę ideologię.

Po upadku komunizmu nastał czas optymizmu w zakresie europejskiego bezpieczeństwa. Z czasem Zachód zaczął tracić czujność względem imperialnej natury odradzającego się imperializmu moskiewskiego. Rozszerzenie NATO o nowych sojuszników, w tym Polskę, świadczyło o jednoznacznym zwróceniu się naszej części Europy w kierunku wartości, w których obronie został ukonstytuowany Pakt Północnoatlantycki i przekonaniu, że silne gwarancje sojusznicze mogą nam zapewnić stabilną pozycję w Europie i na świecie. W tym miejscu warto przypomnieć, że na początku lat 90. idea przystąpienia do NATO nie była w Polsce powszechnie akceptowana, a jej propagatorzy, m.in. Lech i Jarosław Kaczyńscy, byli krytykowani przez zwolenników utworzenia NATO-bis i pozostawienia wojsk sowieckich na terytorium Polski. Warto przypomnieć, że dopiero dzięki stanowczej postawie rządu Jana Olszewskiego wojska sowieckie opuściły Polskę w 1993 r.

Inwazja Rosji na Gruzję w 2008 r. nadała NATO nowy cel. Słowa śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego wygłoszone w Tbilisi, mówiące o możliwym ataku na Ukrainę, państwa bałtyckie i Polskę zaczęły się spełniać, gdy w 2014 r. Rosja zaatakowała Ukrainę. Późniejsze działania FR, w tym zestrzelenie samolotu Malaysia Airlines nad Ukrainą oraz zwiększona agresja w powietrzu i na pełnym morzu wokół peryferii NATO, zbliżyły członków Sojuszu.

Od 24 lutego 2022 r., czyli rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, zasadność wzmacniania Paktu nie powinna podlegać dyskusji. NATO z udziałem Amerykanów niemal w każdym aspekcie ma większy potencjał militarny niż Rosja. Rację ma prezydent Donald Trump, od lat nawołujący państwa Europy Zachodniej o zwiększenia wpłat na Sojusz. Władimir Putin szykuje swój kraj na długą, bezwzględną wojnę. W 2024 r. na wydatki wojskowe ma przeznaczyć jedną trzecią budżetu państwa, czyli ok. 110 mld dol. Rosja może planować atak na mniejszych sojuszników NATO – kraje bałtyckich lub na Bałkanach. Może liczyć na to, że takie postępowanie mogłoby spowodować pęknięcia w Pakcie, gdy większe narody będą debatować nad swoją gotowością do walki o najmniejszych sojuszników. Gwarancją jest jednak art. 5 paktu NATO i niedawno przyjęta nowa strategia Sojuszu obligująca jego członków do reagowania.

Opowieści o powoływaniu europejskiego tworu militarnego, który miałby się stać alternatywą dla NATO, jest otwarciem kolejnej ścieżki zmierzającej do samobójstwa Europy i preludium wybuchu wojny, która bezpośrednio zagraża Polsce.

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

Pani Profesor Elżbiety Starosławskiej

wybitnej onkolog, wieloletniej dyrektor Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej. Osoby pełnej wiary w Boga i drugiego człowieka. Poświęcającej swoje życie, by ratować i dawać nadzieję w najtrudniejszych momentach.

Wyrazy głębokiego współczucia

RODZINIE
oraz
WSZYSTKIM BLISKIM

składa
Zbigniew Ziobro
Poseł na sejm RP

5/0324/F

eprasa.pl 14f4aa6b19

TRENDY I OWĘDY

Pogromcy ulic

Ci którzy wieszczyli, że koalicja 13 grudnia zdewastuje państwo, nie mogą się czuć zawiedzeni

Ryszard Makowski

Ich profetyzm był nawet minimalistyczny, bo tempo degradacji sfery publicznej zaskakuje. A i tak odbywa się to w atmosferze wstrzemięźliwości przed wyborami samorządowymi. Choćby w sprawie CPK trwa kontredans ekspertów krętaczy. Niby tak, ale nie? W lipcu śmiało oświadczą, że PCK musi wystarczyć. Gdyby za tych parę miesięcy panoszenia się ponad prawem władza dostała przy urnie żółtą kartkę, to może ostudziłaby swoje zapędy. Wrzucenie głosu rozsądku do urny jest skuteczniejsze niż manifestacje uliczne. Ale niestety znaleźliśmy się w takim momencie, kiedy słowa straciły wartość, prawda nie jest argumentem, a karnawał niegodziwości ma pokaźną rzeszę apologetów.

Weźmy choćby Warszawę. Mieszkańcy płacą za wywóz śmieci kwoty będące pochodną przetargów, po których jeden z prominentów ratusza poszedł do więzienia. Zero refleksji. Radują się z nowych linii tramwajowych i ścieżek rowerowych. Natomiast dla wybrańców rząd kupuje 77 nowych luksusowych limuzyn, które będą śmigać po stolicy. Zero refleksji.

Dla mnie miarą upadku ducha Warszawy jest odebranie ulic Jackowi Kaczmarskiemu i Przemkowi Gintrowskiemu. Najwybitniejsi twórcy mojego pokolenia, związani w warszawskimi klubami studenckimi, zostali pozbawieni ulic. Zero refleksji. Ale za to są tu rozwiązywane światowe problemy. Prezydent Warszawy: „Niech pan zobaczy, co się dzieje za oknem. Planeta się pali!". Streścić stołeczną myśl ekologiczną można znanym zawołaniem: „Te wariat, Wisła się pali".

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR x3, M. KORSUN, AA/ABACA/EASTNEWS, F. NAUMENKO/REPORTER, A.MICHAILIDIS/SHUTTERSTOCK

Autopromocja

eprasa.pl 14f4aa6b19

Będę podążać jej szlakiem

*Z aktorką **Agnieszką Grochowską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

To kolejny Orzeł, który do pani trafił. Tym razem za rolę pułkownikowej Giżyńskiej w filmie „Kos". Emocje były duże?

Agnieszka Grochowska: Przede wszystkim byłam przekonana, że nagrodę dostanie Kinga Preis. Decyzja Akademii mnie zaskoczyła i w nerwach, po odebraniu statuetki, zapomniałam, co obiecałam swoim dzieciom – że gdybym jednak wygrała, na koniec powiem ze sceny: „Niutku, Władziku, dziękuję wam najbardziej. Jesteście najlepsi".

„Kos" zdobył aż sześć Orłów.

I te nagrody cieszą tym bardziej, że konkurencja była niezwykle silna. Na statuetki zasługiwało wielu nominowanych twórców. I to też jest wspaniałe, bo przy tak silnej reprezentacji wszyscy wygrywamy. Wygrywa polskie kino.

Pani bohaterkę otaczają wyraziści mężczyźni. Przypomnijmy, z kim siadała pani do filmowego stołu.

Z Jackiem Braciakiem, Robertem Więckiewiczem, Piotrkiem Packiem, Jasonem Mitchellem i Bartoszem Bielenią, a nad wszystkim czuwał reżyser Paweł Maślona. Jestem zaszczycona, że mogłam z nimi pracować i bardzo wszystkim gratuluję, bo tworzą rzeczy wspaniałe, coraz wspanialsze. Aż strach pomyśleć, co będzie za rok lub dwa.

Pułkownikowa nie dała się stłumić silnej męskiej reprezentacji. Polubiła ją pani? Coś pani od niej przejęła?

Lubię ją za hardość i odwagę. Za to, że jest silna, a jednocześnie nie gubi tego czucia, które ma w sobie, tej miękkości i intuicji. Nie musi się zamieniać w głaz, by być mocną kobietą. Mam wrażenie, że będę podążać jej szlakiem.

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

polsat box wcześniej Cyfrowy Polsat NA POZYCJI 196 | NETIA NA POZYCJI 192 | orange NA POZYCJI 32

vectra NA POZYCJI 825 | PLAY dawniej UPC NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

eprasa.pl 14f4aa6b19

Tusk na pełnym gazie

MAREK PYZA

eprasa.pl 14f4aa6b19

Fot. Filip Naumienko/REPORTER

Scena 1. Ul. Wiejska, róg Frascati. Kordon ponad 30 policjantów powoli przesuwa się w stronę grupki pięciu mężczyzn stojących kilka metrów przed nimi. Nie wiemy, co się działo wcześniej, ale teraz nie są agresywni, po prostu stoją na ulicy. Podbiega kilku policjantów. Mężczyzna z biało-czerwoną flagą zostaje złapany, zaciągnięty poza kordon i natychmiast rzucony na ziemię. Skuwa go kajdankami dwóch funkcjonariuszy. Dobiega trzeci. Jeden próbując okiełznać rzucającego się, depcze flagę. Dochodzą kolejni mundurowi. W pewnym momencie z zatrzymanym szarpie się już sześciu policjantów. Trzech siada na nim, przyciska kolanami do ziemi, trzech trzyma za nogi. Jeden całym swoim ciężarem dociska głowę mężczyzny do asfaltu. Po chwili inny – być może przypadkowo – kopie go w twarz. Mężczyzna krzyczy, upominają się o niego stojące z boku postronne osoby. Policjanci się nie przejmują, dowódca każe odejść: „Działania policji, proszę za tyralierę!".

Scena 2. Ul. Frascati, róg Wiejskiej. Znajdujemy się przy wjeździe do kancelarii prezydenta, obok budki strażników, odgrodzonej barierkami. Na pierwszym planie morze białych kasków, bo na wąskim przejeździe kłębi się ok. 50 policjantów z oddziałów prewencji. W tle, pod budynkiem mieszkalnym przy ul. Wiejskiej, grupka manifestantów z biało-czerwonymi flagami. Wybuchają petardy, strzelają race, jest sporo dymu. Policjanci powoli ruszają w kierunku protestujących. Nie zachowują szyku, drepczą w nieładzie przed siebie. Nagle jeden z nich podchodzi do barierek, podnosi jakiś przedmiot (na filmie wygląda jak kawałek kostki brukowej), bierze solidny zamach i rzuca w kierunku grupy osób z flagami. Rzecz niesłychana, karygodna.

Scena 3. Ul. Matejki, róg Wiejskiej, na wysokości głównego wjazdu do Sejmu.

Nowy rząd chce, byśmy się bali. Pokazał, że tych, z którymi mu nie po drodze, będzie wyzywać od chuliganów, traktować gazem i bić. Sceny, które widzieliśmy w środę przed Sejmem, przywołują na myśl nie tylko poprzednie rządy obecnego premiera, gdy organizowano prowokacje wobec demonstrantów i strzelano do górników, lecz także czasy PRL-owskiego zamordyzmu, gdy białe kaski Milicji Obywatelskiej miały umacniać władzę ludową. Koalicji 13 grudnia spodobało się na ścieżce Jaruzelskiego

eprasa.pl 14f4aa6b19

Na ulicy gęsty kordon kilkudziesięciu policjantów w szyku bojowym, z tarczami, gotowych do ataku. Czterech funkcjonariuszy zdecydowanym krokiem podchodzi do mężczyzny w żółtej kamizelce. Ten rozkłada ręce w pasywnym geście, jest szarpany, by zabrać go za kordon. Stawia się, lecz nie używa przemocy. Ktoś łapie go za rękę, próbując przeszkodzić policjantom. Sytuacja staje się skandaliczna, gdy czterech funkcjonariuszy próbuje zabrać mężczyznę z tego miejsca, a do pomocy dołączają ich koledzy z miotaczami gazu pieprzowego. Podchodzi kilku dziennikarzy i fotoreporterów, by uwiecznić zdarzenie. Dookoła stoją setki ludzi. Nie widać żadnej agresji wobec policjantów, nawet wulgarnych okrzyków. A jednak mundurowi zaczynają lać gazem niczym w śmigus-dyngus. Psikają na oślep, szeroko machając rękami uzbrojonymi w czerwone butle. Słychać krzyk kobiet. Dostają postronne osoby, również przedstawiciele mediów.

KONFRONTACJA ZAPLANOWANA

A przecież to nie wszystko. Tego dnia policjanci jeszcze wielokrotnie popisywali się brutalnością. Pozwalali sobie na zachowania, których nie widzieliśmy od wielu lat – od czasów pierwszych rządów PO i PSL.

W czasie rządów Zjednoczonej Prawicy wielokrotnie demonstrowano, czasem bardzo ostro. Ale policja nigdy nie zachowywała się w ten sposób. Nie mieliśmy do czynienia z prowokowaniem tłumu przez funkcjonariuszy. Oddziały prewencji, jeśli w ogóle pojawiały się na manifestacjach, nie były wystawiane do konfrontacji z demonstrantami – czekały w bocznych uliczkach, w sporej odległości od tłumu, a nie weń wchodziły. Nie używano gazu wobec osób niewykazujących żadnej agresji. Nie wyposażano policjantów w broń gładkolufową (zdaje się, że nie wydarzyło się to ani razu). Zachowywali oni stalowe nerwy i nie dawali się sprowokować. Nawet wtedy, gdy byli lżeni, opluwani, gdy ich szarpano, popychano.

Co mamy dziś? Zarzuty przedstawione 14 z zatrzymanych 55 osób. Podejrzani odpowiedzą za udział w zbiegowisku (!), znieważenie, naruszenie nietykalności cielesnej policjantów, narażenie człowieka na niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, a także przestępstwa narkotykowe. Gdyby w taki sposób reagowała policja w latach 2015–2023 po wielu marszach KOD, czarnych protestach i innych zadymach, zarzutami byłyby objęte setki osób.

> Władza chciała pokazać rolników jako agresywny motłoch. W głowach obserwatorów miało pozostać wrażenie, że za zamieszki są odpowiedzialni organizatorzy protestu. A zatem w naturalny sposób miała gasnąć sympatia do słusznych postulatów i odwrót opinii publicznej od farmerów

Pamiętamy ciamajdan w Sejmie w końcówce 2016 r., gdy manifestujący próbowali nie wypuścić posłów wyjeżdżających z parlamentu, rzucali się na samochody. Nagle w eter poszedł fake news o użyciu gazu przez policję, a mąż lewicowej aktywistki i radnej położył się na ulicy i udawał martwego, by wykreować przekaz o brutalnej policji. Kłamstwa długo się nie utrzymały, ale ówczesna opozycja zdążyła pokrzyczeć o moralnym końcu władzy, która podczas pokojowej demonstracji używa gazu.

Dopiero w minionym tygodniu wróciło wszystko, co kojarzy się z zamordystycznym rządem, który siłą chce tłumić demonstracje. Nie może być przypadkiem, że wraz ze zmianą ekipy w Al. Ujazdowskich zmienia się również taktyka mundurowych podczas protestów społecznych.

Na antenie telewizji wPolsce.pl nadkom. Dariusz Loranty, były policyjny negocjator, mówił: „Wiem, jak przebiegały decyzje w sprawie Marszu Niepodległości, dlatego te decyzje nie musiały zapadać na wyższym szczeblu niż policyjny; bardzo wielu szefów policji w lot odgaduje oczekiwania swoich przełożonych i dostosowują się do oczekiwań władzy politycznej". Zapewne tak jest, ale trudno uwierzyć, że jeden czy drugi komendant samodzielnie podejmują decyzję o brutalnej taktyce wobec cieszących się społecznym poparciem rolników, po której jego cywilni zwierzchnicy, a właściwie cały obóz polityczny, staje się w oczach opinii publicznej bezwzględnym reżimem pacyfikującym manifestacje niczym rządząca kiedyś junta. O tym, jak potraktować rolników, musiano zdecydować w gabinetach ministerialnych, a nie na policyjnych odprawach.

„Gdy zobaczyłem, jak przygotowana jest policja, jak przygotowane są oddziały prewencji – hełmy, tarcze, pałki, ostentacyjnie noszona broń gładkolufowa, działko wodne stojące na miejscu – to wszystko świadczyło o tym, że scenariusz, jaki został ułożony w sztabie, był scenariuszem konfrontacyjnym. To nie był scenariusz zabezpieczenia manifestacji i zapewnienia bezpieczeństwa uczestnikom legalnej manifestacji. A to powinien być cel policji" – mówił w telewizji wPolsce były szef MSWiA Mariusz Kamiński.

Jak dodał, u wyjątkowo zdyscyplinowanych funkcjonariuszy prewencji nie ma miejsca na improwizację, im nic nie może się wymknąć spod kontroli, wszelkie ich działania determinują rozkazy. A zatem decyzja, że ma być groźnie, musiała zapaść na poziomie politycznym.

CZARNA PROPAGANDA

Władza chciała pokazać rolników jako agresywny motłoch. W głowach obserwatorów miało pozostać wrażenie, że za zamieszki są odpowiedzialni organizatorzy protestu. A zatem w naturalny sposób miała gasnąć sympatia do słusznych postulatów i odwrót opinii publicznej od farmerów.

Przecież rolnicy wraz ze wspierającymi ich innymi grupami zawodowymi i związkowcami stanowią dziś największe zagrożenie dla zamordystów Tuska również dlatego, że z ich postulatami solidaryzuje

eprasa.pl 14f4aa6b19

się większość społeczeństwa. Trzeba więc było wykreować propagandowy przekaz, że to chuligani, z którymi się nie rozmawia.

I tak premier przedstawił to w czwartkowy ranek. Zanim wyruszył do swoich mocodawców na kongres Europejskiej Partii Ludowej, powiedział, że „policja zachowywała się niezwykle powściągliwie", kłamał w żywe oczy, twierdząc, że żaden policjant nie rzucał niczym w demonstrantów, a wreszcie sam dodał: „Nie będę rozmawiał z chuliganami, tylko będę rozmawiał z rolnikami".

Bezczelne słowa i ton szefa rządu tylko potwierdzają, że manifestacja przebiegła zgodnie z jego oczekiwaniami.

Kilka godzin później oliwy do ognia dolał szef MSWiA Marcin Kierwiński. Murem stanął za policjantami, a z rolników próbował robić zadymiarzy i pijaków. Z tandetną satysfakcją wielokrotnie powtarzał, że z niektórymi zatrzymanymi policyjne czynności nie mogły się szybko rozpocząć ze względu na ich nietrzeźwość, podał nawet informację, że u niektórych stwierdzono 1,7 promila alkoholu.

Czyli z pijanym można zrobić wszystko? Można się na nim publicznie wyżywać? 6 marca policjanci wielokrotnie drastycznie złamali prawo – czy to bijąc w tył głowy prowadzonego w kajdankach mężczyznę, czy rzucając kamieniami w demonstrantów, czy nadużywając wobec nich siły.

Podkreślmy: nie ma usprawiedliwienia dla atakowania policjantów, rzucania w nich kostką brukową. To zachowania niedopuszczalne i powinny być za nie wyciągnięte konsekwencje.

Jednak w tym przypadku nie wiemy, jak wszystko się zaczęło (to niebywałe, że policja szybko nie upubliczniła nagrań z prowodyrami na początku zamieszek), poza tym to funkcjonariusze zapracowali na takie sceny, a potem nie potrafili na nie adekwatnie zareagować. Niektórym z nich puściły nerwy i wcielili się w role bandytów.

Były wiceszef MSWiA Paweł Szefernaker przypomniał, że tak wielu rannych i zatrzymanych nie było po żadnym z dużych protestów w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy. To prawda. Gdy więc minister Kierwiński mówi, że policja wzorowo dbała o bezpieczeństwo uczestników demonstracji, trzeba go zapytać, jak zatem udało jej się dopuścić do tak wielu rannych i takich zamieszek, jakich nie widzieliśmy od lat?

CZY ZNÓW COŚ SPALĄ?

To niestety nie jest nowość. Raczej reguła, gdy rządzi partia Tuska, na co zwrócił uwagę Sławomir Mentzen z Konfederacji w czasie sejmowej debaty. Chwilę wcześniej był przed gmachem parlamentu. Relacjonował: „Stałem pomiędzy policją a pokojowo protestującymi rolnikami, którzy po prostu stali w miejscu i przyglądali się sytuacji. I nagle policja uderzyła w nas gazem i po prostu w nas wbiegła. Nie była w żaden sposób prowokowana. [...] Przypomina mi to najgorsze czasy poprzednich rządów Platformy Obywatelskiej, kiedy policyjni prowokatorzy rozbijali Marsz Niepodległości, bili niewinnych ludzi. Jeżeli tak ma wyglądać praworządność, tak ma wyglądać uśmiechnięta Polska, jak wy tak zaczynacie, to nie chcę wiedzieć, co tu się będzie działo za kilka lat. Mam dosyć uśmiechniętej Polski! Wolę już, żeby parlamentarzyści płakali nad konstytucją niż od gazu pieprzowego, psiniętego im prosto w oczy".

> 6 marca policjanci wielokrotnie drastycznie złamali prawo – czy to bijąc w tył głowy prowadzonego w kajdankach mężczyznę, czy rzucając kamieniami w demonstrantów, czy nadużywając wobec nich siły

W latach 2008–2015 11 listopada był najbardziej niespokojnym dniem w roku. I nie dlatego, że do centrum Warszawy zjeżdżała jakaś chuliganeria (choć bywało i tak – gdy polscy lewacy zapraszali na Święto Niepodległości niemieckich zadymiarzy z Antify), lecz z tego powodu, że policja wtedy zapominała o elementarzu zabezpieczania zgromadzeń i robiła wszystko, by sprowokować bijatykę.

Władza rozzuchwaliła się do tego stopnia, że w 2013 r. tajna brygada ministra Sienkiewicza podpaliła budkę strażniczą przed rosyjską ambasadą, aby z narodowców zrobić regularnych przestępców. Sprawa się rypła, gdy dowiedzieliśmy się, iż w czasie podsłuchanej rozmowy w restauracji Sowa i Przyjaciele o Sienkiewiczowskiej inspiracji tego zdarzenia poinformował Elżbietę Bieńkowską ówczesny szef CBA Paweł Wojtunik.

Dziś wśród doradców ministra Kierwińskiego znajdują się takie postacie, jak Krzysztof Bondaryk, Paweł Białek czy Wojciech Brochwicz – ludzie wywodzący się ze służb specjalnych z lat 90., gdy nowo powstający Urząd Ochrony Państwa chętnie przyjmował w swe szeregi (nie) dawnych esbeków. To nominacje dziwne w dwójnasób, bo przecież ci panowie lepiej by się odnaleźli w urzędzie ministra koordynatora specsłużb, czyli Tomasza Siemoniaka.

Czyżby więc ten ostatni miał być tylko figurantem, a MSWiA stało się centrum decyzyjnym nie tylko w sprawie służb mundurowych, lecz także wyznaczania służb specjalnych do brudnej roboty?

To w gmachu przy ul. Batorego koordynowano akcję z nielegalnym wejściem do pałacu prezydenckiego, zablokowaniem głowy państwa „zepsutym" autobusem w Belwederze, zdradą SOP i bezprawnym zatrzymaniem dwóch posłów w domu pierwszego obywatela.

W tym samym gmachu uszyto prowokację wymierzoną w rolników, której mottem mogłaby być słynna groźba Cyrankiewicza z 1956 r. o odrąbywaniu rąk przez władzę ludową.

Jaki był jej cel? Zastraszenie narodu. Mamy się bać sprzeciwu wobec ekipy Tuska. Nie chodzić na manifestacje. Nie popierać opozycji. Cieszyć się z rządów uśmiechniętych pałkarzy, których bezprawiu przyklaskują zachodnie pseudoelity.

Pacyfikowanie rolników jest tylko środkiem do nadrzędnego celu: spacyfikowania całego społeczeństwa i przerobienia Polski na bezwładną kolonię, zarządzaną dyrektywami z zewnątrz. Pytanie brzmi: czy na to pozwolimy?

eprasa.pl 14f4aa6b19

Czas Napoleonów

Szymon Hołownia nawołujący do „wgniecenia Putina w ziemię" brzmi groteskowo. Ktoś, kto jeszcze nie tak dawno temu mazgaił się publicznie, nie budzi zaufania w roli wodza. Wręcz przeciwnie, nagła wojowniczość Hołowni wzbudza raczej trwogę. O co więc chodzi?

W ostatnich tygodniach przybyło w Polsce teorii spiskowych. Wszystkie z nich są związane z pogarszającą się sytuacją Ukraińców na wojnie z Rosją. Najpierw dotarła do nas z zachodnich mediów fala czarnych scenariuszy, z których każdy dawał nam dwa, trzy lata do wybuchu wielkiego konfliktu z Moskwą. Potem, w ślad za tymi doniesieniami, pojawiły się wypowiedzi polityków europejskich, a później również polskich, przestrzegających obywateli przed najgorszym. Były to jednak – i nadal są – głównie słowa, bo przecież trudno dostrzec realne przygotowania do wojny. To rozmijanie się słów z czynami nie budzi zaufania wśród ludzi, którzy coraz częściej zadają sobie pytania, co się właściwie dzieje i czy ktokolwiek panuje nad sytuacją.

W tym kontekście wiele niepokoju wzbudziły dwie informacje, które pojawiły się w ostatnich dniach. Pierwsza z nich dotyczy wspólnej podróży prezydenta Dudy i premiera Tuska do Waszyngtonu, gdzie obaj mają się spotkać z Joe Bidenem. I druga o zaplanowanym w drugiej połowie marca tajnym posiedzeniu Sejmu, na którym będą omawiane kwestie bezpieczeństwa kraju. Obie te informacje szybko połączono ze sobą i zbudowano wokół nich hipotezę, zgodnie z którą Biden wezwał Dudę i Tuska, aby zakomunikować im coś przerażającego, a potem – po ich powrocie – odbędzie się na ten temat tajne posiedzenie Sejmu.

Problem nie polega na tym, że powyższa hipoteza hula w internecie, budząc poważne obawy wśród

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Fot. Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 14f4aa6b19

odbiorców, lecz że nikt z czołowych polityków nie uznał za stosowne jakoś się do niej odnieść. A to tylko spotęgowało niepokój. Bo skoro siedzą cicho, to znaczy, że coś jest na rzeczy. Wobec napiętej sytuacji międzynarodowej takie zachowanie klasy politycznej jest zdumiewające i z pewnością nie poprawia jej wiarygodności.

SZYMON IDZIE NA WOJNĘ

Równocześnie z tymi doniesieniami zapanowało nagłe wzmożenie wśród polityków koalicji rządowej. Najbardziej wojowniczym z nich okazał się marszałek Szymon Hołownia. Okazją stał się start kampanii do wyborów samorządowych. Podczas kongresu Polski 2050 w Kielcach Hołownia wystąpił z buńczuczną przemową, w której, nie bacząc na zajmowane stanowisko szefa parlamentu, zaczął się zachowywać jak podekscytowany uczestnik dyskusji w studiu telewizyjnym. „Putina wgnieciemy w ziemię, prędzej czy później trafi tam, gdzie powinien trafić: za kraty albo na cmentarz" – nawoływał z mównicy. Poproszony o skomentowanie tych słów wiceszef Polski 2050 Michał Kobosko stanął murem za swoim liderem. „Wyobrażam sobie Sojusz Północnoatlantycki, którego jesteśmy częścią, który będzie toczył wojnę obronną, której końcem musi być upadek reżimu Putina" – powiedział w rozmowie z Polsat News.

Hołownia przyznał później, że jego przemowa była mocna, ale sytuacja wymaga takich słów. Sprecyzował przy tym, że ma na myśli śmierć Aleksieja Nawalnego. Jeśli rzeczywiście powodem tak ostrego wystąpienia był los zmarłego opozycjonisty, to z polskiej perspektywy należy je uznać za przesadę. Śmierć Nawalnego, choć znacząca w wymiarze politycznym, nie pogorszyła bowiem sytuacji Polski w tak istotny sposób, aby marszałek Sejmu musiał z tego powodu zwiastować rychłą wojnę. Mimo to kilka dni później Hołownia twardo bronił swojej argumentacji. „Jeżeli Putin nie zostanie unieszkodliwiony, stanowi poważne zagrożenie dla nas i naszych dzieci. Nie chcę, aby nasze dzieci musiały płacić krwią za jego szaleństwo" – stwierdził.

Do obaw o los dzieci Hołownia ponownie nawiązał po spotkaniu przewodniczących parlamentów państw Grupy Wyszehradzkiej i Ukrainy, które odbyło się 29 lutego w Pradze. „Albo dziś będziemy płacili, by pomóc Ukrainie, albo za jakiś czas możemy zacząć płacić krwią naszych dzieci" – oświadczył, zastrzegając przy tym, że wojna nie może zakończyć się „pokojem za wszelką cenę", lecz musi to być „pokój sprawiedliwy, który zapewni bezpieczeństwo Ukrainie i nam".

> W przyszłym roku odbędą się wybory prezydenckie. Najwyraźniej Hołownia ma nadzieję, że gdy wykreuje się na męża opatrznościowego, jego szanse wzrosną

PŁACZĄCY WÓDZ

Gdyby literalnie interpretować ostatnie wypowiedzi Hołowni, to oczywiście trudno by było im coś zarzucić. Bo przecież to bardzo prawdopodobne, że upadek Ukrainy zachęci Rosję do dalszej agresji, a jej kierunek jest doskonale znany – Putin wskazywał go przecież wielokrotnie, choćby w ultimatum z grudnia 2021 r., w którym domagał się faktycznego wycofania NATO z Europy Środkowo-Wschodniej. Jest też jasne, że mogłoby to oznaczać przeniesienie wojny na terytorium Polski i konieczność walki zbrojnej w obronie państwa. Wreszcie słowa o „sprawiedliwym pokoju" można odczytywać jako postulat przywrócenia stabilnego ładu międzynarodowego i bezpieczeństwa, bo tylko w takich warunkach pokój może być trwały.

Wszystko to prawda, tylko że w ustach Hołowni te słowa nie wyglądają zbyt przekonująco. Nie widać bowiem, aby szły one w parze z działaniami na rzecz wzmocnienia państwa. Nie chodzi tu jedynie o kwestie militarne czy o te związane z infrastrukturą obronną, lecz także o politykę. Hołownia, podobnie jak jego koalicjanci z PO na czele, nie działa na rzecz ponadpartyjnego porozumienia w obliczu zagrożenia, ale ochoczo uczestniczy w politycznej rozprawie z PiS i wyraźnie napawa się swoją władzą w Sejmie. Trochę kłóci się to z jego ostrzeżeniami przed nadchodzącą wojną. Bo albo naprawdę jesteśmy zagrożeni, ale wtedy – jak to pisał Broniewski – zawieszamy „rachunki krzywd" i stajemy we wspólnym szeregu, albo mamy do czynienia z nieodpowiedzialną hucpą lub z teatrem.

Niektórzy komentatorzy, szczególnie po prawej stronie, podejrzewają, że Hołowni, dawnemu celebrycie, ciągle się wydaje, że występuje w programie rozrywkowym i nie musi za bardzo przejmować się tym, co mówi, bo jego głównym celem jest robienie wokół siebie sensacji. Nawet postkomunista Leszek Miller zauważył sarkastycznie w Radiu ZET, że „jak marszałek jest taki bojowy, to niech wstąpi do legionu międzynarodowego na Ukrainie i niech jedzie na front".

Kłopot z Hołownią polega na tym, że w sprawach fundamentalnych, takich jak bezpieczeństwo państwa, brakuje mu autorytetu i wiarygodności. Ktoś, kto jeszcze nie tak dawno temu mazgaił się publicznie, nie wzbudza powszechnego respektu ani w kraju, ani tym bardziej u potencjalnego wroga. Wręcz przeciwnie, nagła wojowniczość Hołowni wywołuje raczej zażenowanie i trwogę. Nikt by chyba nie chciał, aby w chwili próby jego kraj był kierowany przez znerwicowanego, narcystycznego płaczka.

BUDOWANIE MARKI

Niewykluczone, że Hołownia chce swoimi hardymi wystąpieniami zmienić dawny wizerunek telewizyjnego trefnisia. I tu być może dochodzimy do sekretu jego wojowniczości. W przyszłym roku odbędą się wybory prezydenckie i wszystko wskazuje na to, że marszałek weźmie w nich udział. Najwyraźniej ma nadzieję, że gdy uda mu się wykreować na męża opatrznościowego, jego szanse wzrosną. Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, to wojna może być dla Hołowni po prostu pożądanym tłem dla jego osobistej kariery politycznej.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Tę tezę potwierdza nagłe przebudzenie Hołowni w sprawach wojny. O tym, że Polska jest zagrożona przez Moskwę, zdajemy sobie sprawę od dawna, a już na pewno od dwóch lat, gdy rozpoczęła się pełnoskalowa rosyjska inwazja na Ukrainę. Jednak Hołownia, który wcześniej płakał nad konstytucją, zbierał lajki na TikToku i nie ekscytował się wojną jakoś szczególnie, kilka tygodni temu się obudził. Dopiero wtedy zaczął krzyczeć o wojnie. Bo marszałek nie mówi spokojnie na ten temat, ale właśnie krzyczy, tak aby wszyscy go usłyszeli i dostrzegli.

Trudno powiedzieć, czy to kwestia jego temperamentu, czy może raczej starannie opracowana strategia. Wiele wskazuje jednak na tę drugą możliwość, w końcu Hołownia, podobnie jak jego partia, w dużej mierze jest produktem marketingowym. A jeśli tak, to ktoś za tym marketingiem stoi. Ktoś, komu zależy na sukcesie tego przedsięwzięcia.

Starania Hołowni o sukces polityczny i o prezydenturę siłą rzeczy muszą mieć również wymiar międzynarodowy. Mąż stanu, zwłaszcza ten wykreowany, powinien się odznaczać rozpoznawalną w świecie marką, a udział w debatach o wojnie daje tu stosunkowo dużo okazji. Mocne słowa zapewniają z kolei pożądany rozgłos.

Warto zauważyć, że wojenne przebudzenie Hołowni zbiegło się w czasie z podobnym zjawiskiem w Europie Zachodniej. Być może nasz Napoleon postanowił więc dołączyć do szerszego chóru. Wiele do myślenia daje tutaj ostatnia aktywność Emmanuela Macrona, który wyszedł z ofertą wysłania zachodnich wojsk na Ukrainę. On również prowadzi własną grę wojenną i chce wykorzystać słabość Niemiec, aby przejść do historii jako ten, który przywrócił europejskie przywództwo Francji. Niewykluczone więc, że Hołownia liczył na to, że jego mocne wystąpienia zostaną zauważone i docenione w Paryżu. Nic w tym dziwnego, bo Polska 2050 jest częścią grupy Renew Europe, w której pierwsze skrzypce gra partia Macrona.

Nie po raz pierwszy okazuje się, że dla większości polityków wojna jest równie dobrą okazją do nabijania sobie popularności jak każda inna. A może nawet lepszą, bo silne emocje, jakie wywołuje, można łatwo wykorzystać do mobilizowania społeczeństwa.

Trudno więc wykluczyć, że Hołownia po prostu zabiega o własną karierę polityczną. Nie byłoby w tym nic zdrożnego, w końcu wybrał taką, a nie inną drogę życiową. Jednak sama myśl o tym, że ktoś mógłby wykorzystywać uzasadniony niepokój przed wojną w pogoni za stanowiskiem, budzi duży niesmak.

> W przyszłym roku odbędą się wybory prezydenckie. Najwyraźniej Hołownia ma nadzieję, że gdy wykreuje się na męża opatrznościowego, jego szanse wzrosną

EUROPEJSKA TRAMPOLINA

Szymon Hołownia nie jest jedynym politykiem, którego można podejrzewać o chęć zrobienia kariery na wojnie. Kolejnym jest minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, o którym krążą plotki, że jest brany pod uwagę jako kandydat na przyszłego komisarza ds. obrony Unii Europejskiej. To nowe i bardzo wpływowe stanowisko, które ma się pojawić po najbliższych wyborach europejskich. Według planów nowy komisarz przejmie część kompetencji dotychczasowego szefa unijnej dyplomacji.

Od kilku tygodni Sikorski bardzo aktywnie działa na forum międzynarodowym. Wcześniej był zupełnie nieobecny, a jego milczenie wydawało się dużą zagadką. Gdy w końcu zaczął się pojawiać publicznie, jego działania mogły się wydawać zaskakujące. W przeciwieństwie do swojej poprzedniej kadencji na stanowisku szefa dyplomacji tym razem przyjął ostrą antyrosyjską retorykę. Głośno domagał się dostaw broni oraz wsparcia finansowego dla Ukrainy i krytykował opieszałość Unii Europejskiej, co wzbudziło duże uznanie w Polsce, nawet wśród niektórych przeciwników rządu Tuska.

Sikorski pojechał też do Stanów Zjednoczonych, aby lobbować tam za Ukrainą i wdał się w efektowną polemikę z przedstawicielem Rosji w ONZ, tym samym, który półtora roku wcześniej pokazywał nieszczęsny tweet ministra, w którym dziękował on Stanom Zjednoczonym za wysadzenie gazociągu Nord Stream.

Jednocześnie Sikorski nadepnął na odcisk Amerykanom, spotykając się w Monachium z chińskim ministrem spraw zagranicznych. Rozmawiał z nim m.in. o organizacji tegorocznych obchodów 75-rocznicy nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską i Chińską Republiką Ludową. Według słów chińskiego ambasadora w Tokio Sikorski miał też zapewnić o niezmiennym poszanowaniu przez Polskę zasady jednych Chin, co dla Amerykanów mogło być zbyt daleko idącą deklaracją.

To działanie na kilku frontach zostało jednak docenione w kraju i uznane za próbę wybicia się polskiej dyplomacji na większą niezależność. Jednak Sikorski zawsze myślał o czymś więcej niż szefowanie MSZ – wystarczy przypomnieć jego starania o prezydenturę w 2010 r. I choć wtedy musiał ustąpić Komorowskiemu, to z pewnością nie pożegnał się ze swoimi ambicjami. Dlatego przecieki o jego staraniach o stołek unijnego komisarza ds. obrony wydają się wiarygodne. Jeśli okażą się prawdziwe, to jego obecną aktywność w roli szefa MSZ trzeba odczytywać w nieco innym świetle. W takim mianowicie, że jego dzisiejsze stanowisko jest tylko trampoliną do politycznej kariery w Europie, a potem – kto wie – może i do walki o najwyższe urzędy w Polsce.

Gdyby tak było, należy sobie zadać pytanie, czy interesy Polski i Komisji Europejskiej są zbieżne? Wyznawcy Tuska nie mają problemu z odpowiedzią na to pytanie, dla nich wszystko, co robi Unia, z automatu jest dobre dla Polski. Jednak dla wyborców PiS te interesy są często sprzeczne. Dlatego dla nich pytanie o to, czym kieruje się dziś Sikorski, ma zasadnicze znaczenie.

Byłoby źle, gdyby się okazało, że w obliczu zagrożenia, jakim jest wojna na Ukrainie, czołowi polscy politycy myśleli głównie o własnych politycznych profitach. Pozostaje mieć jedynie nadzieję, że tak nie jest.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Racje stojące za obecną zmianą planów Kaczyńskiego co do przywództwa w partii są czytelne. I to zarówno te z porządku jego osobistych ambicji – takiego, a nie innego zapisania się w historii, jak i te wynikające z intencji ochronienia PiS przed nadmiernym wewnętrznym kryzysem

Fot. Andrzej Wiktor

Dlaczego Kaczyński zmienił plany

JAN ROKITA

Dwa i pół roku temu, w lipcu 2021 r., kongres PiS po raz kolejny wybrał Jarosława Kaczyńskiego na prezesa partii. Głosowało na niego wtedy 1245 delegatów, 18 było przeciw jego dalszej prezesurze, a 5 wstrzymało się od głosu. Po ogłoszeniu wyników nowy/stary prezes kokieteryjnie udawał zaskoczenie nikłą liczbą oponentów swojej prezesury. Mówił wtedy: „Naprawdę sądziłem, że będzie ich więcej, chociaż liczyłem na sukces". I dodawał – jak się wydawało, stanowczo – że po raz ostatni staje na czele PiS.

Tę deklarację o rezygnacji z formalnej prezesury najpóźniej w 2025 r., czyli do czasu następnego kongresu wyborczego partii, kilkakrotnie powtórzył potem w mediach. Podczas tamtego wyboru Kaczyński miał 72 lata, w tym roku kończy 75. No, ale teraz, w wywiadzie dla „Sieci" zamieszczonym w poprzednim numerze, oznajmia: „Zmieniłem swoje polityczne plany". I próbuje uzasadnić tę zmianę nową, faktycznie trudną sytuacją

eprasa.pl 14f4aa6b19

partii po przegranych wyborach: „Nie chcę, by uważali mnie za dezertera".

„PRZYWÓDZTWO CHARYZMATYCZNE"

Ta argumentacja lidera PiS sprawia wrażenie nieudawanej. Kaczyński myślał zapewne o przekazaniu formalnego szefostwa partii, jeśliby pod jego przywództwem PiS wygrało trzecią kolejną kadencję u władzy, co byłoby faktem precedensowym, łączonym w przyszłości w podręcznikach historii z jego nazwiskiem. Takie przekazanie władzy sprawiałoby wrażenie całkiem naturalnego, zwłaszcza jeśli następowałoby na rzecz starego/nowego premiera, którym (jak wszystko na to wskazuje) miał pozostać Mateusz Morawiecki, grający rolę „twarzy" ostatniej PiS-owskiej kampanii. A może nawet więcej: mogłoby się przecież odbyć w atmosferze powrotu do demokratycznej normalności, która w systemach półkanclerskich (czyli takich jak w Polsce) polega właśnie na tym, że szef zwycięskiej partii kieruje zarazem rządem.

Co więcej, każdy w partii i poza nią dobrze by rozumiał, że Kaczyński, ogłoszony zapewne „prezesem honorowym" albo kimś podobnym, zachowałby w takich warunkach decydujący wpływ na partię jeszcze przez długi czas. Zarówno jako wielbiony ojciec trzeciego zwycięstwa, jak i patron zawsze lojalnego czy nawet posłusznego Morawieckiego.

Jak wiadomo, tak się nie stało. A przegrana PiS skomplikowała również sytuację samego Kaczyńskiego. Najpierw dlatego, że jego dymisja nieuchronnie musiałaby być traktowana jako forma politycznej odpowiedzialności lidera, który nie potrafił utrzymać partii przy władzy, mimo populistycznej fali wielkich transferów, patriotycznego wzmożenia wywołanego wojną, a nawet poświęcenia dla wyniku wyborczego z takim samozaparciem budowanego przymierza z Ukraińcami, broniącymi Europy przed moskiewskim imperializmem. Przywódca odchodzący po czymś takim, nawet z rocznym opóźnieniem, wynikającym z partyjnego kalendarza wyborczego, pozostawałby na końcu figurą mimo wszystko przegraną. I takiej symbolicznej konotacji swojego odejścia Kaczyński po prostu nie chciał.

Nawiasem mówiąc, polityczni przywódcy rzadko dopuszczają do siebie myśl, iż na samym końcu kariery i tak czeka na nich ostateczna porażka. Niby wiedzą, że w dziejach bywa tak niemal zawsze, ale irracjonalnie liczą, iż z nimi akurat historia obejdzie się jakoś inaczej.

Co więcej, każdy widzi i rozumie, że Morawiecki, niezły menedżer i bankier, nie jest partyjnym przywódcą na czas pozostawania w opozycji. Zwłaszcza że tym razem może to być opozycja nowego typu, dotąd w Polsce niewidziana.

Cała dotychczasowa praktyka relacji pomiędzy władzą i opozycją, ukształtowana w wolnej Polsce respektowała jednak regułę, wedle której narzędziem osłabiania opozycji mogło być uchwalane przez większość prawo, ale nie ostentacyjne ignorowanie prawa. I chyba nikt dzisiaj nie wie, jakie jeszcze ciosy mogą spaść na opozycję w tym nowym systemie rządzenia, w którym sformalizowane reguły politycznej rywalizacji zostały wysadzone w powietrze, a jedynym hamulcem przed jawnymi represjami została naga polityka. Czyli strach rządzących, iż w ten sposób nadmiernie ryzykowaliby utratą społecznego poparcia, zwłaszcza na dłuższą metę.

> Dzisiaj chyba nikt nie wie, jakie jeszcze ciosy mogą spaść na opozycję w tym nowym systemie rządzenia, w którym sformalizowane reguły politycznej rywalizacji zostały wysadzone w powietrze

W takich okolicznościach nawet nieco rozlazłe „przywództwo charyzmatyczne" (posługując się znaną typologią Webera) jest zapewne o wiele bezpieczniejsze dla partii od sprawniejszego organizacyjnie przywództwa typu „legalnego" czy „menedżerskiego". Bo też kapitał zaufania będzie się teraz liczyć w PiS, co najmniej przez jakiś czas, bardziej niźli sprawność.

WEWNĄTRZPARTYJNA RYWALIZACJA

A skoro nie ma już delfina, ogłoszony musiałby zostać przetarg o prezesurę partii. Nie znam na tyle niejawnych z natury rzeczy relacji międzyludzkich w PiS, ale faktem jest, że spekulacje o wzajemnych pretensjach, niesnaskach i animozjach między działaczami od jakiegoś czasu stały się dość natarczywe. Oczywiście podsycają je prorządowe media, znów panujące na polskim rynku medialnym, więc rzetelny obserwator musi tu zachować zdrową nieufność i ostrożność sądu. Nie ma jednak wątpliwości, że skoro aż przeszło rok, do czasu przyszłorocznego kongresu, miałaby trwać podskórna rywalizacja partyjnych koterii o przyszłą prezesurę, nie obyłoby się bez otwartych awantur albo i skandali osłabiających partię. A o tym, że w PiS uformowały się wrogie koterie, nad których rywalizacją nie panował albo czasem nie chciał panować nawet Kaczyński, opinia publiczna najlepiej mogła się przekonać przy okazji toczonych za rządu Morawieckiego walk o kolonizację przez tę czy inną koterię kluczowych spółek skarbu państwa. Pouczająca w tej materii może być obserwacja ponurych perturbacji partii brytyjskich torysów, która, nie mogąc od paru lat wyłonić akceptowanego przez całość partii lidera, z tego właśnie powodu popadła w wewnętrzny rozkład i słabość.

Racje stojące za obecną zmianą planów Kaczyńskiego są więc czytelne. I to zarówno te z porządku jego osobistych ambicji – takiego, a nie innego zapisania się w historii, jak i te wynikające z intencji ochronienia PiS przed nadmiernym kryzysem wewnętrznym.

Jednak naprzeciw tych wszystkich racji stoi tyleż prosta, co podstawowa reguła partyjnej demokracji – przywódca, który w wyborach poprowadził partię do utraty władzy, składa natychmiastową dymisję z partyjnej prezesury. Są takie kraje, których demokratyczna kultura uznaje tego rodzaju regułę za oczywistość, np. od dawna jest tak

eprasa.pl 14f4aa6b19

w Wielkiej Brytanii. Ale na kontynencie bywa w tej mierze różnie. Zazwyczaj tak się dzieje w Niemczech (np. dymisja Armina Lascheta z szefostwa CDU w 2022 r.), ale już niekoniecznie w Hiszpanii (np. Alberto Núñez Feijóo utrzymał przewodnictwo PP w 2023 r.).

Muszę przyznać, że jestem zwolennikiem owej reguły. A to dlatego, że zazwyczaj nie ma lepszej okoliczności na weryfikację i odnowę partyjnego przywództwa niźli porażka wyborcza. Partia będąca u władzy raczej nie powinna pozwalać sobie na tego rodzaju „ekscesy". Ale moment przejścia do opozycji daje ugrupowaniu tę wyjątkową chwilę na zajęcie się samym sobą, wobec naturalnego braku innych ważniejszych zajęć.

POLSKA SPECYFIKA

To właśnie ta konstatacja daje nam okazję, aby jeszcze raz dostrzec i odnotować swoistą „inność" obu głównych polskich partii. Przecież ta obecna zmiana planów Kaczyńskiego, ogłoszona w tygodniku „Sieci" 4 lutego 2024 r., to oczywista analogia względem dnia wcześniejszego o niemal trzy lata – 3 czerwca 2021 r., kiedy *deus ex machina* Donald Tusk ogłosił, że wraca do Platformy i od razu objął w niej posadę p.o. przewodniczącego. Problemem dla Tuska nie było to, że ta posada pozostawała akurat zajęta przez działacza, który niedawno objął ją w wyniku głosowania wszystkich członków partii. Zarówno PiS, jak i PO to partie nowego typu, podobne do siebie pod wieloma względami, bo też powstałe równocześnie, na tle wielkiego kryzysu wszystkich formacji postsolidarnościowych, powołanych w ostatniej dekadzie XX w. W przeciwieństwie do tamtych formacji są to partie sprofesjonalizowane, bogate, zdyscyplinowane i beznamiętnie sterujące emocjami wielkich grup ludzkich.

Oba ugrupowania są do siebie podobne pod jeszcze jednym względem. Kaczyński i Tusk nie tylko przecież stworzyli „swoje" partie, lecz także potem przez długie lata lepili je niczym plastelinę, zwłaszcza gdy idzie o selekcję działaczy. Jednych z partii wypychali, innym osobiście otwierali wrota kariery. Ale już niemal od ćwierćwiecza nikt ani nie się wybił, ani nie dokonał niczego istotnego wbrew ich woli, albo i nawet bez ich przyzwolenia. Dlatego zarówno partyjni działacze, jak i zwolennicy już dawno przestali traktować Kaczyńskiego i Tuska jako po prostu przywódców. W jakimś sensie stali się oni „właścicielami" swoich obozów politycznych. W okresie kilkuletniej pracy Tuska w Brukseli zmieniali się przewodniczący Platformy, ale nigdy nie zmienił się jej jedyny właściciel. I kiedy ten właściciel powrócił, rozpadająca się partia znów odżyła, a nawet zdobyła władzę. Z Kaczyńskim jest podobnie i stąd racjonalność przypuszczenia, że PiS istotnie potrzebuje go dla własnego poczucia bezpieczeństwa. Ten polski styl relacji pomiędzy przywódcą i partią, a także między przywódcą i elektoratem jest bez wątpienia demokratyczną anomalią. Ale nawet jeśli jest to anomalia, to obie partie czynią roztropnie, biorąc ją pod uwagę we wszystkich swoich politycznych kalkulacjach.

Redaktorowi
Pawłowi Nowackiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

śp. Eugeni Nowackiej
z d. Kocik

harcerki wrzesińskiej drużyny ZHP,
współpracownika Towarzystwa Czytelni Ludowych
i biblioteki TCL

składają

koledzy i przyjaciele z redakcji tygodnika „Sieci"

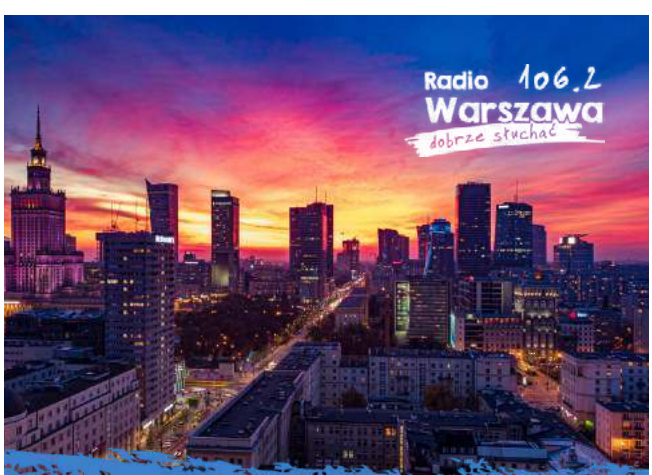

Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolicę"
Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00
Reklama | 34/0224/F

eprasa.pl 14f4aa6b19

Cenne instytucje są niszczone

Zachowanie świata nauki, te ataki filozofów z Krakowa na mnie, prof. Ryszarda Legutkę czy prawników na prezydenta Andrzeja Dudę to dla mnie jako naukowca z 40-letnim stażem prawdziwy szok. Kunktatorstwo i tchórzostwo

Z prof. Andrzejem Przyłębskim, byłym ambasadorem RP w Berlinie i byłym dyrektorem Instytutu De Republica, rozmawia Goran Andrijanić

Premier Donald Tusk podjął decyzję o likwidacji Instytutu De Republica, którego był pan dyrektorem. Jaka intencja, według pana, stoi za takim krokiem nowego rządu?

Andrzej Przyłębski: Niszczenie cennych instytucji powstałych dzięki mądrości premiera Mateusza Morawieckiego. W przypadku IDR chodzi o instytucję nie kierującą się ideologią żadnej partii politycznej, lecz troską o polską kulturę oraz jej naukowe dokumentowanie. Potwierdzają to nasze aktywności, np. wystawa i konferencja na temat Tomasza Arciszewskiego, ministra II RP i ostatniego premiera rządu polskiego na uchodźctwie, praca nad wydaniem rękopisów prof. Jerzego Szackiego, wybitnego socjologa, czy konferencje na temat wczesnej słowiańszczyzny (na UAM) albo drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski (na UKSW). Zadaniem IDR było wypełnienie luk, promocja oryginalnych badań, trudno mieszczących się grantach, organizowanie wydarzeń i publikacji, na które z powodów finansowych nie mogły sobie pozwolić wydawnictwa prywatne lub uczelniane. Wskażę tylko na nagrodzony album o historii hymnu polskiego czy leksykon członków wszystkich rządów II RP. Prezentowaliśmy go w KPRM, jest relacja w internecie. Tych nagród i wyróżnień było zresztą kilkanaście. Były to niekiedy rzeczy kosztowne, stąd taki, a nie inny budżet IDR, ale dziś są one ogólnodostępne.

Szef kancelarii premiera Jan Grabiec twierdzi, że są „uzasadnione powody, by twierdzić, że doszło do naruszenia przepisów" w Instytucie w czasach, kiedy był pan jego dyrektorem.

To nikczemna sugestia. Ponad pół roku przed objęciem przeze mnie kierownictwa w IDR miała miejsce kontrola NIK, która wykryła rozmaite nieprawidłowości. Były one powodem rezygnacji mego poprzednika. Mnie zaś po objęciu kierownictwa IDR w lutym 2023 r. postawiono zadanie usunięcia wszystkich usterek wskazanych w raporcie. Co skutecznie uczyniłem we współpracy z zespołem, a co potwierdziła kontrola Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, która miała miejsce w połowie 2023 r.

Jaki jest pana komentarz do słów Jana Grabca, który powiedział, że żadna z aktywności podjętych w trakcie działania Instytutu nie miała wpływu na działanie KPRM?

Co ten człowiek opowiada? Jednym (nie jedynym!) z punktów w statucie IDR było realizowanie zleceń KPRM, co naturalnie robiliśmy. Wskażę tylko, tytułem przykładu, na trzy z nich:

1. Zespół naukowców pod egidą IDR stworzył podstawy tzw. ustawy o prawie warstwowym. Ich prezentacja odbyła się w Sejmie w ub.r., poprzedziło ją kilka konferencji i publikacja książkowa. Ta ustawa jest Polsce potrzebna, bo reguluje zabudowę pod drogami, budynkami, szynami kolejowymi.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 14f4aa6b19

2. Rozpoczęliśmy procedurę zakupu i sprowadzenia do Polski bardzo cennych zbiorów Andrzeja Litworni, slawisty zmarłego we Włoszech, przerwaną niestety już po wycenie i sporządzeniu umowy ze spadkobierczynią, przez likwidację Rady Naukowej IDR przez panów Tuska i Grabca.
3. Na wyraźną prośbę KPRM IDR współorganizował ceremonię wręczenia wysokich odznaczeń państwowych córce żywieckich Habsburgów, Karola i Alicji, wielkich polskich patriotów. Odbyła się ona w ambasadzie RP w Madrycie. Pani Renata Habsburg ma 94 lata i nie była w stanie przybyć do Polski po ich odbiór. Uroczystość była przepiękna i wzniosła, dokumentuje ją świetny film TVP, dostępny w archiwum tej stacji (mam nadzieję, że nie został jeszcze usunięty).

Instytut De Republica i jego aktywność są niestety mało znane opinii publicznej. Czy mógłby pan krótko przedstawić i wyjaśnić, co było celem istnienia takiej placówki?

Instytut powstał w 2021 r. na podstawie rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów. Jego celem była promocja badań naukowych w obszarze nauk humanistycznych i społecznych. Instytut inicjował albo współorganizował rozmaite badania w takich dyscyplinach, jak historia, religioznawstwo, politologia, prawo, a ostatnio także filozofia i socjologia. Właściwie był również wydawnictwem, bo posiadał bardzo sprawny zespół wydawniczy, co stanowiło główny generator kosztów. Wydaliśmy ponad 20 cennych pozycji naukowych, a w druku jest 60 następnych, z podpisanymi umowami z autorami. Nie wiem, co się z nimi stanie po likwidacji Instytutu.

IDR prowadzi też stypendia dla młodych naukowców. Ostatni nabór 25 stypendystów na roczne badania odbył się w październiku ub.r. Nie wiem, jaki będzie ich dalszy los. Instytut przyznawał także nagrody za wybitne osiągnięcia naukowe, które otrzymywali często badacze spoza naukowego mainstreamu, zwykle pomijani w takich wyróżnieniach. Wszystko to można sprawdzić na stronie IDR oraz na YouTube, gdzie jest mnóstwo zarejestrowanych imprez (głównie wykładów) Instytutu.

W październiku ub.r. dokonałem też przeniesienia Instytutu w godne i wygodne miejsce, żeby mógł promieniować nie tylko na stolicę, lecz także na cały kraj. W ciągu ostatnich trzech miesięcy mego kierowania Instytutem odbyły się tam cztery konferencje naukowe. To tyle w wielkim skrócie.

Nie ma wątpliwości, że ten rząd prowadzi wojnę z instytucjami naukowymi, które powstały i funkcjonowały w czasach PiS. Jednak te, które istnieją od dawna, również są atakowane, np. Instytut Zachodni. Czy nie jest to dowód na to, że Donald Tusk dąży również do głębokich zmian na polskiej scenie intelektualnej?

Wielkich zmian na polskiej scenie naukowej nie musi wprowadzać, bo polscy naukowcy w zdecydowanej większości są wierni „nowej linii", którą od lat wspierają i której nie odważą się podważyć. Zachowanie świata nauki, ataki filozofów z Krakowa na mnie, prof. Ryszarda Legutkę czy prawników na prezydenta Andrzeja Dudę to dla mnie jako naukowca z 40-letnim stażem prawdziwy szok. Kunktatorstwo i tchórzostwo. Zadowolenie z życia w kolonizowanej Polsce, zero ambicji wejścia na światowy poziom, zrozumienia dla historycznej chwili, w której mogłyby się ziścić marzenia o wielkiej Polsce.

Ale wracając do pytania. Donald Tusk chyba nie odważy się zlikwidować wszystkich instytutów, o których wspomina jego program, np. Instytutu Zachodniego. Jest to zbyt stara instytucja, której pracownicy nie pamiętają jednak, że jej istnienie kilka lat temu uratował rząd PiS. Powoła jedynie nową dyrekcję i radę, we „wspaniałej harmonii" współpracującą z Niemcami, których rozwój Instytut Zachodni ma przecież krytycznie analizować. Bo taka była idea towarzysząca jego powstaniu tuż po wojnie. Inne, młodsze instytuty zlikwiduje zapewne minister kultury, bo to jemu one podlegają. W faktycznej likwidacji jest też Instytut Strat Wojennych.

Jest pan byłym ambasadorem RP w Niemczech. Czy nie wydaje się panu, że szkody, które Tusk niedawno wyrządził w Berlinie, mówiąc rzeczy, które Niemcy zinterpretowali jako rezygnację Polski z reparacji wojennych, są nie do naprawienia? Pojawiają się głosy, że ten temat jest zamknięty, może na zawsze i Niemcy nigdy nie wypłacą Polsce należnych pieniędzy.

Szkody są oczywiste. To, czy uda się je kiedyś naprawić, zależy od tego, jak potoczy się historia. Czy Niemcom uda się dokonać centralizacji UE pod swoim skrywanym kierownictwem. Myślę, że jest to możliwe. Ale i wtedy ten temat całkiem nie zniknie, bo niemieccy politycy są świadomi powagi tego zagadnienia dla stanu stosunków polsko-niemieckich oraz dla dużej części polskiej opinii publicznej. Stąd pomysły zaprezentowane ostatnio przez Deutsche Welle, medium niemieckiego rządu, żeby stworzyć fundusz dla ostatnich żyjących ofiar III Rzeszy w Polsce oraz odrębny dla odbudowy kilku zniszczonych przez Niemcy budynków, np. pałacu Saskiego. Rząd Tuska, Sienkiewicza i Sikorskiego przyjmie to z radością i poprzez swe media ogłosi jako wspaniały sukces zamykający kwestie reparacji.

Nie ulega wątpliwości, że Polska ma obecnie rząd zgodny z interesami Niemiec. Jak pana zdaniem będzie kontynuowana ta polityka? Czy można się spodziewać, że rząd Tuska stawi opór niemieckiej polityce w kwestii np. Zielonego Ładu czy federalizacji UE? Przecież niektóre wypowiedzi Donalda Tuska można tak interpretować.

Nie wierzę w niezależność tego rządu od Niemiec, to one, m.in. ustami Ursuli von der Leyen, podopiecznej kanclerz Merkel, domagały się jego powrotu do władzy. Donald Tusk będzie robił pewne werbalne gesty, dystansujące się od niektórych elementów polityki UE, ale zawsze po wcześniejszym uzgodnieniu z szefową Komisji Europejskiej, która ubiega się o drugą kadencję. Jest znamienne (ale i przerażające), że tak przeciętny polityk, jakim jest pani von der Leyen, z nierozliczonymi aferami na stanowisku ministra obrony, mógł zajść tak wysoko w strukturach unijnych. UE zmienia się w potwora, który zniszczy suwerenność wszystkich swych członków poza Niemcami i Francją. Jedyny ratunek to uświadomienie sobie tego przez średnie i mniejsze kraje oraz przeciwstawienie się temu procesowi. Po idiotycznym wyborze, którego 15 października dokonała większość polskiego społeczeństwa, szanse na to znacznie się zmniejszyły, bo to Polska mobilizowała i uświadamiała inne kraje.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Dziwne wybory

Cztery tygodnie przed wyborami samorządowymi właściwie nie toczy się żadna kampania. Dlaczego?

STANISŁAW JANECKI

Choć do wyborów samorządowych pozostał mniej niż miesiąc, właściwie nie toczy się pełnowymiarowa kampania wyborcza. Są tylko epizody wyborcze, np. w Warszawie rywalizacja Tobiasza Bocheńskiego z Rafałem Trzaskowskim czy we Wrocławiu, gdzie walka wyborcza toczy się głównie pod dywanem. Ale nawet te epizody przebiegają w letniej temperaturze. Praktycznie nie widać zaangażowania partyjnych pieniędzy w kampanię – jakby żadne ugrupowanie nie chciało ich wydawać, a najlepiej, żeby finansowanie załatwili sobie sami kandydaci z własnych środków. Wygląda to jak test zaangażowania: jeśli kandydatom naprawdę zależy, niech udowodnią, że sami potrafią coś osiągnąć. To ma być partyjny test na zaradność.

Kampania toczy się tak niemrawo i bez większych nakładów, jakby poważne pieniądze czekały na wybory do Parlamentu Europejskiego w czerwcu 2024 r., bo wyniki tych można bezpośrednio zdyskontować i to one świadczą o aktualnym poparciu dla partii. Kampania bez kampanii wygląda tak jakby nikt nie chciał ryzykować dużego zaangażowania, nie będąc pewnym rezultatu.

Cztery tygodnie przed wyborami sondaże są rzadkie i trudno na ich podstawie wyciągać daleko idące wnioski, choćby pod kątem najbardziej „partyjnych" wyborów do sejmików wojewódzkich. Ugrupowania wchodzące w skład rządzącej koalicji liczą na utrzymanie trendu z wyborów parlamentarnych 15 października 2023 r., choć nie badają tego, czy i jak ewoluuje poparcie i co odróżnia preferencje w wyborach parlamentarnych od tych samorządowych. Z punktu widzenia dotychczasowych doświadczeń wyborczych wygląda na to, że taktyka głównych partii polega na byciu jak najmniej obecnym, bo w ten sposób popełnia się najmniej błędów. A jest już tak blisko wyborów, że ich skutki trudno by było odwrócić.

Ta kampania wygląda tak, jakby składała się wyłącznie z finiszu, co oznacza, że byłaby najkrótsza po 1989 r., trwająca zaledwie dwa tygodnie, a może nawet krócej.

STATUS QUO

W sondażu United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej" (przepro-

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl 14f4aa6b19

Jakie szanse w pojedynku wyborczym z Rafałem Trzaskowskim ma Tobiasz Bocheński?

wadzonego 23–25 lutego 2024 r.) chęć wzięcia udziału w wyborach samorządowych wyraziło nieco ponad 52 proc. ankietowanych, a 43 proc. zadeklarowało, że nie weźmie udziału w głosowaniu. Niezdecydowanych jest zaledwie niecałe 4 proc. To byłby duży spadek aktywności wyborczej w stosunku do ostatnich wyborów parlamentarnych, w których frekwencja wyniosła 74,38 proc. W tym sondażu na Koalicję Obywatelską chciałoby głosować 30,6 proc. badanych (w wyborach parlamentarnych 30,7 proc.), zaś na Prawo i Sprawiedliwość 30,2 proc. (o ponad 5 pkt. proc. mniej niż w ostatnich wyborach parlamentarnych). Na koalicję Trzecia Droga głosowałoby ponad 17 proc. respondentów (prawie 3 pkt. proc. więcej niż w październiku 2023 r.). Konfederacja mogłaby liczyć na 7,6 proc. poparcia (nieco więcej niż 15 października 2023 r.), Lewicę poparłoby 8,5 proc. ankietowanych (minimalnie mniej niż w wyborach parlamentarnych).

W wyborach samorządowych w 2018 r. wygrało Prawo i Sprawiedliwość (34,13 proc. głosów), druga była Koalicja Obywatelska (26,97 proc.), a na trzecim miejscu uplasowało się startujące samodzielnie Polskie Stronnictwo Ludowe (12,07 proc.).

Według sondażu Ipsos dla TOK FM i OKO.Press (22–26 lutego 2024 r.) PiS mogłoby liczyć na poparcie 30 proc. wyborców, KO na 29 proc., Trzecia Droga na 13 proc., Konfederacja na 12 proc., zaś Nowa Lewica na 6 proc. Najwięcej zyskiwałaby Konfederacja, najbardziej traciła Nowa Lewica.

Gdyby brać pod uwagę wyniki sondażu United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej", w wyborach do sejmików wojewódzkich PiS mogłoby wygrać tylko w dwóch regionach: podkarpackim i lubelskim. Jednak wynik w województwach łódzkim, małopolskim, świętokrzyskim czy podlaskim byłby tak wyrównany, że i tam PiS może zwyciężyć.

Kompletną niewiadomą jest siła wyborcza Polski 2050 Szymona Hołowni w wyborach samorządowych, bo jeszcze w nich nie startowała.

W badaniu Ogólnopolskiej Grupy Badawczej sprawdzano, „gdzie zmienią się prezydenci w 2024" (wzięto pod uwagę 91 ze 107 prezydentów miast, czyli tych, którzy będą się ubiegać o reelekcję). Jego wyniki wskazują na to, że 40 spośród 91 prezydentów największych miast ubiegających się o reelekcję nie utrzyma stanowiska. W największym stopniu miałoby to dotyczyć prezydent Zabrza Małgorzaty Mańki-Szulik. Minimalne szanse na utrzymanie stanowisk mieliby prezydenci: Legnicy Tadeusz Krzakowski, Bełchatowa Mariola Czechowska, Włocławka Marek Wojtkowski, Żor Waldemar Socha i Koszalina Piotr Jedliński. Zmiany prezydentów mogą się też spodziewać mieszkańcy Piotrkowa Trybunalskiego, Zielonej Góry, Torunia, Wejherowa, Ostrowa Wielkopolskiego, Raciborza, Sieradza, Lubina oraz Gdyni.

Z kolei największe szanse na reelekcję mieliby: Jacek Sutryk (Wrocław), Aleksandra Dulkiewicz (Gdańsk), Rafał Trzaskowski (Warszawa), Ludomir Handzel (Nowy Sącz) i Konrad Fijołek (Rzeszów). Raczej nie zmienią się prezydenci funkcjonujący w swoich miastach w roli totemów, traktowani wręcz jako mistyczni łącznicy między mieszkańcami oraz miedzy współczesnością a przeszłością. To sprawia, że nie są racjonalnie oceniani, co najlepiej widać w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu czy Poznaniu.

Jacek Sutryk jest jednym z faworytów w wyborach, ale we Wrocławiu trwa jeszcze dziwniejsza kampania niż w całym kraju. Na początku marca 2024 r. senator Grzegorz Schetyna sugerował, że kandydatem KO będzie właśnie Sutryk. Ale ten zarejestrował się już w miejskiej komisji wyborczej jako kandydat komitetu Jacek Sutryk Lewica i Samorządowcy. W dodatku politycy wrocławskiej Platformy Obywatelskiej przeszli na listy komitetu Sutryka i Lewicy, gdzie dostali wyższe miejsca. Już nawet wpłacili po 10 tys. zł na kampanię wyborczą. Schetyna stwierdził, że Michał Jaros nie ma poparcia PO, choć jego kandydaturę zatwierdziły lokalne i regionalne władze partii. 4 marca 2024 r. o rezygnację ze startu w wyborach zaapelował do Sutryka były prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz. „Lista kontrowersji związanych z Jackiem Sutrykiem jest bardzo długa. Teraz afera z Collegium Humanum, w której występuje, wcześniej niejasności wokół zakupu domu, rady programowe w spółkach, likwidacja stanowiska architekta miejskiego. Obniżyła się jakość zarządzania miastem. Bardzo wiele złej krwi wprowadzono w miejski obieg" – mówił Rafał Dutkiewicz. I przepraszał wrocławian za Sutryka, bo to on wskazał go jako swego następcę.

Wprawdzie w Warszawie faworytem jest Rafał Trzaskowski (w badaniu, kto byłby najlepszym włodarzem stolicy, 49,6 proc. wskazań uzyskał Trzaskowski, 9,6 proc. Tobiasz Bocheński, a Magdalena Biejat 4,6 proc.) , ale tu przynajmniej toczy się jakaś kampania. PiS wystawiło atrakcyjnego konkurenta, mimo że na siłę jest on przedstawiany jako „zagorzały łodzianin", a nawet „kibic Widzewa", choć nim nie jest. Całkowicie pomija się zaś to, że Tobiasz Bocheński był wojewodą mazowieckim.

WYBORCZE ZMĘCZENIE

Poza Warszawą, gdzie trzeba być i bić się, Prawo i Sprawiedliwość sprawia wrażenie, jakby nie walczyło o duże miasta. Świadczy o tym także trudność w wyłanianiu kandydatów oraz brak „dużych" nazwisk. W Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drodze i Nowej Lewicy, trochę tak jak w PiS, nie ma chęci kandydowania ze strony ważnych postaci zasiadających już w Sejmie i Senacie czy w Parlamencie Europejskim. Chyba po raz pierwszy po 1989 r. wybory samorządowe opierają się na rezerwach kadrowych, a nie na najważniejszych politykach. Tak jakby ci ważni bali się wyborczego testu.

Na razie brakuje jakichkolwiek akcji profrekwencyjnych, zaangażowania w kampanię celebrytów i znanych postaci. Kampania bez kampanii wygląda tak, jakby ugrupowania tworzące rządzącą koalicję bały się sprawdzić, jakie jest aktualne poparcie dla nich, a opozycyjne PiS bało się walczyć o lepszy wynik niż w wyborach parlamentarnych, obawiając się, że lepszy nie będzie.

Ogólne wrażenie jest takie, że zagęszczenie kalendarza wyborczego – trzy wybory w ciągu zaledwie pół roku – zmęczyło partie i je zdezorientowało. W efekcie nie wiedzą, co robić, w jakim stopniu się zaangażować i jakie środki przeznaczyć na wybory. Właściwie wszystkie partie zachowują się tak, jakby chciały te wybory „odfajkować", przeczekać je i raczej nie stracić, niż cokolwiek zyskać. Dlatego zanosi się na najdziwniejsze wybory po 1989 r. A najdziwniejsza jest kampania przed tymi wyborami, bo właściwie jej nie ma, choć do głosowania pozostały zaledwie cztery tygodnie.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Hołownia to kot w worku

Marszałek Hołownia zarządza Sejmem amatorsko. Podejmuje decyzje wyłącznie przez pryzmat własnych celów politycznych, a nie potrzeb Polek i Polaków. On musi się zdecydować, czy jest gwiazdorem, czy politykiem

Z Markiem Baltem, europosłem Lewicy, rozmawia Dorota Łosiewicz

Komisarz UE ds. rolnictwa zapowiedział, że Zielony Ład trafi do kosza, a przynajmniej część jego zapisów. Jednak Komisja Europejska twierdzi, że to prywatne stanowisko Janusza Wojciechowskiego. Jak jest pana zdaniem?

Marek Balt: Komisarz Wojciechowski nie wypowiedział się w imieniu całej Komisji Europejskiej ani władz UE. Rezolucje, uchwały i dyrektywy związane z Zielonym Ładem były przyjmowane przez Parlament Europejski, Radę Europejską, czyli organ reprezentujący wszystkie państwa Unii, oraz przez Komisją. Wszystko odbyło się na drodze dialogu i później w głosowaniach. Zdanie jednego komisarza nic nie zmienia. Oczywiście widzimy wiele problemów wynikających z niskich cen żywności na rynkach światowych. One wyglądają tak, dlatego że Rosja, próbując pozyskać środki na wojnę, sprzedaje produkty rolne po cenach dumpingowych, a ma duże ilości nawozów oraz ziemi rolnej. Musimy chronić polskie i europejskie rolnictwo, ponieważ to gwarantuje nam strategiczną autonomię. Chodzi o to, żebyśmy w przyszłości nie byli zależni od kogoś, kto może podnieść ceny lub ograniczyć dostawy żywności do Europy. W tym zakresie możliwe jest porozumienie między KE i państwami Unii, tak by doprowadzić do skupu interwencyjnego produktów rolnych. Następnie można będzie je przeznaczyć na produkcję użytecznych w UE towarów czy na pomoc krajom, w których panuje głód. Musimy wspierać europejskie rolnictwo, ale z głową. Zielony Ład nie jest przeciw rolnikom, ale dla rolników. Ziemie w UE są wyjałowione, przenawożone, zatrute pestycydami i trzeba je odnowić, żeby Europejczycy mieli dostęp do zdrowej żywności.

Jedna ze zmian ma dotyczyć właśnie ugorowania. Rolnicy będą mogli się go podejmować dobrowolnie i mają za to dostać unijną dopłatę.

Ugorowanie to jeden z elementów odbudowy gleb. Żeby ziemia mogła obradzać bez używania dużej ilości nawozów, musi być poddana ugorowaniu. Ma odpocząć. W niektórych krajach stosuje się pozwolenie dla rolników, by na ugorowanych terenach stawiać farmy fotowoltaiczne. Dostaną na to dotacje. Z takiej farmy mogą mieć tani prąd dla swojego gospodarstwa, a ponadto sprzedawać zielone certyfikaty, więc mogą zarabiać na tych ugorowanych terenach. Ważne, by do problemów rolników podejść systemowo, by z nimi rozmawiać, ale też by zaproponować im rozwiązania alternatywne, które poprawią ich finanse.

Rolnicy mówią jasno: chcą ograniczenia napływu tanich i gorszej jakości produktów z Ukrainy i całkowitego odejścia od Zielonego Ładu. Czy te postulaty mogą być w całości spełnione?

W tej chwili nie ma wwozu towarów z Ukrainy do Unii, jest tylko tranzyt.

Tylko teoretycznie. Towary wjeżdżają i zostają.

Nie dopuszczam nawet takiej myśli, że unijne państwa nie są w stanie kontrolować przejazdu towarów przez swoje terytoria. To jest zadanie administracji państwowej i byłby to skandal, gdyby nie potrafiła się wywiązać ze swoich obowiązków. Nawet gdyby całkowicie zabronić wwozu na teren UE produktów z Ukrainy, nie zmieni to cen produktów rolnych w skupie – dlatego, że Rosjanie na rynkach światowych, jak już mówiłem, sprzedają swoje towary po cenach dumpingowych. Kiedyś sprzedawano 1 t pszenicy za 400 dol., a dziś Rosjanie sprzedają ją za 100 dol. Z tym się nie da konkurować. Europejskie rolnictwo jest bardzo wydajne, a ludzi w UE nie przybyło. Stąd problem z niskim popytem na produkty rolne. Jest jeszcze problem nieuczciwych pośredników. W Holandii czy Belgii rolnicy protestują m.in. dlatego, że sprzedają 1 kg ziemniaków za 2 eurocenty, a później te same ziemniaki widzą w markecie za 2 euro. To nieuczciwe. Dlatego jedna z polityk Zielonego Ładu to „od pola do stołu". Chodzi o skrócenie dostaw od rolników do konsumentów, by rolnicy dostawali uczciwe wynagrodzenie za swoją pracę, a ludzie nie płacili tak wysokich cen w marketach. W ogóle powinniśmy ograniczyć handel wszelkimi towarami z Białorusią i Rosją. Trzeba zamknąć granicę i transport. Nie możemy wspierać krajów bandyckich. Należy zerwać stosunki handlowe z tymi państwami. Mamy w UE wystarczającą ilość żywności, by nakarmić Europę i inne części świata.

Jak pan patrzy na brutalność policji wobec rolników protestujących w Warszawie? Media społecznościowe pękają od obrazków brutalnych zatrzymań i gazowania demonstrujących.

Policja powinna działać w ramach uprawnień, używać przymusu bezpośredniego wyłącznie w sytuacjach koniecznych. Ale też apelowałbym do rolników, by zachowywali standardy protestów, a nie zachowywali się jak chuligani. Rozumiem emocje, lecz one nie doprowadzą do

eprasa.pl 14f4aa6b19

wzrostu cen produktów rolnych w skupie. Potrzebny jest dialog i podejmowani działań. Siłą nic się nie osiągnie.

Pan mówi o rozmowie, ale do protestujących wówczas rolników premier nie wyszedł.

Nie wiem, czy ja bym wyszedł w obawie o zdrowie i życie. Może też bym się bał, że dostanę w głowę kostką brukową. A ta kostka na proteście leciała w różnych kierunkach. Premier nie powinien rozmawiać, ryzykując życie. Są miejsca, gdzie można prowadzić taki dialog. Droga do rozwiązania problemu jest przy stole, a nie na ulicy.

Były rozmowy w Centrum Dialog, ale rolnicy nie usłyszeli tam konkretów.

W żadnych negocjacjach nie jest tak, że decyzje podejmuje się od razu. Najpierw trzeba wysłuchać postulatów, zobaczyć, co można zrobić. Nie można obiecać czegoś, czego potem nie da się zrealizować.

A nie uważa pan, że te obrazki policji brutalnie obchodzącej się z rolnikami trwale przylgnął do koalicji, którą przecież współtworzy pana partia.

Wszystkie rządy mają problem z protestującymi, którzy czują się zostawieni sami sobie. Podczas rządów PiS rolnicy też protestowali, a do biura Antoniego Macierewicza wjechała taczka obornika. Pamiętam też zdjęcia Jarosława Kaczyńskiego na traktorach, które wjeżdżały do Warszawy, gdy była procedowana „Piątka dla zwierząt".

Ale takich scen brutalności ze strony policji nie było.

Ale były sceny brutalności policji podczas protestów kobiet. W mojej ocenie szef MSWiA powinien zrobić wszystko, żeby nie dochodziło do takich działań. Policja ma rozwinięte narzędzia przymusu, może zweryfikować ludzi, którzy działają niezgodnie z prawem i wyciągnąć wobec nich konsekwencje. Jestem przeciwnikiem stosowania przemocy przez obie strony.

Na ile wielkie protesty rolników w wielu unijnych krajach będą miały wpływ na decyzje Brukseli, np. dotyczące Zielonego Ładu?

One mogą mieć wpływ na częściowe odroczenie tej polityki, ale moim zdaniem instytucje UE poszukają takich rozwiązań, które będą mogły kompensować straty rolników. Jednak nie ma możliwości odejścia od Zielonego Ładu w całości.

A czy protesty mogą zmienić polityczny obraz europarlamentu? Wybory już w czerwcu.

Oczywiście, że tak. Protesty powodują, że ludzie zaczynają myśleć nad skutkami działań politycznych. Więcej osób może wybierać partie konserwatywne. Moim zdaniem nie ma jednak odwrotu od odejścia od paliw kopalnych. Europa nie dysponuje ich wystarczającymi zasobami. Nie możemy też zapominać o wzroście temperatury na ziemi i o zmianach klimatycznych. One prowadzą do tego, że ziemie w Polsce zmieniają się w stepy. Produktywność spada, koszty produkcji rosną. Już dziś w naszym kraju trzeba nawadniać uprawy, co zwiększa koszty. Buduje się studnie, zbiorniki do przetrzymywania wody deszczowej. Kilkanaście lat temu nikt o tym nie myślał, bo opady deszczu były wystarczające. Jeśli nie będziemy odchodzili od paliw kopalnych, to zmiany klimatyczne będą dosięgały rolników, a ci będą przychodzili do rządów po dopłaty z powodu suszy. Musimy podnieść jakość gleb w Europie i doprowadzić do tego, żeby nie nadużywać nawozów i pestycydów.

Mówi pan o zmianach klimatycznych. Odpowiedzią Unii jest dążenie do redukcji emisji CO_2 z celem zeroemisyjności w 2050 r. W ten sposób UE nakłada kaganiec na europejską gospodarkę, ale ona emituje ledwie 7 proc. dwutlenku węgla w skali światowej.

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 14f4aa6b19

Nawet jeśli UE osiągnie swoje cele, wykańczając gospodarkę, to sytuacja planety wcale się nie zmieni. A Chińczycy zacierają ręce, bo tam się przesunie znacząca część produkcji.

Dlatego wprowadzamy podatek graniczny dotyczący emisji CO_2, tzw. CBAM. Producenci, którzy chcą sprzedawać do UE, będą musieli wykupić certyfikaty CBAM, jeśli będą produkowali przy użyciu energii z paliw kopalnych. A pieniądze z tego podatku mają iść do europejskich przedsiębiorców na rekompensatę ich strat i dostosowanie produkcji do wymogów neutralności klimatycznej. UE jest zdecydowana, by eksportować produkty, a nie emisję CO_2. Nie chcemy wynoszenia przemysłu do Azji.

Ale takie są skutki polityki klimatycznej UE.

Dlatego teraz KE podejmuje działania w celu wprowadzenia ceł antydumpingowych na produkcję samochodów elektrycznych z Chin. Ta produkcja jest tam subsydiowana, stosuje się energię z paliw kopalnych.

Konkurencyjność Unii od lat spada, podobnie jak PKB. Instytucje UE, nakładając kaganiec klimatyczny, wykańczają przemysł, a za chwilę koszty polityki klimatycznej odczują wszyscy obywatele.

Unia wprowadza swoje polityki w długim terminie. Sama pani mówi o celach neutralności klimatycznej, które mają być osiągnięte w 2050 r. Do tego czasu polityka klimatyczna będzie podlegała wielu przeglądom. Będzie możliwość wprowadzenia zmian. Na starcie mamy problemy z dostosowaniem się do wdrażanych przepisów, ale od tego są przeglądy i może będą korekty. Unijne instytucje oraz państwa są gotowe do szybkiej pomocy, jeśli pojawią się problemy. Przypomnę – gdy były wdrażane przepisy dotyczące ETS, podatku granicznego i Zielonego Ładu, to po negocjacjach zwiększono o 50 proc. środki na modernizację przemysłu dla Polski. Dlatego warto być w instytucjach UE, negocjować i przedstawiać argumenty. Gdy planowano wprowadzić restrykcyjną dyrektywę metanową, która zagrażała polskim kopalniom, po negocjacjach znaleziono kompromis, który wydłużył ich działanie.

Koszty polityki klimatycznej UE są szaleńczo wysokie, a skutki dla całej planety minimalne, o ile w ogóle takie będą.

Dlatego musimy przekonywać partnerów w innych częściach świata, że mamy rację. Nawet jeśli my tego nie zrobimy, przekona ich natura. Mamy wyliczenia, z których wynika, że koszty zmian klimatycznych dla rolnictwa i dla gospodarki są dużo większe niż koszty, które poniesiemy na przestawienie gospodarki na zeroemisyjność. Ale nie myślimy o kosztach usuwania skutków susz czy powodzi. A przecież je ponosimy.

> Policja powinna używać przymusu bezpośredniego wyłącznie w sytuacjach koniecznych. Ale też apelowałbym do rolników, by zachowywali standardy protestów, a nie zachowywali się jak chuligani

Musimy znaleźć rozwiązania, które sprawią, że gospodarka będzie bezpieczna. Nie można eksploatować Ziemi w sposób nieograniczony, bo to doprowadzi do katastrofy.

Jak pana słucham, to mam wrażenie, że najlepiej dla planety byłoby wyłączyć gospodarkę i skasować ludzkość.

Nic takiego nie powiedziałem! Trzeba szukać rozwiązań neutralnych dla klimatu. Takim rozwiązaniem jest produkcja zielonej energii na farmach wiatrowych. Polska ma tu ogromne możliwości, np. na morzu. Możemy postawić ok. 60 GW wież wiatrowych, a to zapewniłoby prąd dla całej Polski, moglibyśmy nawet produkować zielony wodór. Tylko potrzebne są szybkie decyzje.

Wróćmy do polityki krajowej. Czy rząd może się rozpaść przez temat aborcji, czy to tylko awantura pod publiczkę i wybory samorządowe?

Temat aborcji jest bardzo poważny. Lewica tak go traktuje. Podjęliśmy zobowiązania wobec wyborców i musimy się z nich wywiązać. Jesteśmy zdecydowani, żeby tak się stało. Nie zgadzamy się na trzymanie naszych projektów ustaw w zamrażarce marszałka Hołowni. Kobietom należy się prawo wyboru i procedowanie naszych ustaw, tak by czuły się bezpieczne. Polityka pana Hołowni jest niezrozumiała. Kiedy, jak nie podczas kampanii, dyskutować o decyzjach, które mają podjąć politycy? Przecież ludzie mają wybierać zgodnie ze swoimi przekonaniami, a nie głosować na kota w worku. A pan marszałek próbuje schować się do tego worka i udawać kota.

A jak pan ocenia pracę Szymona Hołowni po tych kilku miesiącach? Miało nie być barierek – wróciły, miało nie być zamrażarki, a jest. W dwóch sondażach z rzędu marszałek Sejmu nie trafia nawet do drugiej tury wyborów prezydenckich. Coś w jego planie poszło nie tak?

Marszałek Hołownia zarządza Sejmem amatorsko. Podejmuje decyzje wyłącznie przez pryzmat własnych celów politycznych, a nie potrzeb Polek i Polaków. On musi się zdecydować, czy jest gwiazdorem, czy politykiem.

Konfliktów w koalicji rządzącej jest więcej. Jest temat składki zdrowotnej czy programu mieszkaniowego. Coraz więcej tych osi sporu.

I to mnie bardzo martwi. Różnic programowych jest sporo. Liczę na to, że politycy będą potrafili się porozumieć dla Polski. Jest jeszcze czas na rozmowę i rozwiązywanie problemów. Rozmawianie przez media nie pomaga, rozmawiać trzeba na komisjach sejmowych, a nie w studiach. Jeśli spory światopoglądowe będą się jednak zaostrzały, to ta koalicja może nie przetrwać, zwłaszcza jeżeli partnerzy będą wzajemnie głosowali przeciw rozwiązaniom proponowanym przez strony koalicji.

eprasa.pl 14f4aa6b19

NOWENNA

W INTENCJI OJCZYZNY, ZGODY NARODOWEJ I POSZANOWANIA ŻYCIA LUDZKIEGO

16-24 marca

#21:20

i po każdej Mszy Św.
w każdej parafii

MODLITWA

ZA WSTAWIENNICTWEM
ŚW. ANDRZEJA BOBOLI
I BŁ. JERZEGO POPIEŁUSZKI

UKŁAD NOWENNY:

1. Znak krzyża
2. Odczytanie intencji na dany dzień
3. Ojcze nasz...
4. Zdrowaś Maryjo...
5. Dowolna modlitwa w intencji Ojczyzny
   (sugerowana modlitwa za Ojczyznę ks. Piotra Skargi SJ)

INTENCJE NA KAŻDY DZIEŃ

16.03. sobota Módlmy się o odnowienie WIARY każdego z nas, by prowadziła do umocnienia ducha naszego narodu

17.03. niedziela Módlmy się o POJEDNANIE narodowe, mądrość dla rządzących i solidarność społeczną

18.03. poniedziałek Módlmy się o zachowanie POKOJU i bezpieczną przyszłośćdla Polski

19.03. wtorek Módlmy się o odczytanie prawdziwej roli mężczyzny i kobiety w małżeństwie oraz trwałość RODZIN

20.03. środa Módlmy się o siłę i odwagę dla MŁODYCH w odkrywaniu wiary i życiowego powołania

21.03. czwartek Módlmy się o światło dla nas jako NARODU, byśmy kierowali się zawsze dobrem Ojczyzny

22.03. piątek Módlmy się o prawdę i odpowiedzialność za słowo w PRZESTRZENI MEDIALNEJ, także w mediach społecznościowych

23.03. sobota Módlmy się o szacunek i język DIALOGU w przestrzeni publicznej

24.03. niedziela Módlmy się o pełną ochronę prawną ŻYCIA dzieci nienarodzonych

MODLITWA ZA OJCZYZNĘ KS. PIOTRA SKARGI SJ

Boże, Rządco i Panie narodów, z ręki i karności Twojej racz nas nie wypuszczać, a za przyczyną Najświętszej Panny, Królowej naszej, błogosław Ojczyźnie naszej, by Tobie zawsze wierna, chwałę przyniosła Imieniu Twemu, a syny swe wiodła ku szczęśliwości.

Wszechmogący wieczny Boże, spuść nam szeroką i głęboką miłość ku braciom i najmilszej Matce, Ojczyźnie naszej, byśmy jej i ludowi Twemu, swoich pożytków zapomniawszy, mogli służyć uczciwie.

Ześlij Ducha Świętego na sługi Twoje, rządy kraju naszego sprawujące, by wedle woli Twojej ludem sobie powierzonym mądrze i sprawiedliwie zdołali kierować. Przez Chrystusa, Pana naszego.

Amen.

KONFERENCJA EPISKOPATU POLSKI

ZOBACZ ILU NAS JEST:
nowenna2120.pl

eprasa.pl 14f4aa6b19

Anonimowy tekst tajemniczego kardynała

W watykańskich kręgach zaczyna się dyskusja o wyzwaniach czekających na kolejnego papieża

GRZEGORZ GÓRNY

W marcu 2022 r. za Spiżową Bramą zaczął krążyć, przekazywany z rąk do rąk, tekst pt. „Watykan dziś". Wkrótce potem opublikowało go kilka katolickich portali. Była to miażdżąca analiza pontyfikatu Franciszka, która wywołała ożywioną dyskusję w wielu katolickich mediach na całym świecie. Autor ukrywający się pod pseudonimem „Demos" (po grecku – „lud") miał tak rozległą wiedzę na temat funkcjonowania urzędu papieskiego od środka, iż wielu komentatorów przypuszczało, że może być nim któryś z watykańskich purpuratów. Później się okazało, że tekst napisał zmarły w styczniu 2023 r. kard. George Pell, który przez kilka lat stał na czele Sekretariatu ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej.

Analiza australijskiego hierarchy koncentrowała się na pontyfikacie Franciszka, który zdaniem autora zamiast dążyć do przezwyciężenia kryzysu Kościoła, stał się jednym z głównych źródeł postępującej zapaści. Dla licznych komentatorów wiele mówiące o sytuacji w Watykanie było to, że George Pell, słynący z odwagi osobistej, zdecydował się ukryć za pseudonimem.

CZEKAJĄC NA KONKLAWE

Nie minęły dwa lata, a pod koniec lutego br. na katolickich portalach ukazał się dokument autorstwa kolejnego anonimowego kardynała. Jego tytuł „Watykan jutra" oraz podpis „Demos II" wskazują na ciągłość z poprzednim tekstem. O ile jednak analiza Pella skupiała się na kryzysie papiestwa, o tyle drugi autor pisze o wyzwaniach stojących przed następnym papieżem. Głównym adresatem materiału są członkowie Kolegium Kardynalskiego, którzy zbiorą się na najbliższym konklawe, by wybrać następcę Franciszka. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że stan zdrowia poruszającego się na wózku inwalidzkim 87-letniego Jorge Maria Bergoglia stale się pogarsza, a on sam coraz częściej musi odwoływać zaplanowane zajęcia. W związku z tym nadszedł czas, by wybiec myślą w przód i zastanowić się, jak powinien wyglądać przyszły pontyfikat.

Autor nie ukrywa smutku z powodu ukrywania swej tożsamości za pseudonimem. Jak pisze: „Czytelnicy całkiem rozsądnie zapytają, dlaczego ten tekst jest anonimowy. Odpowiedź powinna się stać oczywista, jeśli weźmie się pod uwagę realia dzisiejszego środowiska rzymskiego: szczerość nie jest mile widziana, a jej konsekwencje mogą być nieprzyjemne".

Sam Franciszek często nawołuje biskupów i księży do parezji, czyli otwartej i szczerej wypowiedzi na temat problemów Kościoła. Zbyt często się jednak zdarzało, że duchowni, którzy bez ogródek mówili o tym, co ich boli i niepokoi, byli później marginalizowani. Taki los spotkał m.in. kardynałów Raymonda Burke'a i Gerharda Müllera, odsuniętych od kierowania wysokimi watykańskimi urzędami, czy bp. Josepha Stricklanda, zdymisjonowanego i wysłanego na wcześniejszą emeryturę.

Jak pisze „Demos II", obecny pontyfikat charakteryzują „autokratyczny styl rządzenia, czasami sprawiający wrażenie mściwego; niedbałość w kwestiach prawnych; nietolerowanie niezgody, nawet tej wyrażanej z pełnym szacunkiem; i – co najpoważniejsze – niejednoznaczne traktowanie kwestii wiary i moralności powodujące zamieszanie wśród wiernych. Zamęt rodzi podziały i konflikty, podważa zaufanie do Słowa Bożego

i osłabia ewangeliczne świadectwo. W rezultacie Kościół jest dziś bardziej podzielony niż kiedykolwiek w jego najnowszej historii".

SIEDEM PUNKTÓW GŁÓWNYCH

Po tym wstępie anonimowy kardynał przechodzi do zarysowania zadań stojących przed kolejnym papieżem. Jak pisze: „Zadaniem następnego pontyfikatu musi być zatem odzyskanie i przywrócenie prawd, które powoli ulegają zaciemnieniu lub zostają zatracone wśród wielu chrześcijan". Jego zdaniem obserwujemy dziś na świecie kryzys katolickiej tożsamości wynikający z zatracenia podstawowych prawd wiary. W związku z tym autor dzieli się siedmioma spostrzeżeniami.

Po pierwsze, „prawdziwy autorytet jest niszczony przez autorytarne środki w jego sprawowaniu. Papież jest następcą Piotra i gwarantem jedności Kościoła, nie jest jednak autokratą. Nie może on zmieniać kościelnej doktryny, a także nie może w arbitralny sposób wymyślać ani modyfikować dyscypliny Kościoła. Rządzi Kościołem kolegialnie ze swoimi braćmi biskupami w lokalnych diecezjach. Czyni to zawsze w wiernej spójności ze Słowem Bożym i nauczaniem Kościoła. »Nowe paradygmaty« i »niezbadane nowe ścieżki«, które odbiegają od któregokolwiek z tych źródeł wiary, nie pochodzą od Boga. Nowy papież musi przywrócić hermeneutykę ciągłości w życiu katolickim i ponownie potwierdzić zawarte w Soborze Watykańskim II rozumienie właściwej roli papiestwa".

Po drugie, jak zauważa autor, jak Kościół nie jest autokracją, tak nie jest też demokracją, lecz należy do Chrystusa jako jego Mistyczne Ciało. W związku z tym nikt nie ma władzy zmieniania nauki Kościoła, by dopasować ją do świata, nawet jeśli za takimi zmianami opowiada się większość ochrzczonych.

Po trzecie, należy unikać wszelkiej niejednoznaczności w nauczaniu, ponieważ nie jest ona ewangeliczna, lecz rodzi wątpliwości i podziały. Dlatego konieczne jest głoszenie jasnej doktryny, która nie stanowi dodatku do wiary, lecz jej rozumowy wyraz. W tym kontekście autor ze smutkiem konstatuje odchodzenie przez Watykan od dziedzictwa Jana Pawła II i Benedykta XVI, które opierało się na ewangelicznej sile i intelektualnej jasności. W efekcie obserwujemy wywyższenie „współczucia" i emocji kosztem rozumu, sprawiedliwości i prawdy.

Po czwarte, następca Franciszka będzie musiał poradzić sobie z bałaganem pozostawionym w prawie kanonicznym, które „porządkuje życie Kościoła, harmonizuje jego instytucje i procedury oraz gwarantuje prawa wierzących". W tej sferze jest zbyt dużo niedbałości, niejednoznaczności, lekceważenia przepisów i procedur, co stawia pod znakiem zapytania przejrzystość działania Kościoła.

> Między 2014 a 2023 r. Franciszek nie zwołał żadnego konsystorza zamkniętego, na którym kardynałowie mogliby się poznać i podyskutować we własnym gronie o sprawach najważniejszych dla Kościoła. Ponieważ do tej pory nie mieli takiej okazji, a czas nagli, debata przeniosła się do cyberprzestrzeni

Po piąte, Kościół powinien odgrywać rolę nauczycielską i dawać odpowiedź na podstawowe wyzwania współczesnej epoki, związane m.in. z atakami na ludzką naturę i tożsamość (od transgenderyzmu po transhumanizm). Należy więc powrócić do głoszenia antropologii chrześcijańskiej i przekonującej teologii ciała, co dzisiaj niestety zostało zarzucone.

Po szóste, konieczna jest odnowa moralna samego Watykanu, oczyszczenie jego instytucji, procedur i personelu oraz gruntowna reforma finansów. Co ciekawe, właśnie ten postulat pojawiał się stale podczas konklawe w 2013 r. Zadaniem, które kardynałowie postawili wówczas przed nowym papieżem, było zreformowanie kurii rzymskiej. Dziś, po 11 latach widać wyraźnie, że cel nie został osiągnięty.

Po siódme, przyszły papież powinien w większym stopniu polegać na Kolegium Kardynalskim, które istnieje po to, by mu doradzać i pomagać. Jeśli to grono „ma służyć swoim celom, kardynałowie, którzy w nim zasiadają, potrzebują czegoś więcej niż pierścienia i szkarłatnej piuski". Wspomniane gremium powinno się więc jak najlepiej poznać nawzajem, by dokonać wkrótce najwłaściwszego wyboru.

INTERNET ZAMIAST SPOTKANIA

O ile tekst kard. Pella sprzed dwóch lat stawiał w centrum osobę Franciszka, o tyle obecny dokument anonimowego kardynała skupia się na zasadniczych problemach, które odziedziczy kolejny papież po swym poprzedniku. Niezależnie bowiem od tego, jak oceniamy obecny pontyfikat, jest faktem, że pozostawi on po sobie Kościół stojący przed wieloma wyzwaniami. Niemiecka droga synodalna, błogosławienie związków homoseksualnych czy afery finansowe w Watykanie to tylko wierzchołek góry lodowej. Doskonale zdają sobie z tego sprawę purpuraci, którzy zbiorą się na najbliższym konklawe. Dlatego jeden z nich zainicjował debatę na ten temat.

Można oczywiście zapytać, skąd wybór tak nietypowego kanału komunikacji, jak tekst zamieszczony w internecie. Wynika to głównie z tego, że między 2014 a 2023 r. Franciszek nie zwołał żadnego konsystorza zamkniętego, na którym kardynałowie mogliby się poznać i we własnym gronie podyskutować o sprawach najważniejszych dla Kościoła. Ponieważ do tej pory nie mieli oni takiej okazji, a czas nagli, debata przeniosła się do cyberprzestrzeni.

Jest w tym jakiś niepokojący znak czasu: nigdy nie mówiono o kolegialności w zarządzaniu Kościołem tak wiele jak dziś, a jednocześnie kardynałowie nie mają nawet możliwości, by się spotkać, poznać, zyskać wzajemne zaufanie, wymienić poglądami i przedyskutować problemy. Stąd zamiast bezpośredniej rozmowy biorą się adresowane do innych hierarchów anonimowe teksty w internecie, co w normalnych warunkach nigdy nie powinno się zdarzyć.

Fot. Riccardo De Luca – Update/Shutterstock.com

eprasa.pl 14f4aa6b19

Król jest tylko jeden

Triumf w prawyborach odsądzanego przez media i establishment od czci i wiary Donalda Trumpa jest bez precedensu w historii Stanów Zjednoczonych. Nie ma wątpliwości, iż były prezydent będzie nominatem republikanów w wyścigu o Biały Dom

DARIUSZ MATUSZAK

Superwtorek okazał się czarnym wtorkiem dla ostatniego republikańskiego rywala Donalda Trumpa. A może była to czarna środa, bo następnego dnia po prawyborach w 15 stanach, które odbyły się 5 marca br., była gubernator Południowej Karoliny Nikki Halley ogłosiła, że zawiesza swą kampanię, co *de facto* oznacza, że rezygnuje z ubiegania się o nominację republikanów w wyborach prezydenckich. Najpierw z dalszego opłacania jej zrezygnowali sponsorzy. Halley, była ambasador przy ONZ z nominacji Trumpa, wydała aż 114 mln dol., a w czasie całej kampanii udało się jej pozyskać delegatów z maleńkiego stanu Vermont i jeszcze mniejszego Dystryktu Kolumbia, czyli bagien Waszyngtonu, jak określa go Trump. To i tak było najlepszym wynikiem z tych, które osiągnęli pozostali rywale byłego prezydenta, łącznie ze słynnym gubernatorem Florydy Ronem DeSantisem. Wszyscy są już poza wyścigiem.

Superwtorek, największe wydarzenie prawyborów, kiedy w blisko jednej trzeciej stanów zarejestrowani wyborcy republikanów i demokratów wybierają swego nominata, okazał się dniem wielkiego triumfu Donalda Trumpa. Pokonał on ostatnią na placu boju Nikki Halley w 14 z 15 stanów i zebrał ponad 90 proc. możliwych do zdobycia delegatów. Jest to wynik bez precedensu w historii USA, nigdy żaden pretendent nie miał na tym etapie tak miażdżącej przewagi nad swymi rywalami. Oczywiście nie dotyczy to ubiegających się o drugą kadencję urzędujących prezydentów, którzy praktycznie nie mają konkurentów w swym obozie politycznym. W takich przypadkach prawybory mają wymiar formalny, choć zdarzają się niespodzianki. I tak Joe Biden przegrał prawybory na wyspach Samoa z tamtejszym przedsiębiorcą Jasonem Palmerem. Ten na innych terytoriach (Samoa to terytorium zależne USA) czy w Stanach się nie pojawi, ale dzięki zwycięstwu dobrze zareklamował swe biznesy.

UŚMIECHNIĘTA AMERYKA

Pierwsze komentarze po triumfie byłego prezydenta w superwtorek brzmiały tak: Partia Republikańska należy do Donalda Trumpa. Ja sformułuję to nieco inaczej: na amerykańskiej prawicy jest tylko jeden król. Nadzy są natomiast wszyscy eksperci, znawcy z telewizora i ludzie mediów, którzy nie dawali mu szans. Ich analizy i prognozy okazały się nic niewarte. Najczęściej sprowadzały się do powtarzania komu-

Fot. Jonah Elkowitz/Shutterstock.com

eprasa.pl 14f4aa6b19

nałów o demokracji, praworządności, społeczeństwie postępowym i tolerancyjnym. Żeby Ameryka była uśmiechnięta. Takie tam wymysły ludzi, którzy żyją w bańkach własnego środowiska, w świecie własnych urojeń. 95 proc. ludzi mediów popiera demokratów, więc o świecie wiedzą tyle, ile dowiedzą się od swych kolegów, którzy powtórzą im to, co od nich usłyszeli.

Dygresja na marginesie. Swoistym fenomenem są polscy korespondenci w Stanach Zjednoczonych, od których nigdy się nie dowiemy, dlaczego Trump został prezydentem i może nim być po raz drugi. Oni bezmyślnie chłoną i powtarzają tylko to, co podsuną im lewicowe CNN czy „New York Times". To tak, jakby wiedzę o Polsce czerpać tylko z TVN i „Wyborczej".

Wróćmy do świata amerykańskich prawidłowych, bo postępowych, elit, które chciały Trumpa złożyć do grobu i przebić setkami osinowych kołków, by się już z niego nie podniósł. Temu ma służyć m.in. ponad 60 wytoczonych mu spraw sądowych od prywatnych po skarbowe, kryminalne, urzędnicze i zbrodnie stanu, jak wzywanie do rebelii 6 stycznia 2021 r. Procesy mają nie tylko zniechęcić do niego wyborców, lecz także zastraszyć jego otoczenie i odebrać mu ochotę na udział w życiu politycznym. Polscy czytelnicy powinni porzucić złudzenia o bezstronności i uczciwości amerykańskich sądów. Enklawy przyzwoitości jeszcze są, ale system w znacznej mierze jest opanowany przez skorumpowaną, zaangażowaną politycznie kastę, która nie rozstrzyga w zgodzie z prawdą i prawem, ale na zamówienie polityczne czy ideologiczne. Zapewniam państwa, że mimo całej nędzy poczynań resortu Bodnara, który, trzeba przyznać, stara się, jak może na drodze postępu, trochę nam jeszcze brakuje do patologii panującej w przodujących krajach demokracji, jak choćby w Stanach Zjednoczonych.

GORĄCA BABCIA I FACET W RAJSTOPACH

W jednej z takich spraw Donald Trump został skazany na 83 mln dol. kary za zniesławienie nowojorskiej dziennikarki Jean Carroll, która twierdzi, że kiedyś ją zgwałcił. Starsza od Trumpa pani w 2019 r., gdy akurat wydała książkę „Do czego potrzebni są nam mężczyźni", przypomniała sobie, że 23 albo 25 lat wcześniej, sama nie pamięta dokładnie kiedy, miliarder zamknął się z nią w przebieralni nowojorskiego domu towarowego Bergdorf Goodman. No i tam doszło do napaści. Trump został uwolniony od zarzutów gwałtu, ale po serii procesów cywilnych ma zapłacić pani piękną sumkę za wielkie straty moralne, które poniosła po tym, jak powiedział, że to wariatka, a ponadto, że babcia nie jest w jego typie. Carroll oczywiście dostała wszelkie wsparcie demokratów, łącznie z tym, że ich hojny sponsor Reid Hoffman opłacał jej adwokatów.

Po kolejnej rozprawie były prezydent ma zapłacić 350 mln dol. kary za zawyżanie wartości swych firm, by oszukać pożyczkodawców. Arthur Engoron, który wydał wyrok nawet bez posiedzenia ławy przysięgłych, oznajmił, że nikt nie jest ponad prawem. Jak to nikt? 76-letni sędzia słynie nie tylko z oryginalnych wyroków, lecz także z tego, że trzy lata temu jego selfie przed lustrem z nagim torsem, a liczył wtedy 73 wiosny, znalazło się w biuletynie absolwentów szkoły średniej, w której jest kuratorem, z zachęcającą wzmianką, by przesyłano mu swoje dane i życiorysy. Ponadto znają go w nowojorskich siłowniach, bo łazi w nich za paniami, zaczepia je i prezentuje im swe wdzięki w obcisłych rajstopach czy getrach.

Po co wspominam o tych pornoobyczajowych historyjkach? By uświadomić, z czym i z kim musi się mierzyć najpoważniejszy kandydat na prezydenta USA. Takie aspekty życia politycznego Stanów Zjednoczonych są niemal równie ważne co programy. Tabuny prawników zabiegają o sprawy Trumpa, bo to wspaniały sposób na zdobycie sławy. Podrzędny sędzia czy prokurator trafia na okładki i do programów telewizyjnych. To jest już postpolityka, spektakl, program rozrywkowy, jak u nas, gdy Szymon Hołownia przewodzi obradom Sejmu. W sprawach Trumpa chodzi także o to, by zamiast prowadzić kampanię wyborczą, przesiadywał on na salach sądowych, a najlepiej w areszcie, gdyby udało się go wsadzić.

CHCIELI GO SKREŚLIĆ

A system jest bezlitosny i nie wybacza. Czasami są w nim jednak szczeliny, czy też ostoje dawnego ładu prawnego i obywatelskiego, który oprócz ducha wolności i przedsiębiorczości był tym, co zbudowało Amerykę. Sądy Najwyższe w trzech stanach orzekły, że w związku z toczącymi się sprawami i zarzutami nazwisko Donalda Trumpa nie może się pojawić na kartach wyborczych, co *de facto* miało go wyeliminować z prawyborów.

Dzień przed superwtorkiem Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł jednomyślnie, że Trump nie może być skreślony z kart wyborczych w Kolorado i tylko Kongres może uniemożliwić komuś start w wyborach. Ta decyzja przekłada się na pozostałe stany. Podjęli ją również sędziowie, którzy zostali wybrani do Sądu Najwyższego przez prezydentów z Partii Demokratycznej.

Partia Demokratyczna była kiedyś, teraz to coraz bardziej skrajne, lewicowe, czy wręcz lewackie ugrupowanie, więc nie dziwi, że jej politycy, ludzie związani z władzą i mediami, zaczęli wzywać do rozwiązania Sądu Najwyższego, który od teraz zagraża amerykańskiej demokracji. Skąd znamy takich komentatorów, profesorów, członków kast, działaczy organizacji od tego i owego, którzy mają podobne pomysły? Bodnar znakomicie odnalazłby się w takiej Ameryce. Pointa do sprawy Kolorado jest taka, że w stanie, w którym, jak przekonywano, Halley ma szansę na pokonanie Trumpa, ten dosłownie wytarł ją z list, zdobywając 66 proc. głosów.

Przed nim jeszcze prawybory w kolejnych stanach, które wobec braku rywali będą tylko festynem, rytuałem, a potem w lipcu konwencja republikanów, na której Trump otrzyma oficjalną nominację. Jeśli w nastrojach i tendencjach politycznych nic się nie zmieni, to pojedzie na nią jako faworyt w wyborach prezydenckich ze znaczną przewagą sondażową nad Bidenem. Być może uda mu się więc powtórzyć historię prezydenta Grovera Clevelanda, który po czterech latach przerwy wrócił do Białego Domu. Jego dwie kadencje przedzielił Benjamin Harrison, którego zwolennicy sfałszowali wyniki wyborów. I to nie jest teoria spiskowa, ale fakt.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Planeta grubasów

17-letnia Mariana Castrillon z Nowego Jorku całe życie walczyła z nadwagą. Kiedy cztery lata temu jej wskaźnik masy ciała (BMI) przekroczył 56 (zdrowy dorosły o prawidłowym stosunku wagi do wzrostu ma wskaźnik w granicach 18,5–24,9), a jej waga przekroczyła 150 kg, zwróciła się o pomoc do profesjonalistów. „Ze względu na ciągłe tycie wstydziłam się uczestniczyć w różnych aktywnościach. Moje koleżanki chodziły do parków rozrywki, a ja się bałam z nimi iść, bo nie mieściłam się w kolejkach górskich. Wstydziłam się swojego ciała" – przyznała Castrillon w rozmowie z lokalną stacją radiową WFUV Public Radio. Od tego czasu schudła prawie 40 kg i jak zaznaczyła, odzyskała nadzieję na „normalne życie".

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Po raz pierwszy w historii otyłość stała się większym problemem zdrowotnym niż głód na świecie. Cierpi na nią ponad 1 mld ludzi

PODWÓJNY CIĘŻAR

Okazuje się, że los Castrillon dzieli rosnąca liczba ludzi na świecie. I to nie tylko w krajach wysoko rozwiniętych szeroko pojętego Zachodu. Jak wynika z szacunków międzynarodowej grupy badaczy, opublikowanych w renomowanym piśmie medycznym „The Lancet", liczba ludzi „żyjąca z otyłością" na świecie przekroczyła już 1 mld – to ok. 880 mln dorosłych i 159 mln dzieci. Najwyższy wskaźnik otyłości występuje na Tondze i Samoa oraz wyspie Nauru, gdzie ok. 70–80 proc. dorosłych ma zbyt dużą masę ciała.

Nauru to zresztą dość ciekawy przykład: niegdyś biedna wyspa, w pierwszej połowie XX w. nagle stała się bardzo bogata dzięki wydobyciu fosforytu i w ciągu kilku lat jej mieszkańcy przeszli do bogatego lenistwa. Nie mając nic innego do roboty, jedli i pili, tyli, chorowali na cukrzycę i przedwcześnie umierali. Złoża fosforytu dawno się wyczerpały, ale styl życia utrzymujących się dziś z subsydiów australijskiego rządu mieszkańców się nie zmienił. Dalej nie mając nic do roboty, jedzą, tyją i przedwcześnie umierają. Tyle że teraz spożywają głównie tanią, wysoko przetworzoną żywność. Niestety ten styl życia staje się coraz bardziej powszechny.

Z badań opublikowanych w „The Lancet" wynika, że w latach 1990–2022 wskaźnik otyłości wśród dorosłych na świecie wzrósł ponaddwukrotnie, a wśród dzieci i młodzieży w wieku 5–19 lat ponadczterokrotnie. Jak wykazała analiza, w tym samym okresie odsetek dziewcząt, chłopców i dorosłych, u których stwierdzono niedowagę, spadł odpowiednio o jedną piątą, jedną trzecią i o połowę. Jak twierdzą autorzy badania, „otyłość po raz pierwszy stała się większym zagrożeniem dla globalnego zdrowia niż głód".

W Polsce według danych GUS co szósty Polak ma nadwagę lub jest otyły.

„Zdumiewająca liczba osób cierpi na nadwagę" – powiedział prof. Majid Ezzati, jeden z autorów badania w „The Lancet",

Fot. Amani A/Shutterstock.com

eprasa.pl 14f4aa6b19

wykładowca Imperial College w Londynie. Według niego choć w wielu bogatszych krajach wskaźniki otyłości utrzymują się na stałym poziomie, „w innych szybko rosną". „Niedowaga staje się coraz mniej powszechna na całym świecie, w wielu krajach pozostaje jednak poważnym problemem, przez co stoją one w obliczu tak zwanego podwójnego ciężaru – niedożywienia jednej części społeczeństwa i otyłości drugiej" – dodał prof. Ezzati.

Ma to być szczególnie odczuwalne w krajach o niskim i średnim dochodzie, m.in. na Karaibach, w Indiach, Bangladeszu i na Bliskim Wschodzie. Tam wskaźniki otyłości są obecnie wyższe niż w wielu państwach o wysokich dochodach, zwłaszcza w Europie. „Długo uważaliśmy, że otyłość jest problemem bogatych krajów. W praktyce otyłość jest problemem całego świata" – podkreślił także Francesco Branca, kierownik departamentu ds. żywienia w Światowej Organizacji Zdrowia (WHO).

ŁAŃCUCHY DOSTAW

Tyją bogaci, ale przede wszystkim biedni, a tempo zmian jest zatrważające. W Chinach w 2002 r. mniej niż jedna trzecia dorosłych miała nadwagę; teraz to 51 proc., z czego 16,4 proc. jest chorobliwie otyłych. W Katarze ponad 70 proc. osób ma nadwagę lub cierpi na otyłość, także prawie 46 proc. dzieci w wieku szkolnym. Jedna czwarta brytyjskiej populacji ma BMI powyżej 30.

Co powoduje, że ludzie tyją? Według prof. Ezzati „wszystko sprowadza się do dostępności zdrowej żywności w porównaniu z niezdrową". W ostatnich latach na całym świecie koszty życia gwałtownie wzrosły. Ceny energii poszybowały, a żywność jest coraz droższa. Wzrosty cen dają się zauważyć nawet w przypadku niedrogich artykułów spożywczych w supermarketach. Te gwałtownie rosnące koszty oznaczają, że ludziom trudniej jest zapewnić regularne, zdrowe posiłki. Wielu osobom może się wydawać, że bieda lub brak obfitych zapasów żywności może powodować otyłość. Jednak rzadkie posiłki niskiej jakości mogą prowadzić do wzrostu wagi.

Niektórzy badacze twierdzą, że wiele z naszych obecnych problemów można było przewidzieć, biorąc pod uwagę kształt i strukturę światowego systemu żywnościowego. Wśród nich jest prof. Timothy Lang z Centrum Polityki Żywnościowej na City University London. Jak podkreślił w rozmowie z amerykańską telewizją CNBC, najtańsze posiłki to prawie zawsze żywność wysoko przetworzona z fabryki. Rosnące nierówności sprawiają, że coraz więcej osób wybiera to rozwiązanie zamiast domowych zamienników, które zwykle są zdrowsze. Jedno z brytyjskich badań opublikowanych w czerwcu 2023 r., tzw. raport Broken Plate autorstwa The Food Foundation, wykazało, że zdrowa żywność jest zwykle dwa razy droższa, biorąc pod uwagę liczbę kalorii, które dostarcza, niż mniej zdrowa żywność. Ponadto kraje rozwinięte są w coraz większym stopniu zależne od importu, ponieważ coraz więcej konsumentów domaga się całorocznego dostępu do (także egzotycznych) owoców i warzyw. Doprowadziło to do dłuższego i bardziej złożonego globalnego łańcucha dostaw. Stany Zjednoczone są jednym z największych importerów świeżych owoców i warzyw na świecie, a także ich eksporterem. Jednak chociaż wielkość produkcji w USA utrzymuje się na stałym poziomie, import owoców w ciągu ostatnich 20 lat wzrósł o 129 proc. w przypadku owoców i o 155 proc. w przypadku warzyw. Jak wynika z brytyjskiego badania przeprowadzonego przez uniwersytet w Warwick, amerykańscy konsumenci płacą dziś o 40 proc. więcej za owoce i warzywa niż 10 lat temu. „Dane bardzo wyraźnie mówią, że istnieje stały, wysoki koszt świeżych owoców i warzyw, którego nie ma w przypadku innych produktów" – powiedział CNBC Thijs Van Rens, jeden z autorów badania. Według niego ilość warzyw kupowanych przez brytyjskie rodziny spadła do najniższego poziomu od 50 lat. Te dane nabierają szczególnego znaczenia, biorąc pod uwagę obecne protesty rolników w Europie. To, czego nie wyprodukujemy na miejscu, będziemy musieli importować i będzie to miało wpływ na zawartość naszego portfela. Albo będziemy musieli jeść to, co wytworzy przemysł spożywczy.

ZMIANA DIETY

Jak zaznaczył bowiem Van Rens, przetworzona żywność nie psuje się jak świeże produkty i dlatego staje się coraz tańsza. „Śmieciowe jedzenie jest tanie, ponieważ można je przechowywać wiecznie. Można je wytwarzać hurtowo, kupować w dużych ilościach i dostarczać niskim kosztem" – zaznaczył. „Istnieje bardzo ścisły związek między ceną żywności a jej właściwościami zdrowotnymi" – dodał.

W wielu krajach, jak choćby w USA, przetworzona żywność jest dużo tańsza od świeżej. A napoje słodzone i gazowane kosztują mniej od butelkowanej wody. Do tego dochodzi fast food, który zawojował świat. W Chinach istnieją obecnie ponad 2 mln restauracji szybkiej obsługi. KFC to największa marka, która posiada ponad 5 tys. placówek. W ciągu ostatnich 30 lat do KFC dołączyły Taco Bell, McDonald's i Pizza Hut. W skrócie: kraje rozwijające się coraz częściej przechodzą z diety bogatej w zboża i błonnik na zachodnią dietę bogatą w cukier, tłuszcz i produkty pochodzenia zwierzęcego.

Chiny liczą dziś ponad 100 mln osób chorych na cukrzycę, z tendencją rosnącą. Powstały wprawdzie nowe leki na tę chorobę, które także dają efekt utraty masy ciała, jak Wegovy czy Mounjaro, ale są drogie i dla większości ludzi niedostępne.

Światowa Organizacja Zdrowia chce zmusić producentów żywności do zmiany składu swoich produktów, by były zdrowsze, m.in. za pomocą podatków. Takie daniny już zresztą istnieją, m.in. w Australii, Kanadzie, Francji czy Tajlandii. Na ogół dotyczą słodzonych napojów gazowanych. W Meksyku taki podatek wprowadzony w 2014 r. zmniejszył konsumpcję słodkich napojów o 10 proc.

Mimo to liczba osób otyłych stale rośnie i krytycy uważają, że metody, które mają zmusić ludzi do zmiany diety oraz do poniesienia dodatkowych kosztów leczenia, są nieskuteczne, a pozyskane w ten sposób środki rzadko trafiają do służby zdrowia.

Światowa Federacja ds. Otyłości przewiduje, że bez interwencji w ciągu następnej dekady ok. 51 proc. światowej populacji będzie miało nadwagę lub będzie chorobliwie otyłe, co wygeneruje koszty w wysokości 4,3 bln dol.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Rewolucja, która wywołuje strach Europy

Chińska firma motoryzacyjna BYD, która wyrasta na światowego lidera segmentu aut elektrycznych, szykuje się do ekspansji na rynek europejski. Wywołuje to niepokój starych koncernów samochodowych, szczególnie niemieckich, które już teraz w sektorze elektromobilności przegrywają konkurencję z pozaeuropejskimi producentami

MAREK BUDZISZ

Tej fali nikt już nie powstrzyma. Mowa o samochodach elektrycznych, których w ub.r. na świecie sprzedano 6,7 mln sztuk. W Europie w ciągu roku liczba rejestrowanych pojazdów tego typu rosła w tempie dwucyfrowym. We Francji przyrost wyniósł 46 proc., w Hiszpanii 66 proc., nawet w Niemczech, przywiązanych do swych konstrukcji spalinowych, w ub.r. sprzedano o 11,4 proc. więcej samochodów z napędem elektrycznym. Z obliczeń Bloomberg NEF wynika, że na świecie w 2025 r. będą one obejmować 25 proc. sprzedaży nowych samochodów, w Europie i Azji może to być nawet już 40 proc.

NADJEŻDŻA KONKURENCJA

Ale w tym przypadku nie chodzi wyłącznie o popularność elektryków, lecz również o malejącą pozycję starych koncernów samochodowych, które przegrywają konkurencję. W związku z tym słabnie również pozycja gospodarek krajów takich jak Niemcy, których gospodarka została zbudowana m.in. na sile rodzimego sektora motoryzacyjnego. Koncerny w rodzaju Volkswagena czy Audi nie są w stanie nawiązać równorzędnej walki z nowymi graczami na rynku samochodowym.

Widać to wyraźnie w danych dotyczących sprzedaży. W ub.r. starzy producenci samochodów, choć bardzo się starali i wprowadzili na rynek przeszło 100 nowych modeli pojazdów elektrycznych, łącznie sprzedali mniej niż dwaj liderzy rynku – chiński BYD i Tesla, którzy znaleźli nabywców na 3,4 mln sztuk swoich samochodów. Co więcej, mamy do czynienia, zwłaszcza w przypadku chińskiego giganta, dopiero z rozpędzaniem się i początkiem ekspansji w Europie.

Stefan Hartung, szef niemieckiego Boscha, ostrzegł niedawno, że „Chinom udało się w ub.r. zwiększyć eksport samochodów elektrycznych o 60 proc." i co gorsza dla europejskich konkurentów „wprowadzili oni standaryzację rozwiązań w zakresie napędów elektrycznych, co skutkuje korzyściami skali, których nie możemy zignorować w Europie". Czyli innymi słowy – chińskie samochody są nie tylko tańsze, lecz także ich producenci mają wyższą marżę, co przekłada się na zdolność do globalnej ekspansji.

O dynamice chińskiego BYD, który wyrasta na światowego lidera segmentu samochodów elektrycznych, świadczą dane statystyczne. Jak informuje „Frankfurter Allgemeine Zeitung", jeszcze w pierwszym kwartale 2020 r. wyprodukował on raptem 17 tys. samochodów o napędzie elektrycznym. W ostatnim kwartale ub.r. było to już 526 tys., co dało koncernowi pierwsze miejsce na świecie. Tesla Elona Muska, która w 2022 r. sprzedała na globalnym rynku 1,4 mln pojazdów elektrycznych, potrzebowała 10 lat, aby startując w 2012 r. z pozycji 3,1 tys. sa-

eprasa.pl 14f4aa6b19

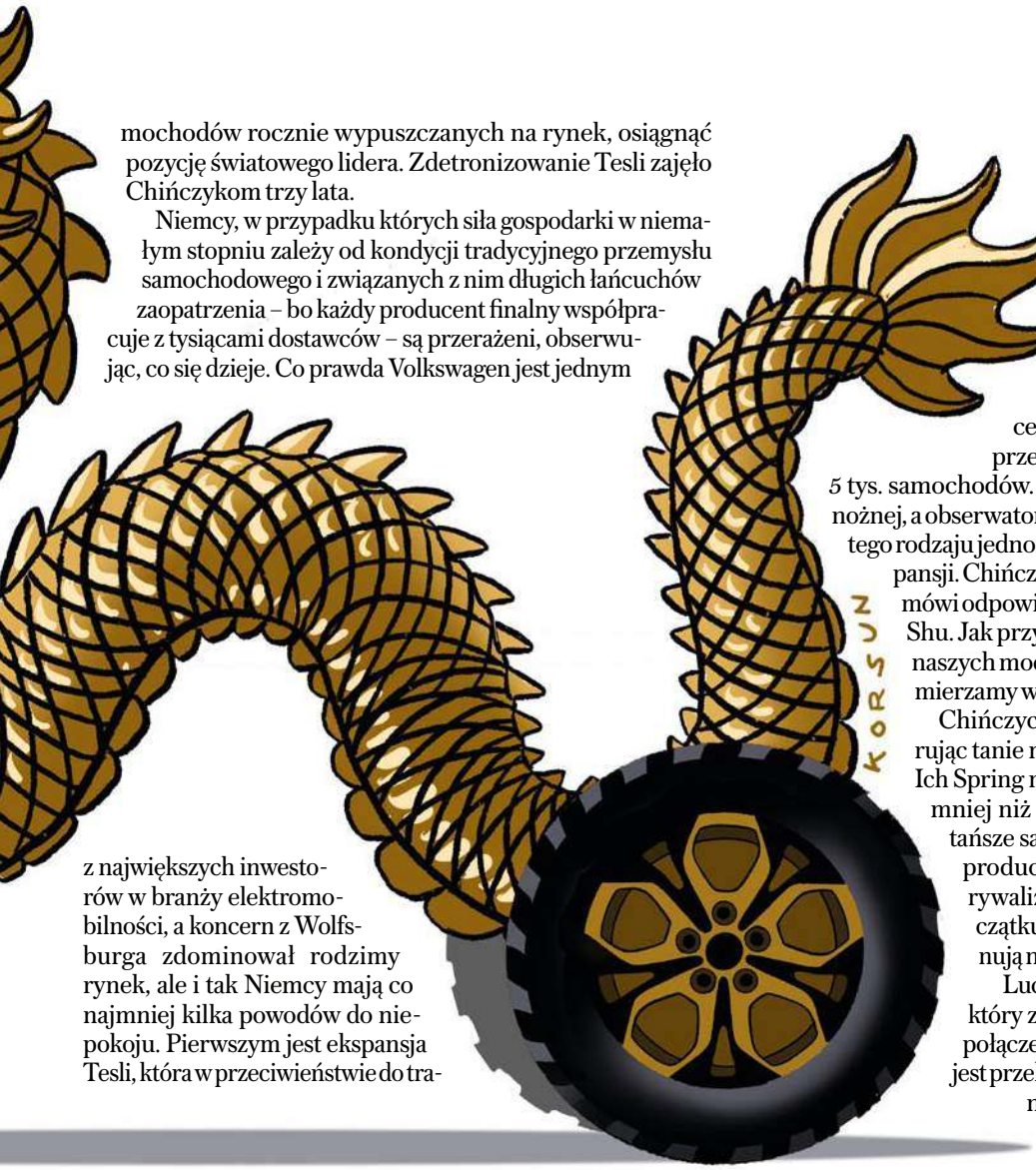

mochodów rocznie wypuszczanych na rynek, osiągnąć pozycję światowego lidera. Zdetronizowanie Tesli zajęło Chińczykom trzy lata.

Niemcy, w przypadku których siła gospodarki w niemałym stopniu zależy od kondycji tradycyjnego przemysłu samochodowego i związanych z nim długich łańcuchów zaopatrzenia – bo każdy producent finalny współpracuje z tysiącami dostawców – są przerażeni, obserwując, co się dzieje. Co prawda Volkswagen jest jednym z największych inwestorów w branży elektromobilności, a koncern z Wolfsburga zdominował rodzimy rynek, ale i tak Niemcy mają co najmniej kilka powodów do niepokoju. Pierwszym jest ekspansja Tesli, która w przeciwieństwie do tradycyjnych producentów zbudowała swój sukces na ograniczaniu liczby kooperujących z nią firm i dążeniu do koncentracji całego cyklu produkcyjnego pod jednym dachem. Samochody elektryczne są zresztą znacznie prostszymi i bardziej niezawodnymi konstrukcjami niż pojazdy spalinowe, co znacznie ułatwia i przyspiesza ten proces. Lecz w niemieckiej gospodarce, ponieważ popyt ze strony producentów samochodów spalinowych spada, oznacza to redukcję miejsc pracy w branży podwykonawców.

Jak donosi „Financial Times", ZF Friedrichshafen – producent systemów napędowych dla 55 marek samochodów spalinowych i drugi po Boschu niemiecki dostawca podzespołów – z powodu spadającego popytu może zwolnić 12 tys. swych pracowników ze 165 tys. zatrudnianych na całym świecie. Do 2026 r. Bosch ma zamiar zwolnić 1,2 tys. osób, a co gorsza redukcje dotkną przede wszystkim zakłady działające w Niemczech, bo 80 proc. zwalnianych to mają być pracujący w centrali firmy w Stuttgarcie. W podobnej sytuacji są tysiące niemieckich firm rodzinnych średniej wielkości, które rosły wraz z rozwojem tamtejszego przemysłu motoryzacyjnego. Ta epoka się kończy, a branża jest wyjątkowo źle przygotowana do nadciągającej rewolucji.

5 TYS. AUT NA JEDNYM POKŁADZIE

Drugim powodem do niepokoju jest zapowiedziana ekspansja chińskiego BYD na rynek europejski, przede wszystkim niemiecki. Dwa tygodnie temu do portu w Bremerhaven zawinął należący do koncernu BYD specjalny statek, mogący przewieźć w czasie jednego rejsu nawet 5 tys. samochodów. Ma on wielkość 2,5 boiska do piłki nożnej, a obserwatorzy rynku są zdania, że nie buduje się tego rodzaju jednostek, jeśli nie planuje się wielkiej ekspansji. Chińczycy mają takie plany, o czym otwarcie mówi odpowiadający za europejski rynek Michael Shu. Jak przyznaje, „popyt rośnie, wyszukiwania naszych modeli w Google wyprzedziły Teslę, zamierzamy wiele osiągnąć na rynku europejskim".

Chińczycy zamierzają zacząć ekspansję, oferując tanie modele samochodów elektrycznych. Ich Spring ma kosztować na europejskim rynku mniej niż 20 tys. euro. Spowoduje to, że najtańsze samochody elektryczne europejskich producentów mogą przegrać morderczą rywalizację cenową, tym bardziej że na początku swej ekspansji Chińczycy zaproponują najprawdopodobniej znaczące upusty.

Luca de Meo, szef francuskiego Renault, który zaoferował niedawno Volkswagenowi połączenie sił w obliczu chińskiej ekspansji, jest przekonany, że obecnie „nikt nie jest w stanie produkować małych samochodów z silnikiem spalinowym z zyskiem". W efekcie „odpadło Polo, odpadła Fiesta", a niedługo podobny los czeka innych producentów małych i tanich samochodów. Ratunkiem jest redukcja kosztów wytwarzania, Renault planuje ich obniżenie o 40 proc., co jest równoznaczne z cięciem zatrudnienia i skracaniem łańcuchów zaopatrzeniowych.

Pojawienie się w Europie Chińczyków z BYD otwiera drogę innym, wręcz nieznanym producentom. To trzeci powód niemieckiego niepokoju. Jednym z aspektów elektrycznej rewolucji w branży motoryzacyjnej jest bowiem fakt, że znacząco zmniejszyły się bariery wejścia nowych wytwórców na rynek. Wszystko jest nowe, więc siła marki i przyzwyczajenie konsumentów nie mają takiego znaczenia. Według ocen ekspertów „The Economist", aby zacząć produkować samochody z silnikiem spalinowym, trzeba było wydać co najmniej 2 mld dol., co dla wielu producentów stanowiło barierę nie do przejścia. Konstrukcja i produkcja silnika kosztowała 1 mld, kolejny należało wydać na lakiernię i linie montażu. Takie nakłady kapitałowe – a gdzie sieć sprzedaży i serwisu, nie mówiąc już o marketingu i reklamie? – powodowały, że światowy, a tym bardziej europejski rynek, w dużym stopniu regulowany przepisami w zakresie bezpieczeństwa i ochrony środowiska, był bezpieczną przystanią dla

eprasa.pl 14f4aa6b19

starych graczy. Teraz zmienia się to w rewolucyjny sposób. Stare, wielkie koncerny mają podwójny problem. Muszą utrzymywać coraz mniej rentowne linie produkcji samochodów z napędem spalinowym i jednocześnie inwestować w elektryki.

O tym, jak szybko można zbudować pozycję na tym nowym rynku, świadczy kariera wietnamskiego producenta samochodów elektrycznych, firmy VinFast, która dopiero zaczyna produkcję na szerszą skalę, ale jej debiut na amerykańskiej giełdzie w ub.r. stał się sensacją. Przedsiębiorstwo, które wypuściło na rynek 24 tys. samochodów, zostało wycenione na 95 mld dol., więcej niż starzy gracze w rodzaju Forda czy General Motors. Samochody elektryczne chce produkować wiele krajów światowego Południa. Kalifornijski Lucid ma zamiar wytwarzać 200 tys. pojazdów elektrycznych w Arabii Saudyjskiej, czemu sprzyja Rijad, zainteresowany odejściem od ekonomicznej monokultury związanej z wydobyciem i przetwarzaniem ropy naftowej. Na rynek samochodów elektrycznych chce ponoć wejść Apple czy chińskie giganty elektroniki użytkowej w rodzaju Huawei czy Xiaomi. Pragną one wykorzystać fakt, że samochód elektryczny – w dużym uproszczeniu – to bateria i elektronika.

Jeśli chodzi o akumulatory, to w tym segmencie rynku europejscy producenci przegapili nadciągającą rewolucję i to jest czwarte źródło ich obaw. Dziś zdominowały go Chiny, które kontrolują 60 proc. światowego rynku baterii samochodowych, Koreę Płd. i Japonię. Ma to o tyle istotne znaczenie, że bateria elektryczna jest warta ok. 20 proc. całego pojazdu, ale konsumuje 40 proc. ceny nowego samochodu, co oznacza, że podmioty dominujące na rynku akumulatorów nie tylko przechwytują lwią część marży, lecz także w przyszłości będą zawsze bardziej konkurencyjni.

ATUTY POLSKI

Europejscy i niemieccy wytwórcy przegrywają też konkurencję w zakresie innowacyjności. Jesienią ub.r. konstruktorzy Toyoty poinformowali o wynalezieniu nowego typu akumulatorów półprzewodnikowych, które mają wejść do masowej produkcji już w 2027, najpóźniej 2028 r. Jeśli potwierdzą się informacje, że mają one umożliwić przejechanie 1,2 tys. km, a ich ładowanie do pełnej mocy potrwa niecałe 10 minut, to będziemy mieć do czynienia z kolejną rewolucją. Europa znów jest spóźniona, a pozycja Kraju Kwitnącej Wiśni na naszym kontynencie, gdzie Japończycy zdecydują się zlokalizować swą inwestycję, skokowo wzrośnie.

Polska nie jest w tym przypadku bez szans, a rząd obecnej koalicji powinien zwielokrotnić wysiłki, aby ściągnąć ewentualną inwestycję Toyoty. Nie jesteśmy na straconej pozycji, bo już obecnie w skali Europy, jak wynika z raportu Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych, jesteśmy największym producentem akumulatorów. Utrzymamy tę pozycję w najbliższych latach, co ma związek ze znaczącymi inwestycjami koreańskiego koncernu LG. Ale nie wyłącznie, bo w Nysie na Opolszczyźnie działa też fabryka koncernu Umicore, która jest pierwszą w Europie. Dostarcza ona kilka mieszanek minerałów do produkcji różnych typów samochodowych baterii elektrycznych. Uważa się, że przyszłością branży będzie poleganie na różnych rozwiązaniach dla samochodów i magazynów energii o odmiennym przeznaczeniu. Funkcjonowanie tej fabryki w Polsce zwiększa prawdopodobieństwo nowych inwestycji w naszym sektorze akumulatorowym. Obecny rząd powinien dostrzec te atuty naszego kraju, a podobnym jest funkcjonowanie nowoczesnych firm kooperujących z sektorem produkcji samochodów spalinowych. Młoda kadra i nowoczesny park maszynowy dają szansę na szybkie przestawienie się na nowych odbiorców, co oznacza, że zagrożenie, z którym boryka się dziś wielu niemieckich poddostawców, nie musi być w Polsce tak bolesne. Oczywiście jeśli dostrzeżemy szansę, którą daje elektromobilność i rewolucja na europejskim rynku samochodów. Zamiast koncentrować się na tym, rządzący wykpiwają projekt Izery, który ich zdaniem jest przykładem polskiej „megalomanii" czy nieliczenia się z realiami rynku. Tyle że te realia ulegają dynamicznej zmianie, o czym świadczy historia sukcesu producentów z Chin czy Wietnamu. W ich przypadku rządy w Pekinie i Hanoi raczej starały się wspierać rodzimych producentów, którzy swą pozycję zaczynali budować w oparciu o rynek wewnętrzny. W Polsce na razie zwycięża optyka mikro, w świetle której nie mamy szans wygrać konkurencji z wielkimi, przede wszystkim niemieckimi, koncernami samochodowymi. Gdyby podobnie myślał Elon Musk, to nie byłoby historii sukcesu Tesli, nie mówiąc już o chińskim BYD.

> Rząd Tuska najwyraźniej nie ma zamiaru rozwijać naszego sektora samochodów elektrycznych, woli wyśmiewać projekt Izery, nie mając niczego do zaproponowania. Brakuje w tym myślenia strategicznego, odwagi oraz świadomości nadciągającej rewolucji

Wyśmiewany i znienawidzony przez obecną ekipę rządzącą w Warszawie Victor Orbán działa inaczej. Najpierw ściągnął na Węgry wielkiego chińskiego producenta baterii elektrycznych, koncern CATL, a w jego ślady idzie producent samochodów BYD, który jesienią ub.r. poinformował, że w Szegedzie zbuduje swą europejską fabrykę. W efekcie w przypadku Węgier, których gospodarka jest też silnie związana z europejskim sektorem samochodów spalinowych, nadciągająca transformacja w branży może nie będzie tak bolesna.

Rząd Tuska najwyraźniej nie ma zamiaru rozwijać naszego sektora samochodów elektrycznych, póki co cicho również o ściągnięciu inwestycji z państw azjatyckich. Propagandyści wolą wyśmiewać projekt Izery, nie mając niczego do zaproponowania. W tym przypadku brakuje myślenia strategicznego, odwagi oraz świadomości nadciągającej rewolucji. Jest za to przekonanie, że nie mamy szans w grze z europejskimi, głównie niemieckimi, koncernami. Znów zwycięża polska mikromania i przekonanie, że Niemcy są lepsi.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Samotna misja Kuklińskiego

„Gdy rozpoczynał swoją misję ratowania Polski, sowieckie imperium było w ofensywie. Gdy wydawało się, że zawładnie ono Europą i światem, pułkownik rozpoczął swoją samotną walkę i odniósł zwycięstwo. Gdyby sowieckie imperium ruszyło na Europę, Polska przestałaby istnieć. I to jest miarą zasług płk. Kuklińskiego – jesteśmy! Wciąż mamy niezałatwione rachunki krzywd, ale jesteśmy". To słowa Lecha Kaczyńskiego, które wypowiedział podczas pogrzebu płk. Ryszarda Kuklińskiego

LIDIA DUDKIEWICZ

Żyjemy w czasach, w których imperialna Rosja po raz kolejny obnażyła swoje zbrodnicze oblicze. W 2014 r. rozpoczęła zbrojną agresję w Ukrainie, a w 2022 r. rozpętała na jej terytorium okrutną, już pełnoskalową wojnę, która grozi militarną konfrontacją i załamaniem porządku światowego. Jak echo wracają dziś słowa premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla, który, przewidując polityczną ekspansję Sowietów, wkrótce po zakończeniu II wojny światowej, 5 marca 1946 r., w słynnym przemówieniu, wygłoszonym w amerykańskim Westminster College w Fulton, stwierdził, że Europę podzieliła żelazna kurtyna, i ostrzegł przed sowieckim komunistycznym imperializmem. Po raz pierwszy publicznie użyto tego określenia, które w okresie zimnej wojny stało się symbolem konfrontacji Zachodu ze Związkiem Sowieckim.

ZIMNA WOJNA

W czasie rywalizacji dwóch światowych potęg militarnych sowiecka Rosja w ramach tzw. Układu Warszawskiego przygotowywała operację zaczepną wobec państw NATO. Istniała groźba wybuchu III wojny światowej z użyciem broni atomowej, w wyniku której Polska miała stać się nuklearnym cmentarzyskiem.

Sowieckie mapy strategiczne ataku na państwa Zachodu znał płk Ryszard Kukliński, żołnierz Ludowego Wojska Polskiego, wysoki oficer Sztabu Generalnego, wyjątkowo zdolny planista sztabowy, który uczestniczył w ich sporządzaniu. Na jednej z map, z 25 lutego 1970 r., widniał podpis gen. Wojciecha Jaruzelskiego, ówczesnego ministra obrony narodowej, zatwierdzający Plan Operacji Zaczepnej Frontu Nadmorskiego.

Płk Kukliński tak przedstawił ten plan zagłady, przygotowywany przez sowieckie imperium: „Wiedza o tym, co ma się stać, gdy zacznie się wojna, była przerażająca. Latami przyklejałem na wielkich sztabowych mapach symbole grzyba wybuchu atomowego: niebieskie tam, gdzie uderzenia miały paść z Zachodu, czerwone tu, gdzie miały paść nasze. [...] Widziałem tę wojnę w całej brutalnej, katastroficznej dokładności. Widziałem Polskę zalewaną lawiną stali, która płynie na Zachód, wchodzi w przerwy po pierwszym rzucie strategicznym wojsk sowieckich i sięga po Atlantyk. Wszystkie moje najgorsze przypuszczenia znajdowały potwierdzenie. A do tego Europa krzyczała, że lepiej być czerwonym niż martwym".

SAMOTNY RYCERZ

Gdyby zapisane na papierze plany agresji ZSRS na państwa Europy Zachodniej

Fot. Anna Aybetova/Shutterstock.com

eprasa.pl 14f4aa6b19

Fot. Fatrla

i NATO zostały zrealizowane, światu groziłby atomowy Holokaust. Płk. Kukliński był przekonany, że musi coś zrobić, aby zatrzymać sowiecką machinę zagłady. Na początku lat 70. ub.w. skontaktował się z amerykańskim wywiadem. Zyskał zaufanie i został przyjęty do współpracy przez Centralną Agencję Wywiadowczą Stanów Zjednoczonych (CIA). Pod kryptonimem „Jack Strong" stał się najcenniejszym informatorem CIA oraz NATO.

Jack Strong, nazwany polskim Jamesem Bondem, przez prawie 10 lat działał jako agent amerykańskiego wywiadu. Przekazał ponad 40 tys. stron tajnych dokumentów. Wprawdzie był wyjątkowo zręcznym wywiadowcą, ale pod koniec pierwszej dekady jego kontaktów z centralą CIA groziła mu dekonspiracja (z powodu przecieku). W 1981 r. wraz z rodziną musiał się ewakuować na Zachód. Przed ucieczką zdążył przekazać do USA szczegółowe plany operacyjne dotyczące wprowadzenia w Polsce stanu wojennego przez ekipę gen. Jaruzelskiego, które dotarły także do Watykanu. Pułkownik został przerzucony za ocean i podjął współpracę z Pentagonem jako ekspert w Departamencie Obrony Stanów Zjednoczonych i w Departamencie Stanu.

UPADEK IMPERIUM ZŁA

Z informacji, które przekazywał Kukliński, skorzystał prezydent Ronald Reagan m.in. podczas szczytu w Reykjavíku w 1986 r. Zaskoczył wtedy Michaiła Gorbaczowa, gdy ujawnił, że widział sowieckie mapy z rakietami średniego zasięgu wycelowanymi w miasta Europy Zachodniej i jednocześnie stanowczo sprzeciwił się obecności rosyjskich głowic jądrowych w Europie i w Azji. Miało to decydujące znaczenie w negocjacjach między dwoma największymi potęgami militarnymi świata.

W następnym roku (12 czerwca 1987 r.) podczas słynnego przemówienia pod bramą Brandenburską, tuż przy murze berlińskim, symbolem żelaznej kurtyny, oddzielającej kraje kapitalistyczne od komunistycznych, prezydent USA wprost zwrócił się do przywódcy ZSRS: „Panie Gorbaczow, otwórz tę bramę! Panie Gorbaczow, zburz ten mur!". I w 1989 r. mur runął. Był to symboliczny koniec zimnej wojny.

Płk Kukliński w dużej mierze przyczynił się do zwycięstwa Zachodu w zimnej wojnie, czego skutkiem był upadek w 1991 r. Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich, czyli „imperium zła" – tak to agresywne, totalitarne państwo nazwał prezydent Ronald Reagan. Szef amerykańskiego wywiadu William Casey napisał w raporcie do prezydenta USA, że od zakończenia II wojny światowej nikt nie zaszkodził komunizmowi tak jak ten Polak – Ryszard Kukliński.

NA CELOWNIKU

Przez kilkanaście lat niezłomny Polak, który uratował świat przed wojną nuklearną, był ścigany przez władze PRL listem gończym. Po trwającym trzy lata zaocznym procesie komunistyczny Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał go na karę śmierci. Był to ostatni wyrok śmierci wydany w PRL w procesie politycznym.

Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych Kukliński żył w ukryciu, obawiając się zemsty SB i KGB. Przynajmniej dwukrotnie podejmowano próby porwania go i sprowadzenia do PRL. Istnieją poszlaki, że miejscem docelowym miała być Moskwa, aby tam postawić go przed plutonem egzekucyjnym. Zemsta dopadła jego dwóch synów, którzy zginęli w tajemniczych okolicznościach.

Formalnym pełnomocnikiem płk. Kuklińskiego w Polsce (w latach 1993–2004) był prof. Józef Szaniawski, historyk i wykładowca, dziennikarz Polskiej Agencji Prasowej, współpracownik Radia Wolna Europa. Losy tych dwóch samotnych bohaterów walki z sowieckim komunistycznym totalitaryzmem o niepodległą, suwerenną Polskę przecięły się w sali Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Prof. Szaniawski zanotował: „W tej właśnie sali, gdzie w latach wczesnego PRL skazywano żołnierzy AK, a później innych wrogów systemu totalitarnego (tzw. wrogów ludu). W tej sali w 1984 r. skazany został na karę śmierci płk. Ryszard Kukliński. Rok później dokładnie ci sami sędziowie pod przewodnictwem osławionego płk. Władysława Monarchy skazali mnie na dziesięć lat więzienia. Oba procesy były tajne, kapturowe, bowiem

eprasa.pl 14f4aa6b19

zanim zapadł wyrok, rozkazy dla sądu wydali generałowie Jaruzelski i Kiszczak". Dalej prof. Szaniawski wspominał: „Kiedyś, gdy siedziałem w więzieniu mokotowskim, klawisz tradycyjnie przyniósł rano do celi obowiązkową »Trybunę Ludu« (dla reedukacji). Znalazłem tam stenogram na całą stronę z konferencji prasowej ministra Urbana, zwanego powszechnie »Goebbelsem stanu wojennego«. Była tam również wzmianka na temat mojej osoby. Otóż Urban ogłosił na tej konferencji, że »po ucieczce na Zachód Zdzisława Najdera i Ryszarda Kuklińskiego mieszkanie pana Szaniawskiego okazało się ostatnią redutą CIA w Polsce, zlikwidowaną przez Służbę Bezpieczeństwa«. Wtedy dowiedziałem się o Kuklińskim po raz pierwszy".

PIERWSZY POLSKI OFICER W NATO

Szaniawski wyszedł z więzienia dopiero w grudniu 1989 r. Był ostatnim więźniem politycznym PRL, najdłużej odsiadującym wyrok. Odnalazł w Stanach Zjednoczonych wspomnianego przez Urbana w komunistycznej gazecie nieznanego sobie dotąd płk. Kuklińskiego i zaproponował, że podejmie starania o jego rehabilitację oraz umożliwienie mu powrotu do kraju. W działania te włączyły się środowiska niepodległościowe. Anulowania wyroku i przywrócenia Kuklińskiemu polskiego obywatelstwa publicznie domagał się poeta Zbigniew Herbert, który 5 grudnia 1994 r. skierował do prezydenta Lecha Wałęsy specjalny list z apelem o ułaskawienie polskiego bohatera. Władze III RP długo były nieugięte. Sytuację zmieniła dopiero wizyta w Polsce w lipcu 1997 r. prezydenta Billa Clintona, który podczas spotkania z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim zażądał uniewinnienia Kuklińskiego jako jednego z warunków przystąpienia Polski do NATO.

Wyrok ciążący na Kuklińskim został uchylony w 1997 r. przez Sąd Najwyższy, przywrócono mu wojskowe godności oraz stopień oficerski. W 1998 r. po raz pierwszy po swojej ucieczce mógł odwiedzić Polskę. Przemawiał m.in. w Sejmie RP do posłów i senatorów. 30 kwietnia 1998 r., gdy jeszcze przebywał w ojczyźnie, Senat Stanów Zjednoczonych podjął uchwałę ratyfikacyjną o przyjęciu Polski do NATO. Natomiast w 1999 r. w Waszyngtonie płk. Kukliński osobiście w ceremonii przystąpienia Polski do Paktu Północnoatlantyckiego. W uznaniu zasług został nazwany przez doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego USA Zbigniewa Brzezińskiego „pierwszym polskim oficerem w NATO". Warto przypomnieć te fakty w związku z przypadającą w tym roku 25. rocznicą przyjęcia Polski do NATO.

OSTATNI POLSKI ŻOŁNIERZ TUŁACZ

Płk Kukliński zamierzał powrócić na stałe do Polski. Zmarł jednak niespodziewanie 11 lutego 2004 r. jako ostatni polski niezłomny żołnierz tułacz. Urnę z jego prochami osobiście przywiózł ze Stanów Zjednoczonych prof. Szaniawski. Pierwszy polski oficer w NATO został pochowany 19 października 2004 r. w Alei Zasłużonych Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie.

W 2006 r. prof. Szaniawski zorganizował Izbę Pamięci Pułkownika Kuklińskiego, aby przez jego misję wywiadowczą ujawnić tajemnice zimnej wojny. Izba powstała w sercu Warszawy, przy ul. Kanonia, na tyłach warszawskiej archikatedry św. Jana Chrzciciela, zwanej przez prof. Szaniawskiego „katedrą Rzeczypospolitej". Kukliński wiele razy mijał to miejsce podczas swojej tajnej działalności wywiadowczej w drodze z warszawskiego Rynku Nowego Miasta, gdzie mieszkał, do dzwonnicy kościoła św. Anny na pl. Zamkowym, skąd nadawał raporty dla CIA.

11 listopada 2016 r. na wniosek ówczesnego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza prezydent Andrzej Duda pośmiertnie awansował Kuklińskiego na stopień generała brygady. Akt nominacji generalskiej odebrał w Belwederze Filip Frąckowiak, syn Józefa Szaniawskiego, zmarłego w 2012 r. w tragicznych okolicznościach podczas turystycznej wędrówki w Tatrach.

MUZEUM

Dzięki zbiorom Izby Pamięci Pułkownika Kuklińskiego powstało w Warszawie Muzeum Zimnej Wojny (MZW) im. Generała Kuklińskiego, którego dyrektorem jest Filip Frąckowiak, kontynuujący misję swojego ojca. Obecna siedziba MZW znajduje się przy ul. Jezuickiej 1/3, w pobliżu poprzedniej lokalizacji. Trzeba zauważyć, że za czasów PRL pod obecnym adresem MZW mieścił się komisariat Milicji Obywatelskiej, na którym w 1983 r. został zakatowany przez SB maturzysta Grzegorz Przemyk, syn działaczki opozycyjnej Barbary Sadowskiej, współpracującej z ks. Jerzym Popiełuszką. Na murze kamienicy widnieje dziś tablica przypominająca o tej komunistycznej zbrodni.

W MZW można poznać historię najważniejszego konfliktu militarnego i politycznego XX w., gdy świat był podzielony żelazną kurtyną. Są w nim zgromadzone zbiory tajnych kiedyś materiałów skonfliktowanych i rywalizujących ze sobą dwóch światowych potęg. Można zobaczyć m.in. mapy z planami uderzenia atomowego ZSRS na Europę Zachodnią oraz stół obrad Układu Warszawskiego, a także pamiątki po gen. Kuklińskim, m.in. jego raporty dla CIA oraz wyposażenie gabinetu. Muzeum upamiętnia również innych niezłomnych Polaków, którzy stali się ofiarami komunizmu. Dzięki multimediom można tam dotknąć żywej historii.

Muzeum pełni ważną rolę edukacyjną, uzupełniając luki w wiedzy historycznej, wynikające z panującej przez dziesięciolecia zasady poprawności politycznej. Wprawdzie w podręczniku „Historia i teraźniejszość" prof. Wojciecha Roszkowskiego wreszcie pojawił się fragment poświęcony tajnej misji dla Polski i świata podjętej przez płk. Kuklińskiego, trzeba jednak postawić pytanie, czy uda się przekazać tę wiedzę w polskiej szkole, skoro nowe władze RP wycofują HiT z zestawu podręczników, a zmiany podstawy programowej zmierzają do odarcia młodego pokolenia z wszystkiego, co stanowi o polskości przez pominięcie istotnych historycznych wydarzeń i sylwetek naszych bohaterów. Żołnierze niezłomni znowu mogą być wyklęci i zapomniani.

Przypomnę, że w 2024 r. obchodzimy nie tylko ćwierćwiecze przyjęcia Polski do NATO (12 marca 1999 r.), lecz także 40. rocznicę skazania Ryszarda Kuklińskiego na karę śmierci (23 maja 1984 r.) oraz 20. rocznicę jego śmierci (11 lutego 2004 r.). Pamiętajmy więc o gen. Ryszardzie Kuklińskim, którego miarą zasług jest to, że – jesteśmy!

Cytaty pochodzą z książki Józefa Szaniawskiego „Generał Kukliński. Polska samotna misja", Warszawa 2020

eprasa.pl 14f4aa6b19

Jestem spokojny o wynik kontroli

Portfolio PFN jest niesamowicie bogate, moglibyśmy obdzielić nim wiele innych organizacji. Największe prywatne wsparcie polskiej kinematografii, największy w Polsce program stypendiów sportowych, promowanie polskiej sztuki za granicą, wsparcie gałęzi polskiej gospodarki w USA czy Irlandii

Jacek Karnowski rozmawia z Marcinem Zarzeckim, prezesem Polskiej Fundacji Narodowej

Jak sobie radzi i jak działa w tych gorących czasach Polska Fundacja Narodowa?

Marcin Zarzecki: Otoczenie, zarówno prawne, jak i polityczne, jest rzeczywiście bardzo niestabilne. My jednak konsekwentnie realizujemy swoje cele statutowe jako podmiot działający zgodnie z ustawą o fundacjach, o statusie prawnym organizacji nieprowadzącej działalności gospodarczej. Zostaliśmy powołani na mocy ustawy o fundacjach, a to oznacza, że jesteśmy fundacją prywatną – bo innej nie można powołać bez odrębnej ustawy. Przez cały okres funkcjonowania nie otrzymywaliśmy żadnych publicznych dotacji ani subwencji, ale też nie ubiegaliśmy się o takie formy wsparcia. Jesteśmy organizacją trzeciego sektora „non profit", a więc taką, która nie szuka zysków, ekwiwalentów pieniężnych, generuje jedynie ekwiwalenty społeczne.

Ale Fundacja ma pieniądze. To nie są dotacje?

Nie, od aktu erekcyjnego są to wyłącznie darowizny. Fundacja nie wykorzystuje środków państwowych lub komunalnych, nie jest przedsiębiorcą, nie prowadzi działalności gospodarczej, nie jest organizacją pożytku publicznego, nie otrzymała od Skarbu Państwa ani jednostek samorządu terytorialnego wsparcia finansowego, dotacji, subwencji ani nie jest państwową osobą prawną. Dlatego też Najwyższa Izba Kontroli nie posiada kognicji kontrolnej względem PFN, co potwierdziły postanowienia Prokuratury Okręgowej z 9 czerwca 2021 r. oraz Sądu Rejonowego z 15 lutego 2022 r. w przedmiocie nieuwzględnienia zażalenia prezesa NIK na postanowienie Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Mówi pan, że PFN „realizuje swoje cele statutowe". Które obszary są dla was najważniejsze?

Te cele są oczywiste i zawarte w naszym statucie: promowanie polskiej historii, kultury i dziedzictwa narodowego oraz polskiej gospodarki poza granicami kraju. Nieustannie budujemy i podtrzymujemy relacje z naszymi przyjaciółmi i odpowiednikami, od Stanów Zjednoczonych przez Wielką Brytanię, Włochy, Hiszpanię, Francję, Litwę, Łotwę, Finlandię, Norwegię czy Estonię. Ta sieć podmiotów jest naszym kapitałem, bez którego nie zrealizowalibyśmy większości międzynarodowych przedsięwzięć.

Ma pan poczucie, że PFN pod pana kierownictwem odniosła sukces?

Tak, uważam, że te pięć lat wytężonej pracy zarządu i zespołu okazało się bezprecedensowym sukcesem. Portfolio PFN jest niesamowicie bogate, moglibyśmy obdzielić nim wiele innych fundacji, organizacji, stowarzyszeń, think tanków czy instytucji. Największe prywatne wsparcie polskiej kinematografii, największy w Polsce program stypendiów sportowych – PFNTeam100, erygowanie nowych instytucji w USA, na Litwie czy w Gruzji, największy w Europie Środkowej i Wschodniej program edukacyjny dla sił NATO – Zwiastun/Forerunner, program Polskie Dziedzictwo Wschód, realizowana globalnie działalność społeczna, koncerty międzynarodowe w światowych salach koncertowych, promowanie polskiej sztuki za granicą, historycznie najbardziej zasięgowe kampanie medialne realizowane poza krajem, wsparcie gałęzi polskiej gospodarki w USA czy Irlandii. Mógłbym wymieniać setki projektów, które fundacja uruchomiła za granicą z inicjatywy własnej lub naszych instytucjonalnych partnerów. W okresie pandemii COVID-19 PFN wspierała 22 szpitale, DPS oraz laboratoria COVID-19. W czasie wojny na Ukrainie wspieraliśmy uchodźców, wysyłaliśmy i wysyłamy konwoje z lekarstwami, ze środkami łączności i najbardziej potrzebnym sprzętem. Intensywnie zwalczamy także rosyjską dezinformację poza granicami Polski. Ponad

eprasa.pl 14f4aa6b19

Fot. Andrzej Wiktor

90 proc. naszych działań to projekty, które uruchomiono za granicą. Zadajmy sobie pytanie, jak wiele koniecznych przedsięwzięć dla Polski można było skutecznie, efektywnie zrealizować, gdyby Fundacja została powołana dekady wcześniej.

Czy teraz, po zmianie władzy, ten wielki dorobek jest zagrożony?

Jeszcze przed zmianą rządu, w grudniu, spotkaliśmy się z przedstawicielami Victims of Communism Memorial Foundation, fundacji amerykańskiego Kongresu, powołanej w 1993 r. przez Williama J. Clintona. Szef tej organizacji, były ambasador USA przy ONZ w Genewie, Andrew Bremberg, wręczył nam jako pierwszym Polakom statuetki The Flame of Liberty – Płomienia Wolności. To wyjątkowe amerykańskie wyróżnienie przyznawane osobom oraz organizacjom, które walcząc o dziejową sprawiedliwość, miały znaczący wkład na polu szerzenia prawdy o zbrodniach komunizmu. Nasi rozmówcy bezsprzecznie byli bardzo zaniepokojeni rozwojem sytuacji w Polsce.

PFN natychmiast po jej utworzeniu znalazła się w centrum potężnej burzy. Panu jednak udało się ustabilizować sytuację. Nowa większość sejmowa nie ukrywa jednak swojej niechęci. Z pewnością spadną na was kontrole i audyty. Jest pan spokojny o ich wynik?

Jestem absolutnie spokojny o wynik jakiejkolwiek kontroli przy założeniu merytorycznej analizy dokumentów niepowodowanej pragnieniem rewanżyzmu politycznego. Sądzę, że niewiele jest w Polsce fundacji, które mają tak rozwinięty system wewnętrznej i zewnętrznej kontroli oraz audytu projektów jak PFN. Nasz ekosystem kontroli jest wielopłaszczyznowy i procesowy. Każdy projekt przechodzi przez elektroniczny system wnioskowy, analizę formalną, scoringową analizę merytoryczną, jest oceniany i odrzucany lub rekomendowany, objęty stałym nadzorem prawnym i księgowym. Co roku z własnej inicjatywy zarządu politykę rachunkową fundacji szczegółowo analizuje biegły rewident, i to z jednej z najlepszych firm, *de facto* z górnego kwartyla rankingu firm audytorskich.

> Przez cały okres funkcjonowania nie otrzymywaliśmy żadnych publicznych dotacji ani subwencji, ale też nie ubiegaliśmy się o takie formy wsparcia. Jesteśmy organizacją trzeciego sektora „non profit"

To są często projekty nowatorskie, pionierskie. Jak ktoś chce, to zawsze się przyczepi.

Z tego powodu, np. w przypadku audytu projektu jachtu Ocean Race Volvo „I Love Poland", zatrudniliśmy audytorów zewnętrznych wyspecjalizowanych w ocenie przedsięwzięć jachtowych, regatowych. Wynik audytu jest wzorowy dla operatora. Z kolei w sferze produkcji filmowej współpracujemy z instytucjami wspierającymi produkcje filmowe i korzystamy z raportów audytowych. Sądzę więc, że możemy zaskoczyć liczbą dokumentów, analiz prawnych, ekspertyz, raportów i ocen. Mamy bardzo rozbudowaną organizacyjną kulturę kontroli. Pragnę kierować fundacją samouczącą się w wyniku działań kontrolnych i ewaluacyjnych.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Z czego wynika ta ostrożność? Z faktu, że to są publiczne pieniądze?

W sensie prawnym i fiskalnym to absolutnie nie są publiczne pieniądze. W sensie prawnym substrat majątkowy służący powstaniu PFN przybrał formę darowizny, a Fundacja posiada odrębność podmiotową i własny majątek, którego ekonomiczne pochodzenie jest irrelewantne z punktu widzenia podstaw do wszczęcia kontroli zewnętrznej. Podkreślam – nigdy nie otrzymaliśmy publicznej, w tym samorządowej dotacji lub subwencji. Zachowujemy ostrożność, bo mamy wiele projektów eksperymentalnych, nowatorskich, odważnych. Nasza Fundacja jest również swego rodzaju eksperymentem na gruncie polskim. W większości krajów takie instytucje istnieją już od bardzo dawna. W Polsce była swoista i niezrozumiała fundacyjna nisza systemowa, pierwszy taki podmiot powołano niemal 30 lat po transformacji. Szkoda, bo w ten sposób nasza siła oddziaływania w sferze kształtowania wizerunku Polski poza granicami kraju była wyraźnie mniejsza, niż powinna być.

Gdy fundatorzy powoływali PFN, głównym celem było wzmocnienie kina historycznego. Czy te plany, a mówiono o „filmach hollywoodzkich", udało się zrealizować?

Udało nam się przygotować i zrealizować bardzo wiele produkcji filmowych, fabularnych i dokumentalnych, które powinny powstać o wiele wcześniej. Sadzę, że mamy świadomość, iż funkcjonujemy w kulturze audiowizualnej. Wszyscy wiemy, jakie zasięgi może mieć film. To za pomocą popkultury można zmienić negatywne opinie i postawy albo wyeliminować stereotypy. Dlatego zależało nam na wejściu z produkcjami filmowymi na rynek anglosaski. Stąd takie filmy jak „Hidden Poland" czy „Poland: The Royal Tour" w reżyserii Petera Greenberga, promowane także wśród członków Akademii Filmowej w Los Angeles, prezentowane w Chicago i w Nowym Jorku. Stąd obecność tych filmów na platformie Amazon Prime, w samolotach LOT na dalekich trasach, w sieci PBS, obejmującej całe Stany Zjednoczone. To w sumie daje zasięgi liczone w dziesiątkach milionów odbiorców.

Również Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie, które by nie powstało bez aktywności PFN. Czy to przedsięwzięcie zdało egzamin?

W Waszyngtonie, dwie przecznice od Białego Domu, w centrum administracji światowego mocarstwa, rządy Litwy, Łotwy, Estonii, Węgier, Rumunii oraz Polska Fundacja Narodowa jako reprezentant Polski doprowadziły, wraz z fundacją amerykańskiego Kongresu, do powołania instytucji, której głównym celem jest przekazywanie wiedzy o totalitaryzmie komunistycznym. I to naprawdę działa. Pokazywane są trzy logiczne etapy tego dramatu: rewolucja, opresja i opór. Ale odwiedzający dowiedzą się też o Bitwie Warszawskiej, rtm. Witoldzie Pileckim, formowaniu się polskiego ruchu antykomunistycznego, Solidarności, polskich doświadczeniach życia i walki z komunizmem.

> Wraz z Fundacją „Kulturalna Polska" oraz Akademią Dyplomatyczną MSZ uruchomiliśmy Klub Dyplomaty. To wieloletni projekt skierowany do dyplomatów rezydujących w Polsce. Pragniemy, aby poznawali polskie smaki, polskie zapachy, polską muzykę tradycyjną, polskie instrumenty, polskie stroje narodowe

To taki nasz „kawałek podłogi" w stolicy imperium?

Tak. To jest multimedialne muzeum narracyjne ze świetną wystawą stałą i ekspozycjami czasowymi poświęconymi takim postaciom jak Jan Paweł II czy Václav Havel. Jest to miejsce, w którym politycy z naszego regionu mogą się spotkać z dziennikarzami, lobbystami, amerykańskimi politykami. Jest tam także sala kinowa, w której prezentowano filmy, takie jak „Wiktoria 1920" w technologii VR w wersji anglojęzycznej czy „Raport Pileckiego". Muzeum to stały punkt na mapie wizyt międzynarodowych delegacji. Takich instytucji wciąż jest za mało. Niemcy, Brytyjczycy czy Francuzi zaczęli powoływać takie centra dawno temu, nie żałując zainwestowanych środków.

PFN powstała w odpowiedzi na poczucie, że Polska nie ma odpowiednich narzędzi w tej arcyważnej grze. Ale w siedzibie Fundacji dominują plakaty związane ze sportem. Dlaczego?

Sportowcy są naturalnymi ambasadorami Polski poza granicami kraju. Wszyscy, niezależnie od różnic światopoglądowych i politycznych, gdy widzimy sportowców stających na podium, słyszymy Mazurka Dąbrowskiego, odczuwamy dumę i poczucie przynależności do wspólnoty narodowej. Dlatego PFN już w 2018 r. sfinansowała największy w historii Polski system stypendialny, skierowany do olimpijczyków i paraolimpijczyków. Obejmuje on 47 dyscyplin olimpijskich i paraolimpijskich z wyłączeniem dyscyplin zespołowych. W sumie skorzystało z niego już ponad 500 młodych sportowców, którzy w sumie zdobyli dla Polski ponad 600 medali na mistrzostwach Europy i świata. Wśród 14 złotych medali, które Polacy wywalczyli w Tokio, 9 wywalczyli beneficjenci PFN. To wspaniały wskaźnik naszej skuteczności, ale bardziej dowód, że sukces wymaga dyscypliny i konkretnego wsparcia.

PFN zastępuje ministerstwo sportu?

Nie zastępujemy ministerstwa sportu. Po prostu stworzyliśmy bardzo otwartą formułę wsparcia w systemie poza związkami sportowymi przeznaczoną dla sportowców, którzy są mistrzami w swoich dyscyplinach. Ktoś potrzebuje wsparcia w dokończeniu

eprasa.pl 14f4aa6b19

nauki, ktoś inny szuka pieniędzy na nowy łuk kompozytowy lub dostęp do infrastruktury sportowej, a ktoś potrzebuje dietetyka, suplementacji czy psychologa sportowego. W zamian za środki sportowcy zobowiązywali się nie tylko do zdobywania medali, lecz także przestrzegania Kodeksu Etycznego, czyli do pełnienia roli ambasadorów Polski, promowania naszego kraju, udziału w wydarzeniach o charakterze promocyjnym. I czynili to.

Z których sportowców jest pan najbardziej dumny?

Ze wszystkich naszych beneficjentów. Mówimy przecież o ponad 600 medalach zdobytych dla Polski. Obecnie, po poszerzonej formule PFNteam100, wielkie sukcesy odnosi Miko Marczyk, wybitny kierowca rajdowy kategorii WRC2, trzeci w klasyfikacji generalnej mistrzostw świata w kategorii WRC2, jeżdżący z Szymonem Gospodarczykiem. Wreszcie Wiktor Przyjemski, mistrz Europy juniorów w żużlu, wschodząca gwiazda tej dyscypliny. Mamy także słynny jacht „I Love Poland", projekt unikalny i niezmiernie istotny dla rozwoju żeglarstwa regatowego.

On też odnosi sukcesy sportowe?

Oczywiście. Zdobywa nagrody w najbardziej liczących się regatach na świecie – 22 zawody regatowe i 18 razy na podium. Pierwsze miejsce w Baltic Sea Race, pierwsze miejsce w Rolex Middle Sea Race czy największe zwycięstwo w historii polskiego żeglarstwa regatowego, czyli zwycięstwo w Trans-Atlantic Sea Race i wiele innych. W samym 2023 r. kpt. Grzegorz Baranowski i jego załoga ośmiokrotnie wstępowali na podium, byli też wielokrotnie nagradzani przez międzynarodowe środowisko żeglarskie – Rejs Roku 2020, IMA Maxi Challenge. Proszę także pamiętać, że „I Love Poland" jest projektem szkoleniowym. Przez cztery edycje tego programu przeszło ponad 1 tys. młodych polskich żeglarzy oceanicznych, dla których była to jedyna możliwość zdobycia takich doświadczeń i kwalifikacji.

W Polsce to przedsięwzięcie długo nie miało jednak dobrej prasy. Dlaczego?

Trudno mi to zrozumieć. W prasie światowej były zachwyty, fenomenalne artykuły o naszych zwycięstwach o żeglarzach i żeglarkach, np. w amerykańskim „Vogue" gratulacje, że taki projekt jest realizowany, a u nas dominował hejt. Na szczęście to projekt skupiony na zagranicy, który osiągnął wszystkie cele promocyjne i więcej. Wraz z Polskim Związkiem Żeglarskim udało się nam zmienić nastawienie wynikające z niewiedzy. Proszę poczytać o globalnych sukcesach jachtu na stronie program-ilp.pl. Będą państwo po prostu dumni. W historii polskiego żeglarstwa regatowego nie było takich osiągnięć przed projektem ILP.

> Mamy także słynny jacht „I Love Poland", projekt unikalny i niezmiernie istotny dla rozwoju żeglarstwa regatowego. Zdobywa on nagrody w najbardziej liczących się regatach na świecie – 22 zawody regatowe i 18 razy na podium

Gdy patrzymy na potęgę soft power, czyli miękkiej siły, państw zachodnich, widzimy, że jest ona oparta o dziesiątki, setki różnego rodzaju konkursów, programów, projektów. My weszliśmy na tę ścieżkę bardzo późno.

Dlatego interesują nas nie działania punktowe, ale zinstytucjonalizowane. Staramy się realizować projekty trwałe, zinstytucjonalizowane, a nie głośne, ale *de facto* mało skuteczne. Łatwo jest rozbłysnąć jak gwiazda na sierpniowym niebie i potem zniknąć. Podążamy inną drogą. Rozwinęliśmy sieć kontaktów instytucjonalnych w kilkudziesięciu krajach. Erygujemy centra zagraniczne. Jest Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa w Wilnie, który powołaliśmy wspólnie z partnerami z Litwy. Mogę wymieniać dalej: Muzeum Chrztu Litwy w Wilnie i jedyna europejska stacja badawcza na Kaukazie – w Kutaisi, prowadząca badania historyczne. Finansujemy tłumaczenia znaczących dla publicystyki naukowej książek na obce języki.

PFN koordynowała także prace związane z raportem o stratach wojennych, które Polska poniosła w wyniku niemieckiej napaści i okupacji.

Tak, ten raport organizacyjnie był koordynowany przez PFN. Oczywiście pracowało nad nim wielu historyków, ekonometryków, statystyków, rzeczoznawców i prawników. Podejmujemy też działania w sferze dyplomacji publicznej. Współpracujemy z ambasadami, od Malty po Islandię. Wraz z Fundacją Kulturalna Polska oraz Akademią Dyplomatyczną MSZ uruchomiliśmy Klub Dyplomaty. To wieloletni projekt skierowany do dyplomatów rezydujących w Polsce. Pragniemy, aby poznawali polskie smaki, polskie zapachy, polską muzykę tradycyjną, polskie instrumenty, polskie stroje narodowe.

I to działa?

Działa! Chcemy zarazić dyplomatów polską kulturą i historią. Polska nie powinna być dla nich jedynie kolejną placówką w ich biografii, ale czymś więcej, chodzi o rodzaj trwałego związku. Ten sam cel mamy wobec żołnierzy NATO, którzy stacjonują w naszym kraju. Dla nich przygotowaliśmy program „Zwiastun". Oni też rotują i też powinni wynieść z Polski coś więcej niż tylko wspomnienie o kolejnych koszarach. Przyjeżdżają tu z elementarną wiedzą, a wyjeżdżają już z przekonaniem, że Polska to pozytywnie intrygujący kraj. I wiemy, że wracają potem prywatnie z rodzinami do naszego kraju jako celu turystycznego. Dla nas to najlepsza recenzja naszych zwiastunowych działań.

Rozszerzony tekst rozmowy znajdą państwo na portalu wPolityce.pl

eprasa.pl 14f4aa6b19

Unia programuje zniszczenie gospodarstw rodzinnych

BERNARD MARGUERITTE

Dla tych, którzy mają materialistyczną wizję świata pozbawioną szacunku dla tradycyjnych wartości, rolnictwo rodzinne jest do wyeliminowania tak samo jak rodzina, wartości chrześcijańskie i patriotyzm. Jak mówiła francuska polityk Marion Maréchal: „Dla Brukseli rolnicy to przeszłość, a migranci to przyszłość"

Przeżywaliśmy w ostatnich tygodniach bunt rolników w 10 krajach Unii Europejskiej, w tym w Polsce. Gwałtowny protest z udziałem kilkuset traktorów odbył się też w Brukseli. Ale największe demonstracje miały dotąd miejsce we Francji, gdzie dojazd do Paryża były przez kilka dni zablokowany.

Sytuacja Francji wydaje mi się znamienna i pokazuje również Polakom, a w szczególności rolnikom naszego kraju, co im grozi i co ich czeka, jeśli nie będziemy także w tej dziedzinie z całych sił zwalczać liberalnej polityki rolnej forsowanej przez bonzów z Brukseli i ich uniżonego sługę Donalda Tuska. Ta analiza pokaże bowiem, że katastrofalny stan francuskiego rolnictwa jest wynikiem nie tylko absurdalnej polityki, lecz także konsekwentnej, ideologicznej woli liderów Unii doprowadzenia do śmierci rolnictwa rodzinnego – widzianego jako twierdza tradycji, patriotyzmu i konserwatyzmu – na rzecz przemysłowego rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Francja nadal ma największą produkcję rolną w UE (17 proc. ogółu) i dostaje największe dotacje ze Wspólnej Polityki Rolnej w wysokości 9 mld euro rocznie z całkowitego budżetu WPR, wynoszącego rocznie 58 mld euro. Do niedawna była ona pierwszym eksporterem produktów rolnych, a teraz import tych produktów zrównał się prawie z poziomem eksportu. Francja importuje już 60 proc. konsumpcji owoców, 50 proc. kurcząt i 40 proc. warzyw.

Fot. Shutterstock

DRAMATYCZNE ŻYCIE FRANCUSKIEGO ROLNIKA

Jest to wynik upadku rolnictwa rodzinnego. Według oficjalnych danych co tydzień zamyka się między 200 a 250 gospodarstw rolnych. W kraju funkcjonuje już tylko 500 tys. farm, czyli połowa tego, co 15 lat temu. Statystyki mówią, że tragicznie rośnie liczba samobójstw wśród rolników. W rzeczy samej – życie francuskich farmerów stało się nie do wytrzymania. Pracują 70 godzin i więcej tygodniowo, łącznie z niedzielami, nie biorą urlopu, jedna trzecia z nich żyje w ubóstwie, a większość zarabia mniej niż minimum socjalne, czyli kilkaset euro miesięcznie.

Francuscy gospodarze muszą się borykać z absurdalną ilością norm do respektowania. Jest to ponad 200 przepisów unijnych plus ok. 150 dodatkowych norm nałożonych przez państwo francuskie, które widocznie stara się być bardziej papieskie niż papież, czyli jeszcze bardziej neoliberalne niż Unia. Aby wyegzekwować ich realizację, kilka razy w tygodniu do gospodarstw wysyła się inspektorów z różnych dziedzin. Rolnicy muszą też na własny koszt wzywać weterynarzy, aby udowodnić, że ich zwierzęta są hodowane w zgodzie z określonymi wymogami. Na domiar złego w tej dziwnej sytuacji, gdzie władcy UE pretendują do bycia neoliberalnymi, ale traktują rolników jako niewolników, wysyła się drony, aby śledzić, co się dzieje na tych farmach. Kto by wytrzymał w tych warunkach?

Część tych norm wynika z Europejskiego Zielonego Ładu (EZL). W większości mają one cele ekologiczne, w teorii może nawet i słuszne, ale, jak to zwykle bywa w Unii, są one forsowane w trybie niemożliwym do zrealizowania, a zwłaszcza implementowane bez uwzględnienia całokształtu sytuacji, przede wszystkim ludzkiego wymiaru zagadnienia. Program EZL przewiduje, iż do 2030 r. w rolnictwie ma być zredukowane używanie pestycydów o 50 proc. i nawozów o 30 proc. Do 25 proc. farm ma być gospodarstwami bio. Każdy wie, że to wszystko jest absolutnie nie do zrealizowania. Tym bardziej że brakuje systemowej pomocy, aby większość indywidualnych rolników mogło mocno wejść w produkcję ekologiczną. Część z nich nawet ochoczo przekształciło swoje gospodarstwa na ekologiczne. Ale w tej chwili ten trend kończy się we Francji fiaskiem, a rolnicy wracają do tradycyjnej produkcji, bo bez wsparcia finansowego nie wytrzymują rynkowej konkurencji. Jak widać, oderwani od życia biurokraci brukselscy forsowali program, nie dbając o ludzki aspekt zagadnienia i nie zapewniając ekonomicznych możliwości jego realizacji.

Ktoś mógłby powiedzieć, że UE jednak zadbała o los rolników, tworząc WPR z ogromnymi dotacjami dla nich. Niestety, są one dzielone mocno niesprawiedliwie. 20 proc. rolników (tych bogatych, wielkoobszarowych) w Unii posiada 83 proc. ziem i dostaje 81 proc. dotacji z całkowitego budżetu WPR. Czyli dla tych 80 proc. biedniejszych, pracujących w gospodarstwach rodzinnych, zostaje 19 proc. dotacji. Co prawda akurat we Francji sprawa przedstawia się nieco inaczej, gdyż bogaci rolnicy dostają tylko 35 proc. dotacji. Sytuacja jest jednak jeszcze gorsza, bo większość tych środków w ogóle nie trafia do rolników, lecz do przemysłu rolno-spożywczego.

Rolnicy nazywają tych głównych beneficjentów środków unijnych i krajowych grupą BASTA – firm Bigard (mięso), Avril (oleje), Saveol (pomidory), Tereos (cukier) i Agrial (mleko). Ten sektor rolno-spożywczy jest największą branżą przemysłową we Francji, jego obroty wynoszą 200 mld euro, a zyski 10 mld euro rocznie. Jednak ta branża dostaje nie tylko dotacje z WPR (które powinny trafiać do rolników indywidualnych), lecz także środki krajowe, np. od władz regionalnych. W dodatku przez ostatnie dwa lata grupa BASTA pomnożyła swoje zyski, m.in. w związku z wojną na Ukrainie. Tani import z tego kraju do Francji wzrósł bowiem dynamicznie, np. kurcząt o 172 proc., a buraków cukrowych o 400 proc. Oczywiście skutki były tragiczne dla rolników francuskich, podobnie jak i dla polskich.

Dominacja grupy BASTA jest tym większa, że stara się ona maksymalnie eksploatować rolników indywidualnych. Wymusza od nich śmiesznie niskie ceny skupu, zaś od sieci supermarketów żąda coraz wyższych kwot za zakup produktów rolno-spożywczych (w ub. tygodniu, w środku kryzysu, domagali się kolejnej zwyżki o 5 proc.). W takiej sytuacji za 1 l francuski gospodarz dostaje 0,4 euro (czyli poniżej kosztu produkcji, wynoszącego 0,5 euro), zaś w supermarkecie kosztuje on 1,20–1,50 euro. Tak jest również z innymi produktami rolniczymi. W drodze od rolnika do konsumenta cena produktu rolnego rośnie trzykrotnie.

eprasa.pl 14f4aa6b19

TOTALITARYZM WEWNĄTRZ, A LIBERALIZM NA ZEWNĄTRZ

Ale na tym nie koniec. Jeżeli Unia zachowuje się wobec rolników w sposób totalitarny i despotyczny, to jednak wraca do swoich tendencji liberalnych wobec krajów spoza Wspólnoty. UE podpisała już 42 umowy wolnego handlu z 74 krajami na pięciu kontynentach. W br. zaczęła obowiązywać umowa z Nową Zelandią. Podobna miała zostać podpisana z Mercosur z Ameryki Południowej, ale z powodu protestu rolników prezydent Macron poprosił Ursulę von der Leyen, aby sprawa została odłożona. Zapewne nie na długo. Te wszystkie umowy powodują, że trafia do krajów europejskich masa tanich produktów rolnych, co dobija rodzinne rolnictwo (w istocie głównym celem Mercosur jest pozwolenie Niemcom tanio importować metale potrzebne do upadającego przemysłu samochodowego).

Jest rzeczą tragikomiczną, że Unia, która tak bardzo dba o ekologię i na jej ołtarzu dusi przepisami europejskich rolników, pozwala teraz na bezgraniczny import produktów rolnych z krajów, w których nie są respektowane normy ekologiczne, dlatego m.in. są one tańsze. We francuskim rolnictwie (głównie w nawozach) stosuje się np. 90 mg/kg toksycznego kadmu – w Nowej Zelandii jest to 120 mg/kg, w Japonii 148 mg/kg, a w Kanadzie aż 889 mg/kg.

Władze francuskie były świadome, że taka polityka zniszczenia rolnictwa indywidualnego może spowodować wybuch społeczny. Nie przypadkiem więc w kwietniu 2023 r. na czele największego związku zawodowego rolników FNSEA, dbającego przede wszystkim o wielkie, przemysłowe rolnictwo i przetwórstwo rolno-spożywcze, stanął Arnaud Rousseau. Związek od lat ma jak najlepsze stosunki z resortem rolnictwa. Sam Rousseau posiada zaś farmę o powierzchni 700 ha i jest dyrektorem międzynarodowego konsorcjum Avril (z obrotami 9 mld euro rocznie), czyli jednej z firm grupy BASTA, z którą walczą rolnicy indywidualni. Kiedy wybuchł oddolny protest francuskich farmerów, wspieranych przez autentyczne związki zawodowe, jak Koordynacja Rolnicza, Konfederacja Chłopska czy Ruch na Rzecz Gospodarstw Rodzinnych, powstał popłoch. Potężna FNSEA zdołała jednak wynegocjować z rządem kilka ustępstw (np. o zawieszeniu niektórych norm ekologicznych, co jest głównie na rękę rolnikom przemysłowym) i ruch protestacyjny został na razie powstrzymany.

Walka jednak trwa i będzie trwać, bo chodzi o przeżycie rolnictwa rodzinnego. Wiadomo, jakie rozwiązania byłyby w stanie uzdrowić sytuację. Nieimportowanie produktów, które nie odpowiadają europejskim normom ekologicznym, skierowanie większego strumienia dotacji do rolników indywidualnych niż do rolników przemysłowych (z dużo większą stawką na hektar dla małych gospodarstwach niż dla wielohektarowych), udzielanie dotacji, aby w początkowej fazie rolnictwo ekologiczne mogło się rozszerzyć, niewspieranie przemysłu rolno-spożywczego, który i tak uzyskuje wysokie profity. Więcej, należałoby ustalić ceny minimalne, poniżej których nie wolno kupować produktów od rolników, a jednocześnie określić ceny maksymalne zakupu przez supermarkety produktów przemysłu rolno-spożywczego. Słowem, należy uchronić i rolnika, i konsumenta.

> Jest rzeczą tragikomiczną, że Unia, która tak bardzo dba o ekologię i na jej ołtarzu dusi przepisami europejskich rolników, pozwala teraz na bezgraniczny import produktów rolnych z krajów, w których nie są respektowane normy ekologiczne

PSL: Z ROLNIKAMI CZY Z BRUKSELĄ?

Można wątpić, że Unia pójdzie w tym kierunku, ma bowiem zaprogramowaną śmierć rolnictwa rodzinnego. Należy je zniszczyć z powodów ideologicznych. To rolnictwo jest uznawane – i chyba można się z tym godzić – za podporę tradycji, wartości moralnych, rodzinnych i duchowych. Dla tych, którzy prezentują materialistyczną wizję świata, pozbawioną szacunku dla tradycyjnych wartości, rolnictwo rodzinne jest do wyeliminowania, tak samo jak rodzina, wartości chrześcijańskie i patriotyzm. Jak mówiła francuska polityk Marion Maréchal: „Dla Brukseli rolnicy to przeszłość, a migranci to przyszłość".

W Polsce sytuacja jest dodatkowo kuriozalna: współrządzi partia, która niegdyś była partią rolników. Czy PSL dalej będzie współrządzić z trojańskimi końmi Brukseli i wspierać politykę niszczenia rolnictwa rodzinnego, czy przypomni sobie, że ostatecznie jest partią Witosa i stanie u boku polskich rolników?

Kilka lat temu sympatyczna pani gospodarz na południu kraju pokazała mi swoje znakomite sery, wędliny i konfitury, tłumacząc, że nie może już ich legalnie sprzedawać, bo nie spełniają norm europejskich. Ale zaraz, patrząc na mnie z uśmiechem, dodała: „To nic, wie pan, uporaliśmy się z okupacją niemiecką, uporaliśmy się z komuną, poradzimy sobie i z Unią Europejską". Chcę wierzyć, że miała rację, że skończymy z tą obecną Unią, że będziemy w stanie budować prawdziwą wspólną Europę, Europę ojczyzn, Europę szacunku dla godności człowieka, Europę wartości. Albowiem czy wartość Europy to nie Europa wartości? To zależy tylko od nas. Od rolników z Francji, z Polski i z innych krajów. Ale też od wszystkich obywateli. I można się pod tym względem cieszyć, że 82 proc. ludności francuskiej mimo niewygód związanych z protestami wyraziła poparcie dla rolników. Nie wątpię, iż w Polsce jest i będzie tak samo.

PS W odpowiedzi na zapytania sympatycznych ludzi miło mi powiadomić, iż 31 stycznia br. dostałem od stosownego biura dokument stwierdzający, iż jestem odtąd Polakiem. Wielka radość! Wielki dzień w moim życiu! Zrobię wszystko, aby być godny miana Polaka. Tak mi dopomóż Bóg!

Autopromocja

eprasa.pl 14f4aa6b19

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI

- teksty swoich ulubionych autorów
- pełne e-wydanie SIECI wcześniej niż inni
- zamknięte artykuły na wPolityce.pl

Cyfrowa prenumerata SIECI

już od **5,90** zł

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 14f4aa6b19

Behawioralna wojna o człowieka

Cyfrowa rewolucja przyniosła więcej szkody niż pożytku. Dewastuje umysły młodych, uzależnia i ogłupia. Ale dotyczy nas wszystkich, bo w skali globalnej trwa behawioralna wojna o naszą uwagę. A tym samym o nasze zasoby i kontrolę nad naszym życiem

MACIEJ WALASZCZYK

Technika jest naszym własnym wytworem, ma nam pomagać w osiąganiu kontrolowanych, przewidywalnych skutków. Jednak konsekwencje globalizacji i sprzężonej z nią cyfrowej rewolucji zaczynają przypominać kłopoty „Ucznia czarnoksiężnika". Jak tłumaczy Przemysław Gębala w książce „Cyfrowy wzmacniacz chaosu", tracimy kontrolę nad swoim życiem, a nadmiar informacji powoduje, że „aby być słyszalnym, trzeba krzyczeć". Krzyk jest alarmowym głosem emocji, lecz jego nadmiar powoduje, że emocje nigdy nie gasną. W taki sposób wokół nas toczone są nieustanne wojny behawioralne. Nie ma w nich zwycięzców, bo sprzężona z globalizacją cyfrowa rewolucja nie przynosi stałych rozstrzygnięć. Ilość informacji rośnie szybciej niż ludzkie możliwości ich pojmowania, korzystania z nich i odróżniania wartościowych od śmieci i kłamstw. W tym nadmiarze wybieramy więc te, które nam odpowiadają. Bliżsi są nam ci, którzy dokonują podobnych wyborów. Resztę odrzucamy.

Autor przytacza oskarżycielskie wypowiedzi dziennikarki Carole Cadwallar wobec założycieli Facebooka, Google'a i Twittera. Ostrzegała ona, że internet służy do siania nienawiści i strachu na całym świecie. Komputer, smartfon, media społecznościowe, aplikacje usługowe zmieniają nasze życie, tak jak w XV w. uczyniła to prasa drukarska. Książka Gębali jest zbiorem esejów zawierających próbę opisu tego stanu rzeczy. Podpiera się koncepcjami Nassima Taleba (kruchość i antykruchość systemów złożonych), „perfekcji techniki" Friedricha G. Jüngera oraz dorobkiem diagnostów „płynnej nowoczesności", m.in. Shoshany Zuboff, Jonathana Haidta, Daniela Kahenmana. Autor proponuje nam myślenie o świecie jako fenomenie złożoności, na który składają się ludzkie społeczności, rynki czy państwa. Są bardziej sumą części niż projektem. Nie reguluje ich system trwałych recept, co najwyżej mechanizm odświeżania i adaptacji tego, co już znamy. Gębala patrzy przez „behawioralne okulary", bo nie da się narzucić pewności w świecie niepewności, których nie można wyeliminować.

ORĘŻ GLOBALIZACJI

Człowiek nie jest więc modelowym *homo oeconomicusem*. Wbrew założeniom ekonomistów, nie jest do końca racjonalny. Jego życiem często kierują silne emocje. Koncentruje się na unikaniu strat, preferuje pewność mniejszej korzyści niż niepewny zysk. Ludzie nie są zwierzętami, ale tak traktują ich rynki finansowe i cyfrowe monstra. „Intuicja badacza, polityka, ekonomisty chcącego zbawić ludzkość [...] w ramach procesu skalowania idei na cały system złożony wielokrotnie już przyniosła tej ludzkości katastrofalne decyzje" – przypomina Gębala. Przykładem są wielkie kryzysy z lat 1987, 1998 i 2008, które ujawniły gromadzące się nierównowagi i ryzyka. Natłok informacji i konieczności ich szybkiego rozumienia wymagają stosowania coraz prostszych recept. Kontaktując się z coraz większą liczbą ludzi, wchodzimy z nimi w coraz płytsze relacje. W skali politycznej i gospodarczej przejawia się to w atrofii miar i punktów odniesienia. Dotyczy to m.in. przekonania o sensowności globalnych łańcuchów powiązań, które, jak się okazało, nie są korzystne dla wszystkich w każdym miejscu na świecie. Choć globalizacja daje USA gospodarczą przewagę, generuje też problemy wewnątrz (likwidacja klasy średniej) i na zewnątrz (Chiny jako fabryka świata). Eksport miejsc pracy i produkcja po niskich kosztach przyniosła system nierównowagi. Pandemia w Chinach wywołała światową, katastrofalną w skutkach politykę pandemiczną – wszyscy naśladowali stosowane w tym kraju totalitarne metody.

Cyfrową rewolucją kieruje podobna logika. Sieciowe powiązania przekraczają granice wsi, miast, państw, kontynentów, języków i kultur. Alokalność zmienia geografię ważności naszego otoczenia. Stajemy się „emocjonalnymi i duchowymi emigrantami".

CYFROWE KALECTWO

Świat elektroniki i świat papieru nie są równe. Dzisiejsi uczniowie nie są już

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 14f4aa6b19

ludźmi, dla których zaprojektowano system edukacji. Gębala porusza w tym miejscu m.in. problemem „cyfrowej demencji", opisanej przez Manfreda Spitzera. Nasz umysł pojawiając się na świecie, wchodzi w relacje m.in. z ludźmi i otoczeniem w sposób wielozmysłowy – przez zapachy, dotyk, dźwięki i obraz, dokonując swojej autokonstrukcji. Kiedyś czyniliśmy to lokalnie, wśród rówieśników, rodziny, sąsiadów, ludzi żyjących obok, np. w zasięgu szkoły. Gdy się uczymy, w mózgu zachodzą zmiany, ułatwiające m.in. zapamiętywanie nowych informacji, a powstałe w wyniku tego komórki utrzymują się przy życiu tylko dzięki intensywnej pracy umysłowej. Czytanie książki mniej męczy, pomaga trwale i więcej zapamiętywać, nie rozprasza uwagi. Podobnie gdy robimy odręczne notatki.

Cyfrowe urządzenia wprowadzają do umysłu informacje w sposób monozmysłowy. Ekran i klawiatura nie uruchamiają tak wielu obszarów mózgu. Książka daje punkty orientacyjne, miejsce określonego fragmentu tekstu w przestrzeni i naturalną strukturę papieru. Świat cyfrowy jest płaski, zawsze stanowi jedną – pierwszą stronę i nie ma wyraźnie zaznaczonych granic. Cyfrowe media powodują, że słabnie nasz potencjał umysłowy, a umysł ćwiczony za pośrednictwem smartfonów z rzeczywistością jedynie przedstawioną i opowiadaną po prostu obumiera. W dłuższej perspektywie sprzyja rozwojowi demencji i niekorzystnie wpływa na proces edukacyjny.

Wirtualna rzeczywistość dodatkowo jest spryskana „behawioralną kokainą", a więc takim sposobem prezentowania treści, aby przykuwać uwagę. U młodzieży społecznościówki odpowiadają za naturalną potrzebę budowania grupowego punku odniesienia. Temu służy system ocen, m.in. lajków, który zamiast regulować skalę nagród – uzależnia. Do tego roi się od agresji, pomówień i nagonek wpędzających w depresję, spotęgowany stres, samotność, brak samokontroli.

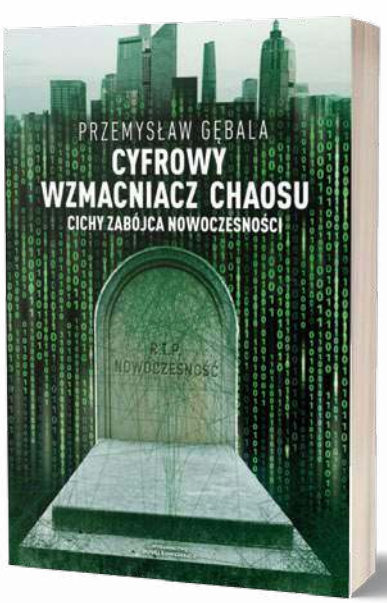

Za pomocą wyrafinowanych cyfrowych narzędzi zbierane są o nas informacje, a na podstawie naszych preferencji przewiduje się nasze zachowania

OCEAN INFORMACJI I EMOCJI

Ludzie z natury nie lubią konfliktów i ich unikają. Szukają najlepszego znanego im kompromisu. Intuicja, będąca sumą żywych doświadczeń, pozwala nam szybko reagować na problemy, świadoma uwaga prowadzi do głębszej analizy, a emocje wspomagają pracę ich obu. Jednak w sytuacji lęku myślenie krytyczne przestaje być możliwe. Natłok emocji powoduje, że np. przeceniamy wagę zdarzeń mało prawdopodobnych (katastrofy), a nie doceniamy prawie pewnych. Sieć może być zdominowana przez zachowania stadne, chwilowy tłum, potrafiący z godziny na godzinę zmienić *status quo*. Popularny youtuber, sieciowy celebryta potrafi każdą, najbardziej skrajną i dziwną ideę, rozprzestrzenić na całą sieć. W natłoku informacji często nie odróżniamy faktów od opinii i stajemy się łatwym obiektem manipulacji (reklama, polityka). To przynosi poczucie zawodu i braku władzy nad swoim życiem.

Choć internet pozwala na indukowanie i zarządzanie emocjami, szybko ujawniają się ograniczenia, wynikające z nieogarnialności świata. Emocje rozbudzane po to, by łatwiej nami zarządzać, wymykają się spod kontroli, społeczeństwo pełne emocji staje się beczką prochu. Choć tego nie chcemy, bierzemy jednak udział w wyścigu organizowanym przez ekonomistów, prawników, polityków czy marketingowców w celu maksymalizacji korzyści. Za pomocą wyrafinowanych cyfrowych narzędzi zbierane są informacje o nas, a na podstawie naszych preferencji przewiduje się nasze zachowania.

Potencjał inwigilacyjnych narzędzi szybko dostrzegł świat polityki. Korzystają z nich zarówno despotyczne, nowoczesne Chiny, zacofana Rosja, jak i demokracje. W obawie przed utratą legitymizacji wywołanej rozproszeniem uwagi opinii publicznej uruchomiono mechanizmy gromadzenia ludzi wyłącznie pod wpływem generowanych emocji, a nie politycznej debaty, analizy faktów, racji. Nadmiar emocji dekoncentruje, utrudnia wybory, wprowadza w stan, kiedy stają się one nieustającą, popychającą nas do nieracjonalnych decyzji udręką. Wywołuje to polaryzację, podejrzliwość oraz wrogość i plemienność.

Na gruncie krajowym ten fenomen wielokrotnie ujawniał się w badaniach. Wynikało z nich, że zwolennicy PO i lewicy żywią bardziej negatywne uczucia wobec zwolenników PiS niż na odwrót. W większym stopniu ich dehumanizują, wyrażając jednocześnie przekonanie, że to oni są bardziej dehumanizowani przez swoich oponentów.

Zdaniem Gębali człowiek ma możliwość zmieniania konfliktów w rozwiązywalne dylematy. Mamy szansę okiełznać życie kreowane przez cyfrowych szamanów i stać się jego podmiotem, a nie przedmiotem. Nie wiem, czy jest to możliwe w logice masowej demokracji, masowych mediów i globalnych rynków. Ale skutków behawioralnej wojny o naszą uwagę, a w konsekwencji o nasze zasoby i kontrolę nad naszym życiem, doświadczamy codziennie.

eprasa.pl 14f4aa6b19

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Jak Orwell wyleczył się z komunizmu w Hiszpanii

George Orwell wydaje się dziś wszechobecny, choć nie żyje od 74 lat. Jak mało który pisarz, własnym wizjonerstwem zapewnił sobie bardzo intensywne życie pozagrobowe. O ile przydaje mu to powodów do chwały, o tyle nam życie w orwellowskim świecie z każdym dniem dokucza coraz bardziej

Trudno oprzeć się pokusie pytania, jak zareagowałby Orwell – pisarskie sumienie XX w. – gdyby mógł oglądać współczesny soft-totalitaryzm? Jesteśmy wszak inwigilowani i kontrolowani jak nigdy w dziejach świata. Co prawda nikt nie znika bez śladu w lochach bezpieki, ale owszem, lewicowe „cancelowanie" w polityce i kulturze oznacza „śmierć cywilną" dla wielu ludzi oskarżonych o myślozbrodnie. Nie musimy też czekać na wytyczne rządzącej partii, bo wystarczy otworzyć jakiekolwiek medium mainstreamu, aby utwierdzić się w przekonaniu, że wedle nowej doktryny w perspektywie gender 1+1 może równać się 4, jeśli tego wymaga dyskryminacja pozytywna pewnych cyfr.

Jeśli spojrzeć na sieci społecznościowe, Europejczycy o konserwatywnych sympatiach używają obrazków z wizerunkiem Orwella niczym amuletu lub świeckiego świętego od totalitaryzmów do odpędzania lewaków i obaw przed czekającą nas przyszłością. Chęt-

pl 14f4aa6b19

nie wierzymy, że gdyby na chwilę mógł ożyć, po prostu „stanąłby po naszej stronie". Podobno jeden z jego najbliższych przyjaciół, powieściopisarz Anthony Powell, napisał w dziennikach, że gdyby Orwell pożył dłużej, skierowałaby się na prawą stronę sceny politycznej. Dlaczego?

Odpowiedź na te pytania może nam przynieść prześledzenie udziału Orwella w wojnie domowej w Hiszpanii, która stała się preludium do totalitarnych eksperymentów XX w.

PRZYBYWA JAKO ANARCHOKOMUNISTA

George Orwell dotarł do Hiszpanii w 1936 r., aby, jak napisał, „walczyć z faszyzmem". Owszem, był to całkiem szlachetny poryw serca, ale tylko wtedy, jeśli nie wiemy niczego o Hiszpanii roku 1936 r. Wiele złego można było wtedy powiedzieć o faszyzmie włoskim, a zwłaszcza niemieckim, ale „faszyzm" hiszpański w tych czasach zwyczajnie nie istniał, bo nie miał ani jednego reprezentanta w Kongresie. Nawet sam José Antonio Primo de Rivera, założyciel Falangi, uważanej za hiszpańskie wcielenie faszyzmu, nie zdołał uzyskać w wyborach mandatu, a pojmany jeszcze w marcu przez republikanów, został rozstrzelany przed przybyciem Orwella.

Jak podaje dziennik „ABC", w latach 1933–1936 na całym Półwyspie Iberyjskim Falanga liczyła 5 tys. członków, czyli przekładając na nasze realia, była tak popularna jak Agrounia Kołodziejczaka. Amerykański historyk i hispanista Stanley G. Payne wsławił się powiedzeniem: „Dziwny to przypadek faszyzmu hiszpańskiego, w którym umundurowani faszyści w zwartym szyku maszerują, ale na pielgrzymki do sanktuarium św. Jakuba w Santiago de Compostela".

Zatem pierwszy wniosek, jaki się nasuwa, to taki, że Orwell przyjechał już wtedy zmanipulowany przez lewicową prasę brytyjską, która utrzymywała, że walcząca o przetrwanie strona narodowa pod wodzą Franco była tym samym co hitlerowcy. Dziś podobnie manipulowane są całe masy młodych ludzi, których straszy się rzekomo odradzającym się faszyzmem.

Zatem w grudniu 1936 r. komunizujący Orwell przybył do Hiszpanii, aby informować międzynarodową prasę marksistowską o tym, co widzi na miejscu. Miał list polecający od Niezależnej Partii Pracy (ILP), czyli brytyjskiego partnera hiszpańskiej Robotniczej Partii Zjednoczenia Marksistowskiego (POUM). Był zachwycony tym, co zobaczył w ogarniętej rewolucją Barcelonie: „Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w mieście, gdzie klasa robotnicza była u władzy. Praktycznie każdy budynek, bez względu na wielkość, był zajęty przez robotników i udekorowany czerwonymi flagami lub czerwono-czarnymi barwami anarchistów; na każdej ścianie namalowany sierp i młot z inicjałami rewolucyjnych partii; większość kościołów zniszczona pożarem, a figury świętych w zgliszczach. W wielu miejscach kościoły demolowane były przez brygady robotnicze". Od pierwszego zdania książki „W hołdzie Katalonii" Orwell wydaje się być zachwycony obiecującym egalitarnym eksperymentem, który miał służyć za przykład dla całego świata. Cieszy go, że zniknęli „dobrze ubrani ludzie", a wszyscy chodzą w robotniczych ubraniach i mówią sobie per „ty", odrzucając hierarchiczne zwroty grzecznościowe.

> Orwell, oskarżany o bycie pachołkiem Hitlera, zrozumiał wtedy, że jego własne życie wśród kompanów walki jest zagrożone. Wreszcie zaczęło do niego docierać, na czym polega obrona demokracji przed faszystami w wykonaniu komunistów

OD BURŻUJA DO KOMUNISTY

Może to nawet warte pochwały, że on, potomek właścicieli setek niewolników na Jamajce, dał się uwieść utopii o powszechnej równości. Wszak naprawdę nazywał się Eric Blair, a pseudonim literacki George Orwell przybrał, aby swoim pisaniem nie narazić na szwank rodowego nazwiska. Był synem Richarda Walmsleya Blaira, administratora ministerstwa opium w rządzie kolonialnym Indii. Po odbyciu służby w birmańskiej policji wrócił do Londynu i rozpoczął karierę dziennikarza. Szybko znalazł się nawet na celowniku Scotland Yardu, który od 1936 r. zaczął śledzić, gdzie i w jakim celu deleguje go Partia Komunistyczna. Orwell był więc entuzjastą nowych porządków, a jego akces do oddziałów milicji POUM w Barcelonie stanowił tego wyraz.

Pierwsze rozczarowanie nadeszło jednak nader szybko. Zdziwiony zauważył, że w wojsku mającym za zadanie pokonanie „faszystów" nie istniała żadna dyscyplina. Jeśli komuś nie podobał się jakiś rozkaz, wykłócał się z oficerem i wszyscy debatowali, co jest dozwolone w armii rewolucyjnej. Wszelkie próby hierarchizacji piętnowano jako burżuazyjne i faszystowskie. Widzimy więc, że podobnie jak dzisiaj hierarchia władzy i wartości kojarzy się lewakom już tylko z narzucaniem heteropatriarchalnej przemocy. Orwell ze zdziwieniem zauważył też, że w okopach republikanów nigdy nie powiewała żadna trójkolorowa flaga, ponoć demokratycznej republiki, za którą przyjechał narażać życie, a tylko te komunistyczne i anarchistyczne.

Oddelegowano go na front, ale jego oddział prawie nie posiadał uzbrojenia. Przybywającą na pomoc republikanom sowiecką broń dystrybuowano tylko wśród komunistów wyższej rangi. Nieliczne karabiny były zardzewiałymi antykami, nie strzelały, a granaty eksplodowały w dłoni. Rozmiary groteski uzmysławia dobrze następujący fragment: „Prawdę mówiąc w tym okresie wojny prawdziwą broń stanowiły nie karabiny, lecz megafony. Nie mogąc

eprasa.pl 14f4aa6b19

zastrzelić wroga, krzyczało się w jego kierunku. Recytowano zazwyczaj pełne rewolucyjnych treści zestawy haseł, mające na celu wytłumaczenie faszystom, że są zwykłymi najemnikami międzynarodowego kapitalizmu, że podjęli walkę przeciwko swojej własnej klasie itp. oraz nakłaniano ich do przejścia na naszą stronę".

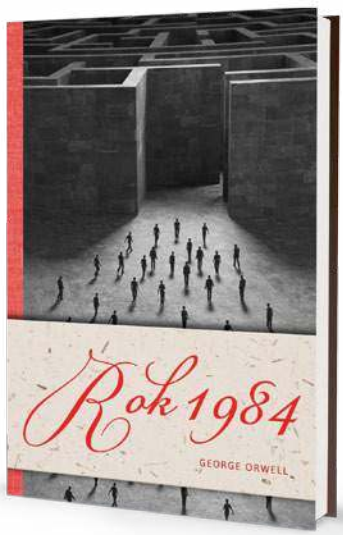

Dziś zresztą podobnie – salon liberalno-lewicowy prowadzi swe wojny ideologiczne z udziałem tub propagandowych, wywiązując się ze swych obowiązków, które Orwell w swej książce nazywa „żołnierskimi zadaniami okrzykowymi". Był świadkiem, że nowa, rewolucyjna mentalność przynosiła kompletną degrengoladę na wszystkich odcinkach frontu: nie było latryn, więc wypróżniano się w okopach, spano i odżywiano się wśród ekskrementów, kradzież była powszechna wśród towarzyszy, a w szpitalu polowym z powodu braku sióstr pielęgniarek częściej pomagano odejść w zaświaty, niż przywrócić zdrowie.

Jednak nawet ta lekcja odebrana w okopach nie otworzyła mu jeszcze dostatecznie oczu. Musiał je ustawicznie przymykać, aby nie wiedzieć i nie komentować rozpętanych prześladowań wobec katolików, które przypominały te z czasów Nerona. W jego zapiskach widać też świadomość, że to ZSRR całkowicie kontroluje stronę republikanów i że w tej wojnie, mimo tego, co się o niej dziś wypisuje, wcale nie chodziło o obronę demokracji. Jak sam cytował w „Hołdzie": „Burżuazyjna »demokracja« i faszyzm to tylko inne nazwy kapitalizmu. Jedyną prawdziwą alternatywą wobec faszyzmu jest władza robotników". Dziwią więc nieco te ustawiczne próby wybielenia go w tamtym czasie i pisania o nim „socjalista". On naprawdę był wtedy anarchokomunistą, bo tak dalece przesiąknął propagandą.

PRZEBUDZENIE

Po trzech miesiącach na froncie w Aragonii Orwell wrócił do Barcelony. Okazało się, że wystarczyło parę miesięcy i wszystkie dzieci rewolucji same wzięły się za łby w śmiertelnym zwarciu. Anarchiści i POUM-iści (do których należał Orwell) uważali komunistów z PSUC za kontrrewolucyjną prawicę, podczas gdy ci drudzy oskarżali tych pierwszych o bycie płatnymi agentami Franco i Hitlera, mającymi sabotować republikański wysiłek wojenny. Przestano więc polować na faszystów, bo okazało się, że śmiertelny wróg niszczy własne szeregi. Orwell, oskarżany o bycie pachołkiem Hitlera, zrozumiał wtedy, że jego własne życie wśród kompanów walki jest zagrożone. Wreszcie zaczęło do niego docierać, na czym polega obrona demokracji przed faszystami w wykonaniu komunistów. Tak opisywał atmosferę tamtych dni: „Żyłem w permanentnym poczuciu przerażenia, że jakikolwiek przyjaciel może na mnie donieść tajnej policji. Długi koszmar walk, hałas, brak jedzenia i snu, mieszanina napięcia i nudy oraz godzin spędzonych na dachu, zastanawiając się, czy za minutę zostanę postrzelony, czy też zmuszony do oddania strzału, zniszczyły mi nerwy [...]. Nikt, kto mieszkał wtedy lub w kolejnych miesiącach w Barcelonie, nie zapomni opresyjnej atmosfery wywołanej strachem, podejrzeniami, nienawiścią, cenzurą dziennikarską, przepełnionymi więzieniami, ogromnymi kolejkami po żywność i patrolami uzbrojonych mężczyzn".

Trzy dni po walkach w Barcelonie wrócił na front, gdzie wkrótce został postrzelony w gardło, i to o milimetry od tętnicy szyjnej. To nie był koniec jego problemów, bo z rozkazu Stalina komuniści mieli wyciąć w pień wszystkich trockistów w Katalonii, oskarżanych oczywiście o służenie faszystom. On, który przybywał z żoną do Hiszpanii pełen ideałów, parę miesięcy później uciekał przez granicę w dramatycznych okolicznościach, udając angielskiego turystę. Rozpętano polowanie na takich jak on.

„To były po prostu rządy terroru. Nie byłem winny niczego konkretnie, ale byłem winny trockizmu. Fakt, że walczyłem w milicji POUM, wystarczył, aby wsadzić mnie do więzienia" – pisze Orwell, który przy kilku okazjach przyznał, że doświadczenia z hiszpańskiej wojny domowej „otworzyły mu oczy" na rzeczywistość stalinowskiej polityki ZSRR. „Hiszpania zmieniła wszystko. Życie zatrzymało się w 1936 r." – wyznał przyjacielowi Koestlerowi.

SAMOTNY PROROK

Po powrocie w rodzinne strony rosło w nim rozczarowanie, jak bardzo lewicowa prasa manipuluje wydarzeniami wojennymi w Hiszpanii. Swoje wspomnienia spisał w książce „W hołdzie Katalonii", choć ze względu na ostrą krytykę stalinizmu jego wydawca odmówił publikacji, więc dzieło ostatecznie wydał w małej oficynie. Echo komunistycznej czystki w Hiszpanii uwiecznił zaraz potem w „Folwarku zwierzęcym", bajce mającej ostrzec przed tym, jak łatwo totalitarna propaganda może kontrolować opinie ludzi w krajach demokratycznych. I o tym, że rewolucje zawsze kończą się tak samo: zastępując jednych tyranów innymi.

W Hiszpanii na publikację książki Orwella trzeba było czekać ponad 30 lat. Pierwsze wydanie trafiło na rynek w 1970 r., ale było ocenzurowane, a książka została opublikowana w całości dopiero w 2003 r. Nie przypadła do gustu ani lewicy (co zrozumiałe), ani prawicy, zdegustowanej „obiektywizmem" Orwella, który w owym czasie nie chciał dostrzegać męczeństwa katolików, cieszył widokiem spalonych kościołów i utożsamiał monarchistów oraz narodowców z faszystami.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek musimy czytać „proroka" Orwella. W jednym ze swoich ostatnich esejów, umierający, napisał „Tylko od ciebie zależy, czy ta rzeczywistość »Roku 1984« stanie się naszą rzeczywistością. Nie dopuść do tego".

eprasa.pl 14f4aa6b19

Czas przesileń

Na 26. gali Polskich Nagród Filmowych Orły 2024 najwięcej statuetek zebrały obrazy: „Kos" Pawła Maślony i „Filip" Michała Kwiecińskiego. Zdaniem publiczności najlepszym filmem roku byli „Chłopi" DK i Hugh Welchmanów. Akademia postawiła na „Zieloną granicę" Agnieszki Holland

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 14f4aa6b19

Za nami 26. edycja Polskich Nagród Filmowych Orły 2024. I gala, tradycyjnie odbywająca się w warszawskim Teatrze Polskim, tym razem pełna nie tyle niespodzianek, ile przesileń.

Za sprawą wręczonych statuetek liczące blisko 900 osób środowiskowe gremium Polskiej Akademii Filmowej powiększyło się o grupę zdecydowanie młodszych członków (laureatów tegorocznych nagród). Ludzi, sądząc po ich filmowych dokonaniach, nie tylko utalentowanych, lecz także z głowami otwartymi na nowe spojrzenia. Bez kompleksów i zaciekłości, choć wnikliwie i oryginalnie patrzących na bliskie otoczenie oraz świat.

„KOS" I INNI

Nie było zaskoczeniem, że zdobywca Złotych Lwów w Gdyni 2023, nowatorski w formie i podejściu do historycznego tematu, znakomicie wizualnie „oprawiony" i świetnie zagrany (od epizodu po główny plan) „Kos", zdobył najwięcej statuetek. Akademia doceniła reżyserię Pawła Maślony, a także scenariusz Michała A. Zielińskiego, drugoplanową rolę kobiecą (Agnieszka Grochowska), kostiumy (Dorota Roqueplo), charakteryzację (Aneta Brzozowska) i dźwięk (Radosław Ochnio, Adam Szlenda, Filip Krzemień).

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Cztery Orły – za główną rolę męską (Eryk Kulm jr), zdjęcia (Michał Sobociński), scenografię (Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński) oraz montaż (Nikodem Chabior) – trafiły do innej niesztampowo odwołującej się do przeszłości produkcji, czyli „Filipa" Michała Kwiecińskiego.

Dwie statuetki – za muzykę (Łukasz L.U.C. Rostkowski) i nagroda publiczności – przypadły „Chłopom", po nowemu czerpiącym z przeszłości oraz literackiej i muzycznej tradycji. Orła w kategorii odkrycie roku otrzymał Grzegorz Dębowski za reżyserię „Tyle co nic" – filmu dającego fabularną przestrzeń i prawo głosu różnym bohaterom.

AKTORSKIE SKRZYDŁA

Za poruszającą rolę w obrazie „Lęk" Sławomira Fabickiego pierwszego Orła w swojej karierze odebrała Magdalena Cielecka. Jedno ze skrzydeł statuetki, dziękując za wyróżnienie, dedykowała Marcie Nieradkiewicz, z którą stworzyła na ekranie znakomity, aktorsko-siostrzany duet.

Zwykle stonowana w reakcjach, tym razem Cielecka nie kryła radości, co nie dziwi, skoro na drugie filmowe wyróżnienie czekała... blisko trzy dekady. W 1995 r. zdobyła w Gdyni nagrodę za pierwszy plan w „Pokuszeniu" Barbary Sass. Potem musiała się zadowalać „jedynie" nominacjami do Orłów za role w filmach: „Amok", „Zakochani", „Egoiści" oraz „Wenecja".

Debiutujący w rywalizacji o Orły (i od razu wyróżniony) Eryk Kulm jr dołączy swoją statuetkę do Nagród im. Zbyszka Cybulskiego i Elżbiety Czyżewskiej (The New York Polish Film Festival), również zdobytych za tytułową rolę w filmie „Filip".

eprasa.pl 14f4aa6b19

Agnieszka Grochowska odebrała Orła po raz drugi (w 2012 r. otrzymała tę nagrodę za główny plan w obrazie „Bez wstydu"), a nominowana była siedmiokrotnie (także za filmy: „Pręgi", „W ciemności", „Wałęsa. Człowiek z nadziei", „Żeby nie było śladów", „Fucking Bornholm").

NAGRODOWE SERIE

Orzeł dla Tomasza Schuchardta za drugoplanową kreację w filmie „Doppelgänger. Sobowtór" to kolejna forma docenienia tej roli po nagrodzie w Gdyni w 2023 r. W imieniu aktora Akademii podziękował reżyser Jan Holoubek (w dniu gali obchodzący 46. urodziny), sam nagrodzony Orłami za reżyserię kinowego obrazu „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy" (2021) oraz najlepsze filmowe seriale fabularne w latach 2022 („Rojst '97") i 2023 („Wielka woda").

W tej edycji tytuł najlepszego filmowego serialu fabularnego zdobyło satyryczne (zdaniem wielu mocno przerysowane) spojrzenie na sarmację, czyli „1670" w reżyserii Macieja Buchwalda i Kordiana Kądzieli. W kategorii filmu dokumentalnego triumfowało „Pianoforte" Jakuba Piątka.

GRANICE KRYTYKI

Filmowa zmiana warty przejawiała się na scenie Teatru Polskiego m.in. bardziej neutralną formą podziękowań. Jeśli już, to częściej podkreślającą wspólnotowość ekranowych doświadczeń niż polaryzację. Ale nie w każdym przypadku.

Agnieszka Holland, odbierająca pierwsze w swojej karierze statuetki Orłów: za osiągnięcia życia i dla najlepszego filmu roku, znacznie mniej radykalnie niż w minionych miesiącach i latach oceniła sytuację w kraju. Wyraziła jedynie zaniepokojenie, że mimo nowej władzy stan na polsko-białoruskiej granicy nie uległ zmianie. Podkreślała odwagę filmowców, szczególnie teraz, gdy w świecie „zaczynają rządzić potwory". Nie wspomniała o humanitarnym i wojennym kryzysie eskalującym na innej granicy.

GALOWA ATMOSFERA

W roli współprowadzącej galę wyjątkowo łagodnie zaprezentowała się słynąca z ostrych uwag dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska. Nie było, jak w poprzednich latach, rozliczających przemów. Nawet jeśli, jak w wypowiedziach twórców związanych z filmem „Chłopi", pojawiało się nawiązanie do hejtu, który bardzo zaszkodził produkcji, a był związany z nieprawdziwymi informacjami na temat finansowego wykorzystania malarzy przy tym projekcie oraz użycia sztucznej inteligencji. Nikt nie przeprosił za te pomówienia (podobnie jak za sugestie, że „Chłopi" w reżyserii DK i Hugh Welchmanów zostali wytypowani do oscarowej rywalizacji z powodów politycznych).

Największy aplauz zebrało odczytane przez Agnieszkę Grochowską dowcipne podziękowanie nieobecnego na gali reżysera filmu „Kos" Pawła Maślony, nagrodzonego za najlepszą reżyserię. Najbardziej radykalny w wystąpieniach podczas gali okazał się ponownie wybrany na to stanowisko prezydent Akademii Dariusz Jabłoński.

Stonowani w komentarzach byli pozostali otwierający koperty z nazwiskami tegorocznych laureatów, m.in.: Danuta Stenka, Maria Pakulnis, Dorota Pomykała, Maciej Musiałowski, Magdalena Popławska, Mateusz Więcławek, Maja Komorowska, Andrzej Konopka, Małgorzata Gorol, Tomasz Ziętek, Magdalena Boczarska, Agata Kulesza, Tomasz Kot, a nawet Andrzej Chyra.

Mieszkać razem

Tam, gdzie kończy się „Zielona granica" – z jednej strony idyllicznym obrazkiem muzycznego porozumienia między młodymi uchodźcami i mieszkańcami pięknej willi, z drugiej zaskakującym oskarżeniem o otwarcie serc dla fali Ukraińców i zarazem niechęć do nielegalnych imigrantów – zaczyna się akcja serialu „Będziemy mieszkać razem". Emisja kolejnych odcinków w piątkowe wieczory w TVP1 o godz. 20.35.

Kiedy wybucha wojna na Ukrainie, Basia (Lena Góra) i Tadeusz (Mikołaj Roznerski) są na nartach w Szwajcarii. Próbują zażegnać pierwszy małżeński kryzys. Zaalarmowani przez teściową Magdę (Aleksandra Konieczna) wracają do Polski. Na dworcu zastają tłumy uciekinierów wojennych. Jest wśród nich Anna (Oksana Cherkashyna) z małą Warią (Zlata Kardash) i wielkim psem Fridą. W odruchu współczucia Basia proponuje im, by zamieszkały w wielkim mazurskim domu swojej apodyktycznj teściowej. Wspólne życie wymusza zmiany, na które nie wszyscy są gotowi.

Jak zapowiadają realizatorzy, serial wyreżyserowany przez Annę Maliszewską oraz Tadeusza Łysiaka to pełna emocji opowieść o losach Polaków i Ukraińców w pierwszych miesiącach wojny. Stawiająca pytania o to, co wynika z otwarcia swojego domu przed obcymi ludźmi.

„Kiedy zaczynaliśmy pracę, tytuł serialu miał trochę inne znaczenie – podkreślają twórcy. – Przeżywaliśmy czas wielkiej empatii, współczucia, ofiarności, otwartości. To było coś niezwykłego. Po dwóch latach wojny na Ukrainie sytuacja zmienia się z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień (podobnie jak polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie relacje). Nie wiemy, co się za chwilę wydarzy. Jaka jest przyszłość".

JGZ

Fot. Materiały prasowe x2

eprasa.pl 14f4aa6b19

3 MIŁOŚCI

Ciernie i kolce

ROBERT TEKIELI

Jest czwartek, późny wieczór 5 kwietnia 30 r. n.e. Jerozolima była wtedy małym, 20-tys. miastem na obrzeżach Imperium Rzymskiego. Rabbi Joshua z Nazaretu modli się w ogrodzie na peryferiach miasta. Modlitwa ma dramatyczny przebieg. Mężczyzna mdleje i ponownie klęka. Uczniowie widzą krwawy, lepki pot na jego skórze. W czasie tej samotnej modlitwy Jezus był miażdżony świadomością, że część ludzi odrzuci jego ofiarę. W wyniku obronnych wyrzutów adrenaliny do krwiobiegu stres powodował naprzemienne uderzenia krwi do głowy, omdlenia i powrót świadomości, gdy krew odpływała z górnych części ciała do jamy brzusznej. W szczytowych momentach stresu miała miejsce hematohydrozja – zjawisko opisywane jako pocenie się krwią. W wyniku potężnego stresu pękają naczynia krwionośne w gruczołach potowych. W ten sposób może reagować organizm młodego, najwyżej trzydziestoparoletniego człowieka. Współczesna anatomopatologia potwierdza słowa św. Łukasza, który jako jedyny opisał to zjawisko. Był on lekarzem.

Gdy zdradzonego i samotnego Jezusa prowadzono z ogrodu nad Cedronem do domu arcykapłana Annasza, było ciemno. Kohorta szła przez prawie całą Jerozolimę, gdyż pałac arcykapłana mieści się w lepszej dzielnicy, na samych obrzeżach ówczesnej stolicy rzymskiej prowincji. Sanhedryn, żydowski parlament, obradował w nocy. Odrzucony przez własny naród Jezus został skazany przez okupanta na straszną torturę. Rzymskie biczowanie *flagrum romanum* było karą tak okrutną, że prawo rzymskie zabraniało jej stosowania wobec swoich obywateli. Wielu skazanych nie przeżywało egzekucji i konało na miejscu. Bicz miał trzy rzemienie zakończone ołowianymi kulkami. Jeśli bijący miał wprawną rękę, potrafił zedrzeć całą skórę z pleców skazańca. Cierpienie biczowanego, związane z uszkodzeniem skóry, tkanki podskórnej i nerwów jest trudne do wyobrażenia. Ból był bardzo duży, początkowo intensywny przy samym uderzeniu, utrzymujący się do końca życia Jezusa, nasilający się przy każdym ruchu, szczególnie przy oddychaniu.

Koronowanie skazańców cierniem nie było zwyczajem ani Rzymian, ani Żydów. Nie znamy opisu ani jednego innego ukrzyżowania, przed którym skazaniec byłby torturowany koroną cierniową. Skóra głowy człowieka jest bardzo unerwiona. Kolce miały ponad 2 cm długości.

Jezus złożył się w ofierze. Dobrowolne wydanie się Boga na tortury i śmierć sprawiło, że może on rozdawać swoje miłosierdzie każdemu, nawet najgorszemu zbrodniarzowi. Każdy człowiek zawsze może mieć nadzieję

Krzyżując, wbijano gwoździe między kości przedramienia, tuż pod nadgarstkiem. Stopy składano razem i bokiem przybijano do krzyża przez kość pięty. Gwoździe przechodziły przez skórę, tkankę podskórną, w pobliżu okostnej, której każde dotknięcie, nawet delikatne, powoduje bardzo silny, duży ból. Całe ciało Jezusa trzymało się na wbitych w nie gwoździach, był to ból nie do wytrzymania, do tego dochodziły trudności z oddychaniem i konieczność podciągania się, by zaczerpnąć powietrza. Jezus był tak potwornie umęczony, że umieranie na krzyżu trwało stosunkowo krótko, trzy godziny. Były to jednak całe trzy godziny walki o oddech: opadanie i podciąganie się na przebitych ramionach. Najprawdopodobniej w wyniku tego wysiłku doszło do pęknięcia komory mięśnia sercowego, wylania krwi do osierdzia, przedostania się jej do opłucnej – stąd wypływanie krwi po zranieniu włócznią. Jeśli przyczyną śmierci było pęknięcie serca, związany jest z nim potworny ból; być może opisywany przez ewangelistów okrzyk, który wydał Jezus, umierając, świadczy właśnie o takiej przyczynie śmierci.

Człowiek całunu zmarł w pozycji nazywanej przez anatomopatologów *emprosthotonus*. Tężec w tym przypadku zachodzi błyskawicznie, a powodem zjawiska jest skrajne zakwaszenie mięśni zmarłego w wyniku ponadludzkiego wysiłku. Jego plecy wyginają się w łuk, a głowa ulega charakterystycznemu pochyleniu.

Jezus złożył się w ofierze. Dobrowolne wydanie się Boga na tortury i śmierć sprawiło, że może on rozdawać swoje miłosierdzie każdemu, nawet najgorszemu zbrodniarzowi. Każdy człowiek zawsze może mieć nadzieję. Mając prawo do miłosierdzia, Bóg dochował też sprawiedliwości. Jezus bezinteresownie poniósł konsekwencje przestępstw wszystkich ludzi; i Hitlera, i Stalina, i seryjnych morderców. Wziął na siebie moje i twoje winy. Na nasze szczęście ta kosmiczna historia nie kończy się na Wielkim Piątku. Przed nami radość wielkanocnego poranka.

eprasa.pl 14f4aa6b19

„Igrzyska śmierci"

POPKULTURA

Może być Swego czasu z przyjemnością oglądałem *„Igrzyska śmierci"*, więc dopiero ostatnio zdecydowałem się na obejrzenie ubiegłorocznego prequela tej serii, ponieważ takie dokrętki zazwyczaj wywołują zawód. W przypadku filmu „Igrzyska śmierci: Ballada ptaków i węży" nie jest tak do końca. Jednak tę fabułę dzieli od serialu kilka kategorii wagowych. Jak wiadomo, obywatele chcą chleba i igrzysk, skoro więc chleba nie staje, igrzyska muszą być spektakularne i krwawe.

W serialu gra, którą z systemem prowadzili młodzi bohaterowie, była przez nich poprowadzona tak błyskotliwie, że widowisko zapierało dech w piersiach, a płynące z ekranu refleksje na temat medialnych socjotechnik rządzących naprawdę były frapujące. Serial stał się lustrem naszej rzeczywistości. Jej obraz był wyrazisty, wyostrzony. Ze względu na ograniczenia czasowe i konieczność opowiedzenia własnej historii film nie mógł mieć takich ambicji. Oglądamy zatem lata młodzieńcze demonicznego demiurga z serialu – prezydenta Coriolanusa Snowa. Niestety w „Balladzie..." nie ma aktorstwa na poziomie serialowej kreacji Donalda Sutherlanda, a główna bohaterka nie dorównuje charyzmą Jennifer Lawrence. Sceny walk nie porywają, intryga nie powala. Ot, kolejna opowiastka o buncie bananowej młodzieży. Po raz pierwszy natomiast w niemusicalowej odsłonie zauważyłem, że śpiewane przez bohaterkę piosenki posuwają akcję do przodu, wzruszają i są na miejscu, nie śmieszą swą sztucznością. „Igrzyska śmierci: Balladę ptaków i węży" można spokojnie obejrzeć, o ile nie ma się zbyt wielkich oczekiwań wobec tego filmu.

POPKULTURA

Warte Baltimore w stanie Maryland, masowy zabójca, sylwester, kilkadziesiąt ofiar. Oryginalny jest już sam tytuł. *„Mizantrop"* – tak raczej mógłby być zatytułowany dramat kostiumowy, a nie kryminał czy thriller. Filmowy sprawca też wymyka się schematom, nie jest terrorystą, mord nie jest też aktem zemsty. Ścigający snajpera agent FBI dobiera do zespołu szeregową funkcjonariuszkę policji, która wyróżniła się bystrością na miejscu zbrodni. Wszystko dzieje się niby tak samo jak w setkach tego typu fabuł. Ale w obsadzie nie ma gwiazd, dla śledczego groźniejszym przeciwnikiem od sprawcy wydaje się federalna administracja, nie mamy więc w „Mizantropie" ucieczki w gatunkowe schematy. Film warty obejrzenia, choć finał może wydać się odrobinę przekombinowany.

„Mizantrop"

POPKULTURA

Warte *„Naśladowca"* – kolejny thriller i znów pozorne schematy. Seryjny zabójca odsiadujący wyrok w więzieniu zostaje poproszony o pomoc w schwytaniu groźnego mordercy. W roli genialnego zbrodniarza o pseudonimie „Artysta" wystąpił John Malkovich. Przestępcę naśladującego jego rytualne zabójstwa ścigają detektywi, w których wcielili się Martin Lawrence i Melissa Roxburgh. Tego typu fabuły trudno nie spoilerować, powiem więc tylko tyle: to zupełnie nie jest „Milczenie owiec", ale intryga poprowadzona jest przemyślnie. I zakończenie zaskoczyło mnie całkowicie. Czego więcej oczekiwać od dreszczowca?

„Naśladowca"

POPKULTURA

Niewarte Wiele osób czekało na trzecią odsłonę serialu *„Rojst"*. Jego pierwszy sezon to jeden z najlepszych polskich kryminałów, jakie oglądałem. Drugi jest już tylko wypracowaniem na temat prawa do szczęścia homomniejszości oraz hipokryzji większości. Trzeci zaś, „Rojst. Millenium", to akt oskarżenia wobec polskiego narodu. Przyznam szczerze, że przecierałem oczy. Zrobić serial o półświatku lat 60. XX w. w PRL i nie wspomnieć o SB, opowiadać historię szarej strefy hotelowo-burdelowej lat 90. III RP i nie zająknąć się na temat postesbeckich układów – to niemożliwe, a jednak zostało zrobione.

Reżyser i scenarzysta wkładają wielki wysiłek w to, by opowiedzieć nam o Polsce prowincjonalnej, obrzydliwej, z krzyżem w tle. Ta narracja powstała gdzieś głęboko w bańce, w której nagrodzona ostatnio „Zielona granica" jest traktowana jako film niemal dokumentalny. Użyć skrótu IPN to w tej fabryce fałszu jak splunąć, a prokuratorami z Warszawy rządzą demony patriotyzmu. Dlaczego oglądając, mamy wrażenie, że czytamy „Wyborczą"? Dlaczego twórcy sobie to robią? Dlaczego przyjęli punkt widzenia Stefana Michnika? W jakim celu próbują udowodnić, że polska pamięć i tożsamość to zło? Odpowiedź jest prosta. Jeśli pokażemy, że ofiara jest winna zbrodni, to nasze matki i nasi ojcowie z UB nie są oprawcami.

Robert Tekieli,
Polskie Radio

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

„Gorzkie Żale 1707" (książka + CD), Dębogóra 2014

Polska droga do nieba

Trwa czas wielkopostny, a w polskich kościołach śpiewa się Gorzkie Żale. To prawdziwe arcydzieło naszej poezji mistycznej. Ta tradycja pasyjna, praktykowana na naszych ziemiach od ok. 300 lat, jest właściwie nabożeństwem paraliturgicznym, wywodzącym się raczej ze zwyczajów ludowych. Jak tłumaczy prof. Jacek Kowalski, który w tonie gawędy, a zarazem wykładu przygotował tę edycję, „to mistyczny rumak, na którym polska dusza ulatywała i wciąż ulatuje do nieba, bo Gorzkie Żale to oryginalnie polska droga do nieba". Niestety, jak dotąd nie doczekała się analizy naukowej i krytycznej. Dlatego przedruk ich pierwszego wydania z 1707 r. jest rzeczą niezwykłą. Ich autorem był prawdopodobnie ks. Wawrzyniec Stanisław Benik, poeta i proboszcz mławski. Publikacja zawiera reprint pierwodruku i jego współczesną transkrypcję, w sam raz do wykorzystania podczas nabożeństwa. Jest to także ciekawy przewodnik po pobożności i kulturze staropolskiej.

Do pozycji została również dołączona płyta z nagraniem nabożeństwa w interpretacji zespołu Liquescentes. Kobiecemu śpiewowi chorałowemu wtórują tradycyjne i historyczne instrumenty, wprowadzając w samą istotę nabożeństwa, będącego rozważaniem tajemnic Męki Pańskiej. Zespół kontynuuje dziś działalność pod szyldem Cantus Solemnis. Specjalizował się w wykonywaniu i propagowaniu chorału gregoriańskiego, zarówno w ramach liturgii, jak i samodzielnych koncertów w kraju i za granicą. Od 2006 r. współpracował z klasztorem o. benedyktynów w Triors, stosując solesmeńską metodę wykonawczą. To istotne zastrzeżenie, przywołujące zjawisko ruchu odnowy śpiewu gregoriańskiego, który powstał pod koniec XIX w. Nosi nazwę słynnego opactwa, założonego w 1837 r. przez Prospera Guérangera, odnowiciela benedyktyńskiego życia zakonnego we Francji. Studiując dawne manuskrypty, wyodrębniono pewne spójne zasady interpretacyjne, według których metoda rytmiczna śpiewu zakłada, że niepodzielna wartość nut tkwi w sylabizowanym i frazowanym tekście chorału. Podstawowe składowe rytmu, wszechobecne w przyrodzie, są, jak ktoś pięknie stwierdził, rodzajem oddechu melodii, co sprzyja kontemplacji. „Gorzkie Żale przybywajcie, Serca nasze przenikajcie".

Maciej Walaszczyk

Szczecin walczący

To ponad 20 szkiców o postaciach szczecińskiej Solidarności oraz głównych wydarzeniach, rozgrywających się tam w latach 1980–1989. Grudniowa rewolta z 1970 r. oraz będący jej kontynuacją strajk pod wodzą Edwarda Bałuki ze stycznia 1971 r. stanowiły dla robotników Szczecina doświadczenie, które bezpośrednio wpłynęło na ich zachowanie dekadę później. Właśnie przy Bałuce, zmuszonym potem przez SB do emigracji, Marian Jurczyk uczył się, jak organizować strajk i nie popełnić błędów z 1970 r., gdy robotnicy wyszli na ulice miasta i padły strzały. Do Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego przybył wtedy świeżo upieczony I sekretarz PZPR Edward Gierek i musiał wysłuchać głośno wyrażanych postulatów robotniczych. Wielki strajk z sierpnia 1980 r. należy do tych niewielu wydarzeń w historii powojennego Szczecina, które odbiły się głośnym echem nie tylko w samym regionie, lecz także w całej Polsce oraz poza jej granicami.

Adam Kubaj, „Solidarny Szczecin", Wydawnictwo LTW 2024

Przekonuje o tym Artur Kubaj, rysując na kilku planach historię ludzi zaangażowanych w działalność tamtejszej „S". Gdy w całym kraju protestowało w szczytowym momencie ponad 700 tys. osób, ponad 160 tys. z nich w samym tylko woj. szczecińskim. W Szczecinie porozumienia podpisano dzień wcześniej niż w Gdańsku, co było potem powodem wielkiej niechęci Wałęsy do Jurczyka. Autor przedstawia też kulisy kryzysu bydgoskiego z marca 1981 r. i rolę, którą w nim odgrywał przywódca szczecińskich robotników. Poznajemy też mniej znanych bohaterów tamtych czasów, m.in. Marię Chmielewską – powstańca warszawskiego, a potem współtwórcę struktury regionalnej „S", prowadzącą ulicami miasta marsz głodowy kobiet pod koniec lipca 1981 r., Mieczysława Lisowskiego, człowieka drugiego planu, więźnia stalinizmu, bez którego trudno sobie wyobrazić powodzenie strajku sierpniowego z 1988 r. w WPKM, Władysława Siłę-Nowickiego, niezwykle zasłużonego dla polskiej opozycji adwokata i doradcę szczecińskiej „S".

Choć sztandar Solidarności sponiewierano i przehandlowano, pozostaje ona kontynuatorką najpiękniejszych polskich tradycji: republikańskiej, patriotycznej i niepodległościowej, stając się też częścią najnowszej historii Pomorza Zachodniego. Regionu, który po upadku komunizmu wciąż poszukuje swojej tożsamości.

eprasa.pl 14f4aa6b19

W obronie etosu polityki

Humanitaryzm, podstawa ideologii lewicy, rozszerza etos rodowy na ludzkość. Zrodzona wraz z nim hiperkrytyczna kultura intelektualna podważa wspólnotę, kulturę i państwo, nie proponując nic w zamian

Skąd w masowej demokracji poczucie niestabilności, rozczarowania polityką? Pod maską nieustannej krytyki obyczajów, instytucji, rodziny i religii, rozpowszechnianej wokół aury podejrzliwości, są skrywane roszczenia do władzy absolutnej. Często niedające się zrealizować utopie. Praca ta jest ostatnim dziełem Arnolda Gehlena, które ukazało się w 1969 r. – w czasach kulturowych zmian, które wstrząsnęły wtedy Europą i USA. Inspirował niemiecką prawicę spod znaku magazynu „Criticon", polemizował i przyjaźnił się z Theodorem Adorno, inspirował Hannę Arendt. Jego koncepcja opiera się na przekonaniu, że człowiek, przychodząc na świat, jest istotą nieprzystosowaną do życia, zdaną na długotrwałą opiekę, autodyscyplinę i obiektywny porządek kultury. Pozbawiony stabilnych instynktów jest zmuszony do opanowywania zalewającej go niezliczonej ilości wrażeń i bodźców. Sztuka życia polega więc na „pośredniej cnotliwości", uśrednionej uczciwości, różnych stopniach obojętności. Taka moralność, ujawniana poniżej progu świadomości, zapewnia mu utrzymanie pokojowej kooperacji z innymi.

W codziennej praktyce z pozornego nieładu naszych nawyków wyłania się więc krucha równowaga kilku powinności: etosu wzajemności jako podstawy stabilizacji, etosu bliskości jako współczucia i instynktownej reakcji na piękno, etosu rodowego jako lojalności i altruizmu oraz etosu instytucji jako zobowiązania wobec wspólnoty, koniecznej dla współżycia i przetrwania. Niestety, dobrobyt cywilizacji industrialnej uwalnia nadmiar sądów wartościujących, wywołując hipertrofię moralności, a więc absolutyzację jednego z nich. Ta radykalizacja ujawnia się w ideologiach polityczno-etycznych o roszczeniach totalitarnych, likwidując umożliwiające życie kompromisy i rutynę, wyzwalając przez to potencjał międzyludzkiej agresji. Zbiorowy resentyment „depolityzuje ludzi od środka" i odwraca uwagę od dobra wspólnego. Współcześnie jest nią skrajny humanitaryzm i egalitaryzm, wyrodzony z etyki rodowej, osłabiający nakaz ochrony państwa i wspólnoty.

„Moralność i hipertrofia moralności" to zatem współczesny „antyRousseau". Jego ostrze jest wymierzone w ideę „wyemancypowanego człowieka", do której odwołują się zarówno liberalne, jak i lewicowe nurty filozofii politycznej. Człowieka wyzwolonego z kulturowego gorsetu, bez którego zagrożone jest „antropologiczne zdrowie" ludzkiego gatunku. Idee równości klas, płci, światopoglądów wywołały lawinę wybujałych roszczeń wobec świata. Równość wkroczyła nawet do sfery wartości witalnych, zarezerwowanych dotąd dla sfery prywatnej. Dostatek, swoboda konsumpcji, opieka zdrowotna stały się kwestiami politycznymi, postrzeganymi przez masy dopiero wtedy, gdy przekładają się na przeżycia codzienności. Nacisk społeczny z czasem traci nad sobą kontrolę, oczekiwania wobec państwa stają się nieograniczone; państwo ma więc zdziałać jak najwięcej, ale jednocześnie powinno w miarę możliwości zniknąć, aby zaoszczędzić obowiązków wyemancypowanym jednostkom. Gehlen rozumiał humanitaryzm jako nieuprawione rozszerzenie etosu rodowego na ludzkość w formie zsekularyzowanej, chrześcijańskiej religii miłosierdzia. Dziś ta utopia wyraża się m.in. we wzywaniu społeczeństwa do udzielania pomocy uchodźcom bez względu na konsekwencje. Pozbawia państwo mocy sprawczej, a politykę zmienia w technikę pozyskiwania masowego szczęścia. Etos pokojowości sprawdza się bowiem w obrębie relacji bliskich, ale natrafiając na twarde granice konieczności, jest zmuszony ustąpić decyzjom racjonalnym, np. organizowaniu społeczeństwa w celu wzmocnienia gotowości wojennej. „Wtedy wymagane są inne cnoty: czujność, dyscyplina, zdecydowanie, by w życiowych planach uwzględniać śmierć" – przekonuje Gehlen.

Arnold Gehlen, „Moralność i hipertrofia moralności. Etyka pluralistyczna", Wydawnictwo Naukowe UMK 2017

Wyjaśnia, że ekspansja m.in. pragnienia pokoju i powszechnego szczęścia nastąpiła już po drugiej wojnie peloponeskiej, a więc po upadku Aten i tradycyjnego patriotyzmu polis. Powróciła w czasach oświecenia. Rozpowszechniane dziś przez lewicowych intelektualistów („konformistów negacji") idee kosmopolityzmu, tolerancji, pacyfizmu, a także ideał samorealizacji, dokonującej się w przestrzeni prywatności, uczyniły masy przedmiotem manipulacji i kontroli. A jak ostrzegał Monteskiusz – równość ujawnia, jak despotyczna może być większość.

eprasa.pl 14f4aa6b19

To w Polsce pokazali mi, jak grać Chopina

*Rozmowa z **Ericem Guo**, zwycięzcą II Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych*

„Polska stała się moim drugim domem" – mówi Eric Guo, kanadyjski pianista, który niespełna pół roku temu wygrał II Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, a kilka dni temu znów gościł w naszym kraju, występując w Filharmonii Narodowej z okazji 214. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina.

Eric Guo gra na fortepianie od czwartego roku życia. Wciąż studiuje, obecnie w klasie Davida Louie'ego w Szkole im. Glenna Goulda przy Królewskim Konserwatorium Muzycznym w Toronto. Na swoim koncie ma liczne sukcesy w międzynarodowych konkursach dla młodych talentów, próbował także swoich sił w XVIII Konkursie Chopinowskim w 2021 r., ale wówczas nie przeszedł I etapu. Największym sukcesem w jego dotychczasowej karierze z pewnością jest wygrana w Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim na Instrumentach Historycznych.

Jak to się dzieje, że czterolatek zaczyna grać muzykę klasyczną? Większość dzieci ma raczej inne gusta, bardziej interesuje je współczesna popkultura, a dopiero później, w dojrzalszym wieku są w stanie docenić piękno dzieł Chopina, Mozarta czy Beethovena. Jak było z tobą? Czy to rodzice zmuszali cię do gry?

Eric Guo: Nie, rodzice nigdy mnie nie zmuszali. Początkowo po prostu mieliśmy w domu różne zabawki, które wydawały dźwięki, wśród nich małe zabawkowe pianina. Zawsze lubiłem ich dźwięki, było to miłe dla ucha, więc siłą rzeczy bawiłem się nimi i grałem na nich, poznając nuty. W tym czasie moja mama pożyczała z bibliotek wiele płyt z muzyką klasyczną. Słuchałem wówczas głównie symfonii, lecz także innych utworów i szybko odkryłem, że klasyka jest czymś, do czego mam ogromną pasję. Zacząłem grać w wieku czterech lat, ale to było tylko dla zabawy, nie na serio. Wtedy skupiałem się bardziej na sporcie, zabawkowe pianino było odskocznią, hobby dla uspokojenia, ponieważ jestem bardzo aktywną osobą i takie wyciszenie przy instrumencie było bardzo wskazane. Później mama kupiła prawdziwe pianino i zacząłem grać, choć wciąż jedynie dla zabawy. Im dłużej

Fot. Wojciech Grzędziński/NIFC

eprasa.pl 14f4aa6b19

to jednak trwało, tym poważniej to traktowałem, a pasja nie tylko się nie kończyła, lecz rosła.

Jak to się stało, że akurat Chopin stał się twoim ulubionym kompozytorem?

Cóż, uwielbiałem utwory Chopina od wczesnego dzieciństwa. Pierwszy utwór, który znałem tylko z lektury nut, to słynny Nokturn Es-dur op. 9 nr 2. Mój nauczyciel widział, że jest on dla mnie szczególnie ważny i że mam talent do muzyki. Zapytał, dlaczego lubię Chopina, a ja nie znając wtedy wielu odpowiednich słów, odpowiedziałem, tak jak umiałem – że muzyka Chopina jest romantyczna. Moja mama zmartwiła się wówczas, że nauczyciel nie będzie chciał mnie uczyć, ponieważ nie znałem dobrze utworu, który wskazałem jako swój ulubiony. Potrafiłem tylko przeczytać nuty, ale nie ćwiczyłem go. Dziś znam ok. 70 procent utworów Chopina i mam nadzieję nauczyć się wszystkich.

Co czujesz, gdy grasz Chopina? To wspaniała muzyka, jest bardzo uniwersalna i porywa ludzi na całym świecie, ale Polacy zazwyczaj w każdej nucie czują tęsknotę kompozytora za ojczyzną, słuchając, widzą mazowieckie równiny, poprzecinane rzędami wierzb. Pamiętamy też imponujące wykonanie etiudy rewolucyjnej na Konkursie Chopinowskim w 1985 r. przez rosyjskiego pianistę Stanisława Bunina, który z pasją zagrał utwór, napisany przez Chopina na wieść o zajęciu Warszawy przez Rosjan...

Rzeczywiście to dobry przykład tego, że muzyka jest uniwersalna i przekracza wszelkie granice. Możesz być częścią jakiejś kultury, ale z powodzeniem grać muzykę innej. Muzyka przekracza wszelkie granice polityczne i społeczne. Może powiedzieć wiele rzeczy, niezależnie od tego, kim jesteś. Nie trzeba znać wielu języków, gdy twoim językiem jest muzyka. Natomiast zawsze warto znać historię kraju, z którego ona pochodzi, to wpływa na jakość wykonywania. Dlatego grając Chopina, staram się być w Polsce jak najczęściej, byłem już chyba z 10 razy i mogę powiedzieć, że Polska jest moim drugim domem. Zawsze dzieje się to za pośrednictwem Instytutu Chopina, za co jestem niezmiernie wdzięczny. Jeszcze przed 2021 r., kiedy wziąłem udział w Konkursie Chopinowskim, nie wiedziałem o Narodowym Instytucie Fryderyka Chopina prawie niczego, nie wiedziałem również o istnieniu Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych. Jestem szczęściarzem, że wziąłem udział w tym konkursie w 2021 r. Nie miałem pojęcia, że moja współpraca z Instytutem będzie trwała tak długo. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina organizuje klasy mistrzowskie z udziałem wspaniałych profesorów i nauczycieli. To oni nauczyli mnie tego, jak prawdziwi specjaliści chopinowscy grają utwory Chopina. Jestem bardzo wdzięczny za możliwość rozwoju, którą dostałem tu, w Polsce.

Pytanie, które pewnie słyszysz najczęściej – czym różnią się fortepiany używane dziś od fortepianów historycznych?

Oczywiście zacząłem grać na współczesnym fortepianie. Tak naprawdę dalej przyzwyczajam się do fortepianów z epoki i zawsze odkrywam coś nowego, kiedy na nich gram. Te współczesne mają mocny dźwięk, mocniejszy niż fortepiany z epoki, ale historyczne instrumenty też mogą mieć moc, jednak w innym znaczeniu. Są bardziej zniuansowane, mają więcej barw. Nie słychać tego, kiedy gra się jedynie na współczesnym fortepianie. Pleyel [producent fortepianów – przyp. red.] był ulubionym fortepianem Chopina, ponieważ w tych instrumentach jest coś specjalnego i moim zdaniem pasował on do muzyki, którą Chopin grał i tworzył. Powinniśmy grać na instrumentach z epoki, ponieważ w ten sposób możemy lepiej zrozumieć muzykę danego kompozytora.

Wygrałeś II Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, choć przygotowywałeś się do niego na instrumentach współczesnych.

Tak, w Kanadzie nie mamy instrumentów z epoki. Tym bardziej jestem wdzięczny, że mogę ćwiczyć na takich fortepianach w Polsce. Nie spodziewałem się, że wygram konkurs. Nie ćwiczyłem tyle co inni, byłem młodszy. Codziennie muszę się uczyć i ćwiczyć, a zwykle nie robię tego tak długo, jak powinienem. Najlepiej by było, gdybym ćwiczył osiem godzin dziennie, ale gdy jestem w podróżach koncertowych, poświęcam na to czasem tylko dwie, trzy godziny. Warto także pamiętać, że pianiści muszą dbać o kondycję – wykonanie długiego koncertu naprawdę wymaga dobrej kondycji.

Laikowi takiemu jak ja mogłoby się wydawać, że skoro wygrałeś Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, osiągnąłeś już maksimum swoich możliwości, jesteś już tak dobry, że nie potrzebujesz aż tyle ćwiczyć, w twojej grze nie ma już niczego, co mógłbyś jeszcze poprawić.

O, nie, jest mnóstwo rzeczy do poprawy. Zawsze powinniśmy być pokorni, jeżeli chodzi o nasze umiejętności. Zawsze jest czas na naukę, zawsze znajduję miejsca w utworze, które powinienem opanować w lepszym stopniu. Koncert ma zupełnie inny charakter niż ćwiczenie przed nim, to stres i nerwy. Im dłużej gram na scenie, tym bardziej się do tego przyzwyczajam. Zawsze daję z siebie tyle, ile mogę, wszystko co najlepsze, a mimo to zawsze czuję, że jest mnóstwo rzeczy do poprawy, nawet jeśli ludzie mówią, że był to świetny koncert.

* * *

To, że w Polsce możemy regularnie słuchać gry tak utalentowanych pianistów jak Eric Guo jest zasługą znakomitego rozeznania specjalistów z Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina w Warszawie. Eric przyznaje, że dzięki szeroko zakrojonym działaniom edukacyjnym i promocyjnym, realizowanym przez NIFC, zyskał nie tylko wiedzę na temat najważniejszych wydarzeń chopinowskich w Polsce, lecz także możliwość rozwoju jako artysta. Prowadzone na tak wielką skalę działania NIFC są możliwe m.in. dzięki wsparciu ORLEN, największego mecenasa kultury wysokiej w naszym kraju.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 29/0124/F

eprasa.pl 14f4aa6b19

Będziemy biedni, ale za to z czystym powietrzem

W 2030 r. co dziewiąty odbiorca energii w Polsce nie poradzi sobie z opłaceniem rachunków za prąd i ciepło, bo nie będzie go na to stać. Tak uważa Ministerstwo Klimatu i Środowiska, prognozując oficjalnie skalę ubóstwa energetycznego na poziomie 11 proc.

„Mamy 14 mln liczników prądu w kraju, za każdym stoi rodzina, małżeństwo lub osoba samotna. Jeśli 11 proc. z nich nie będzie w stanie poradzić sobie z zapłaceniem rachunków i będą musieli zwrócić się o pomoc do państwa, to znaczy, że kilka milionów ludzi na koniec wieku będzie po prostu żyć w biedzie" – komentuje prognozy prof. Władysław Mielczarski, ekspert ds. energetyki.

Resort podał informacje o skali ubóstwa energetycznego w przesłanym do Brukseli kilka dni temu Krajowym Planie na Rzecz Energii i Klimatu do 2030 r. (KP), który wyznacza nam wszystkim – nie tylko energetyce, przemysłowi, lecz także każdemu obywatelowi – zadania i cele służące walce z globalnym ociepleniem, czyli transformacji energetycznej. To zestaw działań, rozwiązań i zamierzeń, dzięki którym nasz kraj tak jak inni członkowie Unii Europejskiej przyczyni się do obniżenia emisji gazów cieplarnianych i to jeszcze w tej dekadzie.

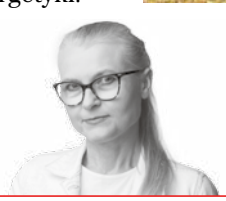

AGNIESZKA ŁAKOMA

BĘDZIE DROŻEJ I GORZEJ

W dokumentach przesłanych do Brukseli czytamy, że „transformacja, szczególnie w okresie przejściowym, może skutkować wzrostem cen energii". Dlatego według ministerstwa „konieczne jest zabezpieczenie grup społecznych najbardziej narażonych na ubóstwo energetyczne". Natomiast „prognozy wskazują, że Polska może ustabilizować skalę ubóstwa energetycznego na poziomie nie wyższym niż 11 proc. w 2030 r. oraz nie wyższym niż 7 proc. w 2040 r.". Skoro ministerstwo pisze o „ustabilizowaniu", to może oznaczać, że jeszcze w tej dekadzie osób mających problemy z zapłaceniem rachunków będzie więcej niż 11 proc.

Prof. Mielczarski przypomina, że ubóstwa energetycznego nie da się oddzielić od ubóstwa w ogóle, a odbiorca przestaje płacić za prąd, gdy po prostu nie wystarcza mu pieniędzy i musi wybrać – jedzenie albo rachunki.

„Transformacja nie wywoła jedynie wzrostu cen energii, ale przez to podrożeją towary i usługi, jak również doprowadzi do ograniczenia działalności biznesowej. Jeśli firmy zaczną się zamykać, spadnie zatrudnienie, więc ludzie stracą pracę i dlatego nastąpi ogólne zubożenie społeczeństwa" – dodaje ekspert.

Zdaniem prof. Mielczarskiego prognozy ministerstwa są optymistyczne i ostrożne, bo skala ubóstwa energetycznego może realnie sięgnąć 25 proc. W KP czytamy, że „z jednej strony wykorzystanie paliw kopalnych obciążane jest dodatkowymi opłatami, z drugiej strony – nowe technologie wymagają wsparcia, a funkcjonowanie odnawialnych źródeł energii oraz źródeł rezerwowych i bilansujących również zwiększa koszty dostarczenia energii".

AMBICJE POZA REALIAMI

Mimo to polskie ministerstwo, które reprezentuje w tym przypadku cały rząd, zaproponowało bardzo ambitne cele do wykonania dla nas wszystkich. W opinii prof. Mielczar-

eprasa.pl 14f4aa6b19

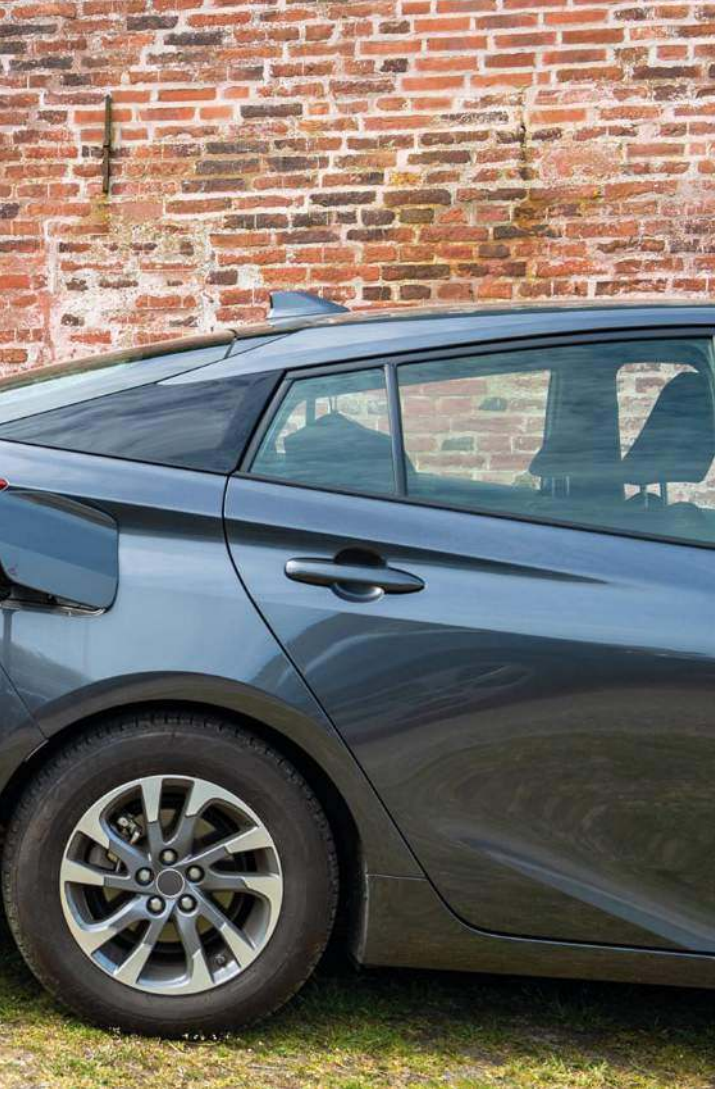

Fot. Shutterstock

skiego są one jednak nierealistyczne, zwłaszcza jeśli chodzi o rozwój właśnie źródeł odnawialnych i ograniczenie emisji CO_2. I to nie tylko w elektroenergetyce oraz przemyśle, lecz także w transporcie. Sektor energetyczny ma przed sobą wyjątkowo trudne zadanie – niemal podwojenia produkcji zielonej energii, skoro ma ona stanowić 50 proc. w 2030 r. Obecnie OZE dostarcza 27 proc., ale w tej puli farmy wiatrowe i słoneczne to 19 proc. energii.

Z dokumentu nie dowiemy się, ile to wszystko będzie nas kosztować, bo KE nie oczekuje takich wyliczeń. Prof. Mielczarski przypomina, że „te wszystkie projekty inwestycyjne są bardzo kosztowne", liczone w setkach miliardów złotych, zresztą tak samo kosztowne jak – z punktu widzenia społecznego – zamknięcie kopalń i wyłączanie starych elektrowni węglowych. A fundusze unijne i programy pomocowe wszystkiego nie zrekompensują. Dlatego w jego opinii „próba osiągnięcia wpisanych do KP celów spowoduje zubożenie całego społeczeństwa".

Temat wydatków na politykę klimatyczną jest często pomijany, co nie stanowi zaskoczenia. W końcu nawet unijni komisarze z przewodniczącą Ursulą von der Leyen na czele niechętnie mówią o kosztach zielonych przemian, bo łatwiej opowiadać o korzyściach. Najwyraźniej podobnie zamierza czynić polski rząd, o czym kilka dni temu w wywiadzie radiowym mówiła wiceminister klimatu i środowiska Urszula Zielińska. Niektóre instytucje podają tylko ogólne wyliczenia nakładów inwestycyjnych – np. 1,5 bln euro rocznie w całej Europie w perspektywie 19 lat od 2031 r.

Obecny KP jest bardziej ambitny, gdy chodzi o te główne cele od opracowanego w 2019 r. Ale też Bruksela ma większe oczekiwania. Po napaści Rosji na Ukrainę unijni decydenci z dominującymi w europarlamencie ugrupowaniami, jak choćby EPL (z udziałem PSL i Platformy Obywatelskiej) czy Frakcja Odnowić Europę (ugoszczona w ub.r. przez Polskę 2050 Szymona Hołowni w Warszawie) na czele, postawili na przyspieszenie polityki klimatycznej. Unia Europejska chce być kontynentem bezemisyjnym w 2050 r.

Ciekawostką jest to, że tekst Krajowego Planu udostępniła Komisja, a nie Ministerstwo Klimatu i Środowiska odpowiedzialne za opracowanie dokumentu. Wyszło więc na to, że „Bruksela wie, a my nie". Być może właśnie dlatego, by informacje o ambitnych celach i „planowanej biedzie" nie przedostały się do opinii publicznej, szczególnie że za miesiąc wybory samorządowe, a w czerwcu wybory do europarlamentu.

ELEKTRYK I POMPA CIEPŁA NIEMAL W KAŻDYM DOMU

Krajowy Plan liczy 120 stron, a do tego są jeszcze załączniki, więc nie sposób omówić całości. Ale wśród wielu kwestii odnoszących się bezpośrednio do każdego Polaka są także wyjątkowo optymistyczne prognozy zarówno jeśli chodzi o rozwój elektromobilności w Polsce, jak i instalację ekoogrzewania.

Według rządowych prognoz za sześć lat Polacy będą mieć 870 tys. takich aut. Oznacza to absolutny – bo kilkunastokrotny – skok sprzedaży w porównaniu ze stanem obecnym. Teraz po naszych drogach jeździ ok. 50 tys. aut z wtyczką. Na dodatek prognozy rządu wskazują, że w przyszłym roku ta liczba ma ulec pięciokrotnemu zwiększeniu – do blisko 250 tys. To tym bardziej zaskakujące, że w kraju nie tylko nie ma odpowiednich możliwości, aby ładować tyle samochodów osobowych, lecz także cena raczej zniechęca, niż zachęca do ich nabycia.

O planie wprowadzenia przymusu instalacji ekologicznych źródeł ciepła w ramach unijnej polityki klimatycznej wiadomo od dawna, a odpowiednie przepisy w tej sprawie lada moment zatwierdzi Parlament Europejski. I nie chodzi jedynie o nakaz termomodernizacji budynków oraz domów, czyli docieplenia, wymiany okien na szczelniejsze, lecz także o wyrzucenie pieców na paliwa stałe, czyli węglowych i na olej opałowy. Planowana jest też redukcja pieców na gaz, choć to znacznie mniej emisyjne paliwo, jeszcze niedawno określane jako przejściowe, ułatwiające drogę do niższej emisji CO_2.

W zamian mają być powszechnie montowane panele słoneczne i pompy ciepła. W KP czytamy, że „w 2025 r. w budynkach mieszkalnych w Polsce może funkcjonować ok. 1 mln pomp ciepła (w większości typu powietrze–woda)", a w 2030 r. nawet 2 mln.

Biorąc pod uwagę fakt, że ubiegły rok był kiepski dla branży pomp ciepła, bo spadek instalacji sięgnął niemal 40 proc., a w przypadku najpopularniejszych urządzeń (powietrze–woda) sprzedaż wyniosła ok. 110 tys., to obecny i przyszły rok musiałyby być rekordowe pod względem popytu – zwyczajnie trzeba go podwoić, by prognozy stały się faktem.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Czołowy zawodnik motorowodnej Formuły 1 Bartłomiej Marszałek walczy o życie córki

Nie zostawiajmy mistrza sportu samego w potrzebie!

Nasz reprezentant w motorowodnej Formule 1 Bartłomiej Marszałek to twardy facet, syn legendy motorowodniactwa Waldemara i brat zmarłego przedwcześnie w 2007 r. Bernarda, znakomicie zapoczątkował kolejny sezon cyklu F1H20 w Indonezji, zajmując drugie miejsce w wyścigu sprinterskim i piąte w niedzielnym Grand Prix, dzięki czemu uplasował się na czwartej pozycji w klasyfikacji generalnej. Ale dziś najważniejsze zmagania zawodnika ORLEN Teamu nie toczą się na wodzie. Walkę o życie swojej córki Malwiny sportowiec prowadzi 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu – na lądzie i w powietrzu

Każdy rodzic dziecka chorego na rzadką chorobę nigdy nie zapomni dnia diagnozy. To chwila, która dosłownie wywraca życie, przewartościowuje wszystko. Wszystkie sprawy, które nas wcześniej irytowały czy emocjonowały, stają się niewarte uwagi, wszystkie najkrótsze chwile bez bólu i cierpienia dziecka są jak przedsionki raju.

„Zespół Retta – tak brzmi diagnoza, którą pewnie poznalibyśmy znacznie później, gdyby nie ogromny instynkt macierzyński mojej żony. Ta pewność, że coś jest nie tak – mimo uspokajających słów lekarzy – skłoniła nas do wykonania na własną rękę dokładnych badań genetycznych. I wtedy poznaliśmy wyrok... Zespół Retta sprawia, że dziewczynki stają się »żywymi lalkami«. Niektórzy zwą je »milczące anioły«. Nie cierpię tych określeń, boli mnie serce, gdy je słyszę, ale one opisują, co dzieje się z dziećmi, które nie zdążyły otrzymać leczenia... Ale to, że nie chodzą i nie mówią, nie nawiązują kontaktu, to tylko mniejsze z problemów. Dodatkowo bardzo osłabiony jest układ immunologiczny. Problemy z oddychaniem, ze wszystkimi organami po kolei, niszcząca padaczka, stan zapalny mózgu... Straszny los dla niewinnego dziecka!" – to fragment poruszającego opisu choroby, który Bartłomiej Marszałek opublikował na stronie Fundacji Siepomaga, z której pomocy musi korzystać, by ratować życie córki. A ratunek jest możliwy.

„W marcu 2023 r. w USA pojawił się pierwszy na świecie lek powstrzymujący rozwój tej choroby. Wcześniej nie było żadnej szansy na to, by pomóc dotkniętym nią dzieciom. Teraz jest syrop, którego tygodniowa dawka kosztuje ok. 10,3 tys. dol. Niestety aktualnie jest on dystrybuowany jedynie na terenie USA i stamtąd osobiście go przywożę. Dlaczego nie polegam na dostawach kurierskich? Ponieważ lek ten zachowuje swoje właściwości w wąskim przedziale od 4 do 8 st. C, chcę mieć zatem absolutną pewność, że po drodze nikt nie zaniedba tego wymogu. W USA mam znajomych, do których lek jest dostarczany i przechowywany przez nich w lodówce. Lecę do nich ze specjalną przenośną lodóweczką, odbieram. W samolocie do Polski korzystam z uprzejmości załogi, która na czas lotu przechowuje dla mnie butelki z syropem w samolotowej lodówce" – relacjonuje Bartłomiej Marszałek.

Artykuł sponsorowany, partnerem jest ORLEN | 26/0124/F

eprasa.pl 14f4aa6b19

Malwina dobrze zareagowała na specyfik, a ponieważ dostaje go już od pięciu miesięcy, łatwo policzyć, że dotychczasowa terapia kosztowała ponad 1 mln zł. Plan jest taki, by dziewczynka brała syrop do ok. 4. roku życia, a później... jak pisze Bartłomiej Marszałek na Siepomaga.pl pojawiło się nawet nie światełko, a prawdziwe światło w tunelu pod postacią nowatorskiej terapii genowej.

„Terapia genowa jest już w bardzo zaawansowanym stadium badań i wkrótce spodziewamy się, że będzie dostępna w USA. W tym momencie lek jest już podawany testowo dziewczynkom w Stanach Zjednoczonych, a efekty są zdumiewające. Wyselekcjonowany gen, dostarczany do płynu mózgowo-rdzeniowego za pośrednictwem odpowiedniego wirusa, zastępuje ten wadliwy, co całkowicie zatrzymuje postęp zespołu Retta. Szacunkowy koszt terapii genowej będzie oscylował jednak w okolicach 3 mln dol." – czytamy na www.siepomaga.pl/malwina-marszalek.

Bartłomiej Marszałek sam wielokrotnie brał udział w akcjach charytatywnych i wspierał chore dzieci. Dziś czuje jak dobro, które kiedyś komuś ofiarował, wraca do niego i naprawdę nie jest to żaden pusty slogan.

„Co roku angażowałem się w różne inicjatywy charytatywne, woziłem na przykład swoją łódką F1 zwycięzców licytacji zasilających fundację na chore dzieci. Co roku było kilkanaście czy kilkadziesiąt nawet takich licytowanych voucherów, natomiast nigdy nie spodziewałem się oczywiście, że sam znajdę się po tej drugiej stronie. Ale dobro wraca. M.in. rodzice jednego chłopca – śp. Tymka, który jeszcze we wrześniu pływał ze mną łódką i już niestety zmarł – postanowili przekazać mi wszystkie pieniądze, które były zbierane na leczenie Tymka, na terapię Malwinki. To coś niesamowicie wzruszającego. Z drugiej strony zdaję też sobie sprawę, że jako osoba mająca dostęp do mediów, mogąca poruszyć na przykład świat sportu czy skorzystać chociażby ze wsparcia medialnego ORLEN, jestem w uprzywilejowanej sytuacji względem wielu rodziców chorych dzieci. Wcześniej zawsze starałem się chronić swoją prywatność, nie lubiłem przedstawiać swojego życia w internecie, zapraszać mediów do swojego domu. Teraz muszę się przełamać, trochę obnażyć, muszę po prostu robić wszystko co się da, by wygrać walkę o zdrowie i życie mojej córeczki. Nadzieja, że nam się uda jest obecnie czymś, co utrzymuje mnie przy życiu" – mówi sportowiec.

Bartłomiej Marszałek szacuje, że w Polsce żyje ok. 500 dzieci ze zdiagnozowanym zespołem Retta. W tym wypadku ważne jest słowo „zdiagnozowanym", bo samo przeprowadzenie badań pozwalających wykryć taką chorobę to koszt kilkunastu tysięcy złotych i zazwyczaj nie odbywa się w Polsce, gdzie lekarze rzadko widzą potrzebę pogłębionej, bardzo kosztownej diagnozy w kierunku podejrzeń choroby genetycznej w przypadku niepokojących objawów.

Obecnie Malwina jest najmłodszym dzieckiem na świecie, które amerykańscy lekarze zakwalifikowali do podawania drogocennego syropu.

„W Stanach dzieci dostają ten syrop dopiero od drugiego roku życia, a Malwinka zaczęła go brać, gdy miała półtora roku i to też jest duży plus, bo pół roku uratowaliśmy z tego czasu, kiedy stan dziecka się mocno pogarsza. Natomiast to nie jest tak, że lek ten jest niebezpieczny dla młodszych dzieci, wynika to po prostu z badań klinicznych, dotąd brakowało w USA tak młodych pacjentów. Tak że Amerykanie też nam kibicują w tej terapii i sami są bardzo ciekawi jej efektów u tak małego dziecka" – mówi Bartłomiej Marszałek.

Bartłomiej Marszałek ściga się zazwyczaj na akwenach oddalonych wiele tysięcy kilometrów od Polski. Kolejne zawody z cyklu F1H2O odbędą się za dwa tygodnie w Wietnamie. Dlatego zawodnik ORLEN Teamu często umyka uwadze tych polskich kibiców, którzy śledzą jedynie najbardziej popularne medialne wydarzenia.

„Bardzo bym nie chciał, by ktoś odniósł wrażenie, że oto facet ściga się tam jakąś łódką w ciepłych krajach, a tu sobie zbiera od ludzi na leczenie dziecka. Proszę mi wierzyć, że po prostu robię, co mogę cały czas, że wydaliśmy już wszystkie pieniądze na jej terapię i że dobrze wiem, że bez wsparcia z zewnątrz po prostu sobie nie poradzimy. Aktualnie wszystko co robię, robię dla mojej córki. Gdy startuję, staram się na te kilkadziesiąt minut zapomnieć o jej chorobie, ale wiem już, że tak się nie da. Staram się po prostu walczyć dla niej, ale nie używam Malwinki jako motywatora, tylko to ja chcę być dla niej, chcę by czuła i wiedziała, że ma tatę, ma mamę, którzy zrobią dla niej absolutnie wszystko, co tylko możliwe, by ją uratować. Naprawdę nieważne, czy myję akurat zęby, czy prowadzę bolid motorowodnej Formuły 1, cały czas myślę o córce. I wiem już, że nie uśmiechnę się, dopóki nie wygramy walki z tą chorobą" – mówi sportowiec i apeluje do wszystkich: „Cieszmy się w życiu z naprawdę małych rzeczy. Często ludzie u których wszystko dobrze się układa, nie potrafią docenić detali takich jak choćby to, że dziecko powie do ciebie »tata« czy że możesz iść z nim za rękę po zielonej trawie albo popatrzeć na ładne niebo. Dla mnie takie chwile to są teraz marzenia do zdobycia i tym bardziej widzę i rozumiem, jak należy doceniać właśnie takie momenty, jak należy je chwytać i się nimi cieszyć".

„Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł jako osoba jakoś tam znana zaangażować się w walkę na rzecz refundacji leków na zespół Retta" – dodaje tata Malwiny.

Każda osoba, która chciałaby wesprzeć Bartłomieja Marszałka i jego żonę w bardzo kosztownej walce o życie córki, może to zrobić przez Fundację Siepomaga na stronie **siepomaga.pl/malwina-marszalek**

Fot. Materiały prasowe, archiwum prywatne

eprasa.pl 14f4aa6b19

DARIUSZ WIETESKA AKTOR

Tu też jest bardzo ładnie

Miałem okazję udzielać pierwszej pomocy w realnym świecie – uciskać klatkę piersiową. I było to zupełnie coś innego niż w serialu „Na sygnale". Poziom adrenaliny od razu skoczył, a poczucie odpowiedzialności było ogromne, bo przecież reanimowany nie wstanie, nie zacznie się z nami śmiać po skończonym ujęciu.

Na szczęście w tamtych okolicznościach po pięciu minutach przyjechało prawdziwe pogotowie. Wszystko działo się podczas wakacyjnego odpoczynku w Rzymie. Poszkodowany był chyba Koreańczykiem. Włoscy ratownicy reanimowali go jeszcze przez 15 min. Stałem obok i docierało do mnie, że nie jesteśmy w stanie zrobić nic więcej.

Zabrali człowieka na sygnale. Nie wiem, co się dalej stało, czy przeżył, ale być może uratowałem mu życie. Głównie dzięki serialowi, w którym już od 10 lat gram ratownika medycznego Piotra Strzeleckiego. Gdyby nie to, pewnie nie miałbym tyle odwagi. Serial jest realizowany w Warszawie i okolicach. Autentyczne miejsca bardzo często łączą się w naszej pamięci ze scenami, które w nich kręciliśmy. Albo wchodzimy do jakichś mieszkań bądź domów w różnych częściach Warszawy i okazuje się, że byliśmy w tym miejscu rok, dwa czy trzy lata temu. Poza tym często zaczepiają nas ludzie na ulicy, by pogratulować serialu albo zapytać, z przymrużeniem oka, o tę przysłowiową receptę. Zawsze są to miłe kontakty.

Doskonale pamiętam wyjątkowy odcinek, realizowany kilka lat temu, 1 sierpnia o godz. 17. Kamera znajdowała się na wieży widokowej, my staliśmy w karetce wśród tysięcy ludzi, którzy się zatrzymali, by upamiętnić godzinę „W". Dla nas, aktorów, to było poruszające doświadczenie, bo odgrywaliśmy swoje sceny i jednocześnie przeżywaliśmy z ludźmi wokół rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Dobrze, że taki odcinek powstał, scenarzyści na to wpadli, że realizacyjnie udało się to przeprowadzić i nakręcić w wyjątkowym miejscu, jakim jest warszawska Starówka.

Pochodzę z małej miejscowości Gortatowice. Jeśli ktoś pyta o nazwę w urzędzie, to przywołuję postać Marcina Gortata, naszego słynnego koszykarza z NBA i nikt się nie pomyli.

Gortatowice leżą blisko Rawy Mazowieckiej, między Łodzią a Warszawą. To raptem godzina drogi od stolicy. Mam tam swój azyl, dom po dziadkach, który od dawna remontuję. Ponieważ kiedyś było to gospodarstwo, zawsze znajdzie się coś do zrobienia, ale bardzo lubię tam wracać. Mam w Gortatowicach wielu znajomych i dużą rodzinę. Jest się z kim spotkać.

Od jakiegoś czasu odkrywam okolice moich rodzinnych stron, jeżdżąc na rowerze. Wybieram mniejsze miejscowości i ruszam np. w trasę z Gortatowic do Rawy Mazowieckiej, przez Matyldów i Osowice. Lubię wjechać do lasu, w którym, zwłaszcza w rozgrzane letnie dni, aż uderza pachnące iglastymi drzewami powietrze.

Jeżdżąc na rowerze – sam albo z przyjacielem z podstawówki, który też mieszka w Warszawie, ale widujemy się głównie poza miastem, w plenerze – relaksuję się i pracuję nad kondycją, ale przede wszystkim obcuję z naturą. Dwie godziny, 30–40 km to optymalna przejażdżka. Lubię też okolice Pilicy – miejscowości: Łęg, później Inowłódz, w stronę Spały. „Piłem w Spale, spałem w Pile", jak śpiewa Artur Andrus.

Któregoś lata wypoczywałem w Turcji. Kurort był piękny, pozwiedzałem też ciekawe miejsca, ale gdy po prawie tygodniu wróciłem do siebie na wieś, usiadłem przed domem i spojrzałem na rośliny, na wszystko wokół, to pomyślałem: „Kurczę, tu też jest bardzo ładnie".

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 14f4aa6b19

SŁODKO-SŁONY

Żółta rzodkiew

ANNA MONICKA

Pogodowa huśtawka może człowieka wykończyć. W lutym zaczęła się wiosna, ale już w marcu zrobiło się jak w garncu. Żeby się ożywić, nie wystarczy dobra kawa. Trzeba się porządnie rozgrzać od środka. Najwyższy czas znowu sięgnąć po kurkumę.

Kłącze wygląda niepozornie – jak małe robaki. Po zdjęciu skórki ujawnia się szafranowe wnętrze. Smak ma ostry, piekący, co wrażliwszym może zdrętwieć język, nikogo jednak nie namawiam do jedzenia plasterków jak mizerii (chociaż pewnie nie byłby to taki głupi pomysł). Ale kilka zalanych wrzątkiem rano, to co innego – gdy taki napar ostygnie, warto go codziennie popijać na czczo zamiast herbaty. Żółty barwnik – kurkumina – odpowiadający za specyficzny smak i ostrość jest pogromcą wolnych rodników, jednym z najsilniejszych przeciwutleniaczy na świecie. Likwiduje najróżniejsze procesy zapalne, począwszy od śluzówki w ustach przez żołądek, wątrobę, jelita. Hamuje namnażanie wirusów, chroni nas przed nowotworami, degradacją komórek nerwowych, oczyszcza z toksyn, przyspiesza gojenie, zapobiega cukrzycy, zbija zły cholesterol, wspomaga metabolizm.

Ma tylko jedną wadę – w czasie obierania bardzo brudzi palce i plam trudno się pozbyć, dlatego warto kupić gotowy proszek i dodawać go do napojów, rosołu (odrobinę, żeby nie zdominowała smaku), ryżu, makaronu, sosów, koktajli z bananami i cytrusami. Na przeziębienia świetnie pomaga gorące mleko z kurkumą, cynamonem i miodem – wysoka temperatura nie niszczy właściwości tej niezwykłej rośliny. Lepiej wchłania się z tłuszczem, czarnym pieprzem czy chili, więc warto dodawać odrobinę do dressingów, którymi polewamy sałatki ze świeżych warzyw.

Moim odkryciem jest japońska rzodkiew kiszona z kurkumą. Spotyka się ją zazwyczaj w sushi, ale sama jest rewelacyjną, sycącą i orzeźwiającą przekąską. Biały korzeń myjemy, obieramy i szatkujemy na plasterki lub kroimy w słupki. Zalewa składa się ze szklanki wody, trzech czwartych szklanki octu jabłkowego, łyżeczki kurkumy, kilku plasterków imbiru, jednej, dwóch łyżek jasnego miodu i odrobiny soli. Warzywo układamy jak ciasto w słoju i zalewamy tak, żeby płyn przykrywał rzodkiew. Zakręcamy i następnego dnia możemy zaczynać ucztę.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Fenomenalny skowronek

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Andrzej Kruszewicz w swoich świetnych „Ptakach Polski" wspomina, jak oprowadzał szwajcarskiego guru ornitologii, który zasłuchawszy się w śpiew skowronków nad Biebrzą, stwierdził, że jednocześnie słychać aż osiem samców, co w Szwajcarii już się nie zdarza. U nas, dzięki specyfice polskiego rolnictwa, przyjaznego przyrodzie dzięki swoim miedzom, niewielkim polom czy śródpolnym gruszom, zdarza się to wcale często, nie tylko zresztą nad Biebrzą. Skowronki zachowały się w Polsce licznie, wystarczy wyjść w pola przy odpowiedniej pogodzie, najlepiej bezdeszczowej i słonecznej, żeby się o tym przekonać i posłuchać tych ptaków, dających dowody cudownej wytrzymałości – tokujące samce jednocześnie wzbijają się kilkadziesiąt metrów w górę, lecąc bardzo kosztownym energetycznie lotem pionowym i bezustannie śpiewają.

Skowronek polny (*Alauda arvensis*), nazywany też rolakiem, należy do bardzo interesującej grupy gatunków zwierząt, które nie tylko dostosowały się do gospodarki rolnej, lecz także nauczyły się czerpać z niej korzyści, stając się znacznie liczniejsze, niż były w czasach, kiedy pług nie dotknął jeszcze ziemi.

Gniazdo skowronka to mały dołek w ziemi, wyścielony niezobowiązująco splecionymi źdźbłami trawy, samica składa w nim cztery lub pięć nakrapianych, szarożółtych jaj. Skowronki przylatują wcześnie, już w lutym. Mają czas na wyśpiewanie się, zajęcie terytoriów i połączenie w pary. Mają też przygotowany teren do lęgów: rozległą, otwartą przestrzeń pól, na której drapieżnikowi trudno się skryć, a dla małego skowronka natomiast – którego pióra mają barwę dokładnie taką jak rola i który potrafi znieruchomieć, wtapiając się w skiby – pole jest kryjówką idealną. Później zaś wschodzą zboża, wśród których natrafienie na gniazdo jest więcej niż czystym przypadkiem.

Okres lęgowy skowronków przypada od kwietnia do lipca – w sam raz, żeby zdążyć przed poważniejszymi pracami rolnymi, zwłaszcza zbiorami. Dodatkowo pisklęta są zagniazdownikami, czyli opuszczają gniazdo szybko, nie tracąc czasu, aż nauczą się latać – na początek wystarczy, że sprawnie biegają.

Nie rezygnując z mokradeł, te same tereny nauczyła się wykorzystać czajka; oba gatunki można już zresztą spotkać podczas wyprawy na pola.

eprasa.pl 14f4aa6b19

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wobec wątpliwości

www.wojciechreszczynski.pl

Reżimowa telewizja neo-TVP, przejęta siłowo przez ppłk. Bartłomieja Sienkiewicza, w dniu strajku rolników w Warszawie poinformowała o rannych policjantach. Ani słowa o rannych, zaatakowanych demonstrantach. Już to przerabialiśmy za poprzednich rządów Tuska, szczególnie podczas Marszu Niepodległości. Gdyby nie TV Republika, nie zobaczylibyśmy zamaskowanych prowokatorów wyrywających z chodników kostkę brukową. W tym samym czasie szef MSW Marcin Kierwiński mógł grzmieć w Sejmie, jak to policjantów obrzucono kostką brukową.

Społeczeństwo ma uwierzyć, że to rolnicy sprowokowali policję, a jest to możliwe, gdy się dysponuje monopolem medialnym. Dzięki tej przewadze koalicja 13 grudnia przejęła władzę w kraju. Głosowano na Trzecią Drogę, a także na partię Polska Jest Jedna, której lider Rafał Piech twierdził, że ukazała mu się Matka Boska, w co uwierzyli jego wyborcy. Teraz wszyscy doświadczymy „dobrodziejstwa" uśmiechniętej Polski. Ile razy można wierzyć tym samym kłamcom?

Reżim idzie po dalsze zwycięstwa. Na ich drodze Trybunał Konstytucyjny, bo prokuratura tak jak media publiczne jest już spacyfikowana, a potem NBP, wszak Polska ma być częścią strefy euro. I pomyśleć, że PiS, chcąc usprawnić trzecią władzę, dokonując jedynie symbolicznej zmiany w postaci wyboru części sędziów przez parlament, trafiło na beton „nadzwyczajnej kasty" i jej obrońców. Uchwała Sejmu w sprawie TK ma przywrócić stan sprzed zmian, jakie nastąpiły po 2015 r., stąd kwestionuje aż 10 uchwał i ustaw podjętych z „naruszeniem prawa", dotyczących powołania sędziów TK. Równocześnie zapowiedziano uznanie wyroków Trybunału za nieważne, bo obarczone „wadą prawną".

Minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar sprawdza się jako likwidator konstytucyjnego porządku prawnego. Anarchia, którą wprowadził do judykatury i prokuratury w ramach „przywracania państwa prawa", z pewnością zostanie doceniona przez Brukselę. Wyborcy Trzeciej Drogi i inni, którym nie podobało się PiS, będą mogli zagłosować na niego w wyborach do europarlamentu. Tam też przysługuje immunitet, czyli bezkarność nawet wobec złodziei schwytanych na gorącym uczynku. Bodnar, likwidując obecny skład TK (na razie wzywa urzędujących członków Trybunału do dobrowolnych dymisji), będzie mógł nie tylko zameldować w Brukseli, że od teraz polscy sędziowie są już sędziami europejskimi, a nie wyłącznie polskimi, lecz także ucieszy eurokratów zapewnieniem, że wszystkie dotychczasowe wyroki TK są nieważne, w tym ten o wyższości polskiej konstytucji nad prawem UE. Również wyrok w sprawie aborcji uznający przesłankę eugeniczną za sprzeczną z konstytucją RP.

Bodnar to polityk skrajnie lewacki, czemu dał wyraz, sprawując urząd RPO. Dzięki temu uwiarygodnił się jako człowiek traktujący prawo instrumentalnie, zgodnie z oczekiwaniem obecnej oraz europejskiej lewicy. Zagwarantował władzy sądowniczej, że w odróżnieniu od władzy wykonawczej czy ustawodawczej znowu będzie się wybierała sama i jak dawniej będzie miała niczym nieograniczony wpływ na państwo, czyli na nas wszystkich. Chodzi o orzeczenia dotyczące np. długów, darowizn, spadków, rozwodów.

W internecie krąży „zarządzenie" sekretarza sądowego Sądu Apelacyjnego w Warszawie z 4 marca br., w którym jak na dłoni widać konsekwencje radosnej twórczości ministra Bodnara. „Na podstawie art.120 § 1 k.p.k. wobec wątpliwości co do umocowania prokuratora składającego wniosek o przedłużenie tymczasowego aresztowania na okres 12 miesięcy wzywa się prokuratora (tu nazwisko) do uzupełnienia braku formalnego we wniosku poprzez przedłożenie dokumentu potwierdzającego powierzenie funkcji Zastępcy Prokuratora Okręgowego w terminie 7 dni od otrzymania wezwania pod rygorem uznania, że wniosek pochodzi od osoby nieuprawnionej i wobec tego uznania wniosku za bezskuteczny". Przekładając prawniczy tekst na ogólnoludzki, prokurator ma przedstawić dokument, że jest zastępcą prokuratora okręgowego. Jeżeli tego nie zrobi, jego wniosek o przedłużenie aresztowania zostanie uznany za nieistniejący. *Ergo* tymczasowo aresztowany opuści areszt i będzie się cieszył wolnością.

Cytowane tu zarządzenie potwierdza anarchię wywołaną w polskim prawie przez koalicję 13 grudnia rękami Adama Bodnara. Przestępcy, którzy mieli to szczęście i zajmuje się nimi prokuratora, co do którego powołania na tę funkcję są „wątpliwości", mogą się tylko cieszyć. Podważając statut prokuratora, przestępca zyskuje dodatkowego, i to za darmo, obrońcę w postaci ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Adama Bodnara, który podzielił prokuratorów i sędziów na dobrych (czytaj swoich) oraz złych (czytaj pisowskich). Dzięki tej anarchii pogodniej patrzeć w przyszłość może i tak pozostający na wolności pupil Donalda Tuska, jego prawa ręka – Sławomir Nowak. Z pewnością obejmie go słynna doktryna Sławomira Neumanna: „Jak będziesz w Platformie, będę cię bronił, k...a jak niepodległości", potwierdzona geniuszem prawniczym ministra dr. Adama Bodnara.

Autopromocja

eprasa.pl 14f4aa6b19

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Sprawy najważniejsze

„Nie dam nigdy niewieście środka poronnego” (z przysięgi Hipokratesa)

Dominik Zdort

Niedawno miałem zaszczyt uczestniczyć w pewnej dyskusji na zaproszenie Bardzo Ważnej Osoby, w Bardzo Zacnym Gronie. Spotkanie było w formule „off the record”, więc nie będę ujawniać szczegółów i nazwisk.

Pojawił się temat planowanych zmian w przepisach dotyczących aborcji. Pewien znany katolicki publicysta ubolewał, że tak niektórym politykom łatwo przychodzi lekceważenie dzieci nienarodzonych, ich prawa do życia. Że akurat w tej kwestii doznają niepojętego wzmożenia i wykazują nadmierny aktywizm.

Podejrzewam jednak, że to nie jest prywatna obsesja owych polityków. Jeśli premier i szef partii rządzącej domaga się swobody mordowania maluchów noszonych pod sercem przez ich matki, to nie dlatego, że tak uważa (po latach obserwowania go nie wierzę, że ten człowiek ma jakiekolwiek poglądy), lecz ponieważ wyszło mu z badań socjologicznych, iż to się opłaci, przysporzy mu popularności. Że sondaże powiedziały mu, iż Polacy nie traktują życia poczętego tak samo poważnie jak życia dorosłego. Oczywiście jest tu też element złośliwości – skoro poprzednia władza (zastrzeżenie: za pomocą Trybunału Konstytucyjnego, bo na zmianę ustawy zabrakło jej odwagi) poszerzyła ochronę życia, to teraz trzeba się odegrać i ułatwić dokonywanie aborcji, zresztą dla niepoznaki nazywanej ostatnio terminacją ciąży.

Warto przypominać: od odzyskania niepodległości w 1918 r. do 1932 r. (podobnie zresztą, jak w czasach zaborów) w wolnej Polsce obowiązywał ścisły zakaz przerywania ciąży, potem nieco złagodzony i całkiem zniesiony przez Niemców podczas okupacji. W czasach PRL dostęp do aborcji w praktyce był swobodny (można było jej dokonać „ze względu na trudne warunki życiowe kobiety”, czego od końca lat 50. już nie weryfikowano, wystarczało oświadczenie matki).

Po upadku komunizmu zaczęły się konkretne starania o ochronę życia poczętego. Ustawa przyjęta w 1993 r. została nazwana kompromisową. Ograniczała możliwości przerywania ciąży, ale wymieniała kilka przesłanek pozwalających na zabijanie dzieci nienarodzonych.

Kompromis był zgniły. I to nie tylko dlatego, że otwierał furtkę do swobodnej aborcji, lecz także wprost wskazywał, że „owoc żywota” matki nie ma takiej samej wartości jak życie dorosłego. Art. 148 Kodeksu karnego mówił, że za zabójstwo grozi od ośmiu lat więzienia wzwyż i do tego przepisu należało dopisać zabijanie dzieci – z uwzględnieniem zasady „obrony koniecznej”, która gwarantowałaby zwolnienie od kary w sytuacji zagrożenia życia matki. Jednak tego nie uczyniono. Ustawa z 1993 r. mówi o karze tylko do trzech lat więzienia dla osoby dokonującej nielegalnego przerwania ciąży, zaledwie do ośmiu lat za zamordowanie noworodka (!!!), a dzieciobójczynię całkiem uwalnia od odpowiedzialności.

Prawo nie tylko nakazuje, lecz wychowuje społeczeństwo. Niech więc nikt się nie dziwi, że tak łatwo dziś lekceważyć życie tych maluchów.

eprasa.pl 14f4aa6b19

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Chłopi 2024

Aleksander Nalaskowski

Dotąd wygłaszałem wykłady dla studentów, nauczycieli, wychowawców, kadry zarządzającej oświatą, działaczy społecznych czy instruktorów harcerskich, ale dla włościan jeszcze nigdy.

W pewien listopadowy dzień zadzwonił do mnie przedstawiciel Zimowego Forum Klubu Dobrego Rolnika ze Strzelna z zapytaniem, czy bym nie wygłosił wykładu dla tego gremium. Dowiedziałem się wówczas, że ów klub to nie wiejscy działacze, wiejska administracja czy przedstawiciele jakiejś partii, ale najprawdziwsi rolnicy. Prawdziwi włościanie, co to mozolnie orzą, sieją, zbierają. Tamtego listopadowego dnia nikt nie przypuszczał, że mój wykład odbędzie się w czasie gorących strajków chłopskich z ich kulminacją w postaci zablokowania Warszawy.

Klub ma swoją stronę internetową i z niej można było się dowiedzieć, kogo wcześniej zapraszano. Samych specjalistów od najszerzej pojętego rolnictwa.

Mówili już do nich utytułowani fachowcy od gleb, nawozów, hodowli, plantacji, ekonomiki rolnictwa. Z czasem więc narastała we mnie paraliżująca trema. Bo cóż ja mam do powiedzenia pragmatycznym, zapracowanym rolnikom? Zwłaszcza gdy ich sytuacja się pogarsza? Zwłaszcza gdy już nie wierzą w dobrą wolę władzy, która zamiast im pomóc, próbuje ich uciszyć i zmarginalizować? Większość z nich uczestniczy w blokadach, a prawie wszyscy wybrali się 6 marca do Warszawy, aby pokazać tam swój gniew, walczyć za nas wszystkich i także w naszym imieniu. Jeszcze żaden protest w Polsce nie wzbudzał tak powszechnej akceptacji.

Wcześniej ustaliłem temat z inicjatorem spotkania – zmiany w obyczajowości Polaków. W Strzelnie w niewielkiej sali czekało na mnie ponad 20 osób. Z wyjątkiem jednej kobiety sami mężczyźni. Mówiłem prawie dwie godziny i nie widziałem objawów znużenia, niecierpliwości i oczekiwania, abym wreszcie skończył. Same słuchające oczy. Nie musiałem się „zniżać" do ich poziomu, bo żadnej różnicy w poziomach nie było. Nie było też konwenansów. Gdy chcieli, to w trakcie wykładu zadawali pytania, polemizowali, przedstawiali swoje poglądy. Bez akademickiego rytualizowania, tytułomanii i etykiety. Słuchali i mówili prosto, wprost, ale nie prostacko. W polskiej literaturze można znaleźć określenie „chłop filozof" i takich bodaj właśnie spotkałem. Spojrzałem w oczy tym, o których teraz tak głośno. Tym, których próbuje się poniżyć po raz kolejny, którymi „elity" tak naprawdę gardzą. Bo to przecież „wiocha", „kmiecie", „chamy".

W Strzelnie w niewielkiej sali czekało na mnie ponad 20 osób. Z wyjątkiem jednej kobiety sami mężczyźni

Sama idea strzeleńskiego Zimowego Forum Klubu Dobrego Rolnika, działającego pod opieką Towarzystwa Czytelni Ludowych, jest dla mnie nowa i nader zacna. Forum działa od listopada do marca, a więc w okresie, gdy pracy w gospodarstwie jest mniej, rychły zmrok można zagospodarować z pożytkiem dla wiedzy. Spotykają się co dwa tygodnie w gronie 20 i więcej osób. Być może stanowią pewną wąską elitę wśród rolników. I z całą pewnością są w swoim środowisku mniejszością. Ale są. Ileż to już razy nieliczni zmieniali świat.

Na koniec wszyscy po kolei przyszli się pożegnać. Moja nieduża dłoń ginęła w czeluściach ich silnych, ogromnych i spracowanych łapsk. Miałem pewność, że całe wydarzenie miało sens większy niż tylko wieczór autorski czy z gatunku „spotkań z ciekawym człowiekiem". Bo tak naprawdę to pewnie ja więcej się dowiedziałem i nauczyłem od nich niż oni ode mnie.

O strajku generalnym rolników w Warszawie można powiedzieć wszystko, ale nie to, że był nieliczny. Pewnie jak zwykle faktyczna liczba strajkujących była inna niż ta, którą podały oficjalne źródła. Tłum rolników w centrum, setki niewpuszczonych traktorów pod miastem to miara gniewu. Aż dziw bierze, że wobec oszukańczej polityki chłopi zachowali się tak spokojnie, mimo wyraźnych, a niekiedy skutecznych prowokacji ze strony policji.

Patrząc z nieco szerszej perspektywy, trudno się oprzeć wrażeniu, że rolnicy ni mniej, ni więcej, ale nie dosłownie, wołali o wyjście z sowietyzującej się Unii, która złamała wszelkie traktaty, a nade wszystko ideę Europy ojczyzn Roberta Schumana. Unii, która chce nas pozbawić produkcji własnej żywności, prawa do polskich lasów, a w nieodległej perspektywie możliwości samodzielnego decydowania w wielu kluczowych dziedzinach. Ten strajk był tak prawdziwy, jak prawdziwi byli strajkujący ludzie. Jak bardzo różnili się oni od tych wszystkich śliskich i złotoustych Tusków, Bodnarów czy Sienkiewiczów, z którymi nam wszystkim nie po drodze. Jak bardzo boją się oni o swoje stołki i apanaże. Im bardziej się „uśmiechają", tym więcej barierek stawiają. Metalowych, bo te mentalne postawili już dawno.

PS Serdecznie dziękuję Wydawnictwu Biały Kruk za książki, które z przyjemnością rozdałem uczestnikom spotkania w Strzelnie.

eprasa.pl 14f4aa6b19

Michał Korsun prezentuje:
Demokracja z lotu ptaka à la Tusk

Wycinki z przeszłości

„Przewodnik Katolicki" przed świętami Wielkiej Nocy w 1934 r. zauważał: „Z bólem stwierdzić musimy, że w Polsce pewne grupy wypowiedziały walkę wierze Chrystusowej. Nie są to pomysły rodzime, polskie. Były tu ogółowi nieznane, dlatego mają pozory nowości. Z potrzebami i nastrojami duszy polskiej nie mają nic wspólnego. Mimo to zachwala się je jako polską rzeczywistość duchową. Powtarza się zwrot sprzed 150 lat, że postęp przekreślił chrześcijaństwo, że dawna wiara zniszczała, że trzeba tworzyć nową, dostosowaną do dzisiejszego człowieka. Poza tymi frazesami żadnych zgoła dowodów przytoczyć nie umieją, bo też żaden mędrzec nie wykazał sprzeczności między Chrystusem a nauką i postępem. A publikacje polskich wolnomyślicieli i komunistów są drukowanym świadectwem zupełnego nieuctwa religijnego i braku uzdolnień do poważnej oceny chrześcijaństwa na tle społecznego życia. Kościół, głosząc i wprowadzając w czyn naukę Chrystusową, nie lęka się zmian dziejowych".

Słowa ważne, mądre, aktualne do dzisiaj. Na ilustracji, także zaczerpniętej z „Przewodnika Katolickiego", polscy pielgrzymi w Jerozolimie zmierzający do grobu Chrystusa w latach 30. XX w.

(mk)

Pielgrzymi Polacy w drodze do Bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie.

Przy franciszkańskiej sieni

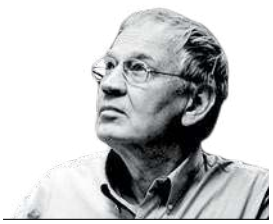

Leszek Długosz

Bóg Ojciec – sławny
Z witraża u Franciszkanów
– Uniesieniem ducha
Zręcznością ludzkiej ręki
W szkło zaklęty –
Jakżeś potężny i wspaniały, Boże
Na tym konterfekcie
(Myślę – i Ty z tej roboty
Jesteś kontenty?)
A tuż przy wejściu obok
– Przy franciszkańskiej sieni
Ot, byle co, przy murze krzaczek
Zielone ladaco, co to się nawet
Nie zna jego nazwy?
I tylko – chwili
Łaski może takiej trzeba
Żeby go tak z o b a c z y ć?
– Gdy tuż po deszczu
W kwietniowej smudze światła
Dwa albo trzy tysiące zielonego drobiazgu
– Liści, listeczków jeszcze
Więc dwa albo trzy tysiące (bo na każdym)
Wodnych brylantów (brylancików, dokładnie)
W nieziemskich blaskach
Jak to k o n k u r e n c y j n i e woła
Skrzy się...

I tak
Zdumiony tym widokiem:
Ach, z jakiej to pracowni
I cóż j e s t a r c y d z i e ł o?
Przy franciszkańskiej stojąc sieni
Właściwie – Kogo
O co pytam?

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 14f4aa6b19

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Specjaliści od psychofikołków

Żyjemy w epoce, gdy wiele rzeczy stawianych jest na głowie. W Polsce wśród sprawców tej sytuacji sporą rolę odgrywa środowisko „Gazety Wyborczej", która od ponad 30 lat gromadzi specjalistów od psychofikołków.

W lutym 2024 r. zajęli się depresją wśród studentów architektury („Studenci w depresji: »Ze stresu trzęsą mi się ręce. Co semestr jestem w dupie«"), a w ubiegłym roku pisali o samotności studentów prawa.

Tekst Pawła Marcinkiewicza „Samotność studentów UW. »Mam dziewczynę i... martwe życie towarzyskie«" z maja ub.r. pokazuje, że sposób studiowania na Uniwersytecie Warszawskim, zwłaszcza na Wydziale Prawa i Administracji, idzie w poprzek naturalnych, zdrowych potrzeb młodych.

Zajęcia nie są już organizowane – jak bywało – w stałych grupach studenckich, regularnie spotykających się na zajęciach z różnych przedmiotów, co pozwalało studentom lepiej się poznać, zakolegować i zaprzyjaźnić. Studentka mówi: „kojarzy się jedną, dwie osoby z grupy. Albo nikogo". To taka „specyfika kierunku" i dodaje: „nawet ćwiczenia to miniwykłady, bardziej szczegółowe powtórki z wykładów. Nie ma więc potrzeby interakcji poza pytaniami »Czy pożyczysz długopis?« albo »Czy podasz listę?«".

Zajęcia są ponoć zoptymalizowane tak, by ludzie mieli czas na pracę lub więcej wolnego w weekendy. Ale, jak ktoś celnie zauważył w tekście: „Co z tego, że mam dłuższy weekend, jak nie będę miała z kim go spędzić?".

Artykuł trafnie uchwytuje problemy, zwraca też uwagę na niedobre przyszłe konsekwencje, ale... Jak to w życiu bywa, środowisko „Wyborczej" pewnie będzie ostatnie, które w sprawie epidemii samotności uderzy się w piersi, pojmując, że samo gorliwie się do niej przyczyniło.

Środowisko „Wyborczej" pewnie będzie ostatnie, które w sprawie epidemii samotności uderzy się w piersi

Jak? Przez lata zabiegając o bezrefleksyjną, liberalną przebudowę polskiego społeczeństwa i promując uleganie wszelkim, najbardziej nawet głupkowatym modom i patologiom, byle tylko przychodziły z nowoczesnego Zachodu. Teraz się doigrali.

Przez dziesięciolecia bezlitośnie krytykowali rodzinę, religię, patriotyzm. Lansowali rozliczne odmiany hiperindywidualizmu i konsumpcjonizmu, destrukcję wartości wspólnotowych. Przeciwstawiali się nawoływaniom do konsumpcyjnego umiaru, odpowiedzialności, poszanowania tradycji naszych przodków. Byli przeciw lustracji i dekomunizacji – jasnemu określeniu grzechów komunistycznego systemu i jego „menedżerów". Jednocześnie w ramach pedagogiki winy nawoływali do niemającego ani umiaru, ani wiarygodnych podstaw historycznych samobiczowania się Polaków za ogrom krzywd jakoby wyrządzonych Żydom.

Teraz można, już nie raz to robiono, praktykować odmowę wiedzy – odmowę potrójną. Najpierw o tym, jakie są faktyczne głębokie ludzkie potrzeby – bezpieczeństwo, bliskość, miłość, rodzicielstwo. Potem o tym, jak faktycznie działa ład cywilizacyjny – co jest niezbędne dla utrzymania społecznych więzi. Wreszcie odmowę wiedzy o swej roli w psuciu tego dobrego, co przodkowie pozostawili nam w spadku, w atakowaniu z różnych stron depozytu, jaki pokolenia Polaków zbudowały i przekazały nam, dziś tu obecnym.

Nie każdy umie stanąć na głowie, a nawet ci, którzy potrafią to zrobić, wiedzą, że po pewnym czasie utrzymanie tej postawy staje się nie do zniesienia. No, ale jak ze stawiania rzeczy na głowie ktoś zrobił sobie ideologię i sposób zarabiania na życie, to nie ma zmiłuj.

„Wyborcza" pewnie przynajmniej przez jakiś czas będzie próbować skupiać zainteresowanie młodych czytelników, pisząc o samotności. Skoro tysiącom młodych dopieka ona do żywego, to teraz, wylewając krokodyle łzy nad studencką niedolą, można demonstrować swoją empatyczność.

My, socjologowie, piszemy coś innego: niechaj władze UW staną w świetle prawdy o sytuacji młodych, niech wesprą Duszpasterstwo Akademickie oraz inne więziotwórcze inicjatywy, zwłaszcza te bazujące na tradycyjnych, sprawdzonych wartościach. Niech wprowadzą otwarcie więziotwórczą reformę systemu grup studenckich. To o wiele ważniejsza część misji uniwersytetu niż coroczne szlifowanie tabel do sprawozdań z nowych osiągnięć na polu grantozy i punktozy.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 1/0224/F

eprasa.pl 14f4aa6b19

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

POLITYKA NA DESER

CODZIENNIE O 20:35

Wydarzenia dnia komentują dla Państwa znani i lubiani:

- **Dorota Łosiewicz**
- **Krzysztof Feusette**
- **Stanisław Janecki**

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat)	NA POZYCJI 196
NETIA	NA POZYCJI 192
orange	NA POZYCJI 32
vectra	NA POZYCJI 825
PLAY (dawniej UPC)	NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox, 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 14f4aa6b19

LEPIEJ DRAPAĆ RAZEM

25 lat Zdrapki

DO WYGRANIA NAWET 1 000 000 ZŁ

LOTTO

eprasa.pl 14f4aa6b19